WARSZAWA KONTRA BRUKSELA

Dość naiwności – to jest wojna! – Ziemkiewicz o strategii wobec UE

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT) NR 44/449 2–7 LISTOPADA 2021

CO TYDZIEŃ FELIETON CEJROWSKIEGO

Nowy synod Franciszka, czyli kościelny „zamach stanu"

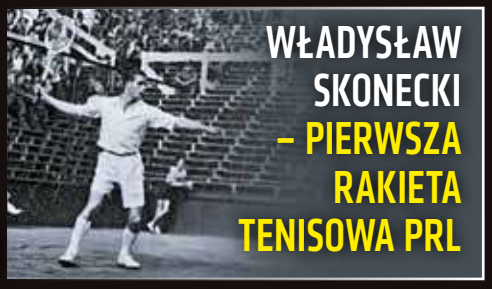

WŁADYSŁAW SKONECKI – PIERWSZA RAKIETA TENISOWA PRL

Semka policzył szable Tuska w Platformie

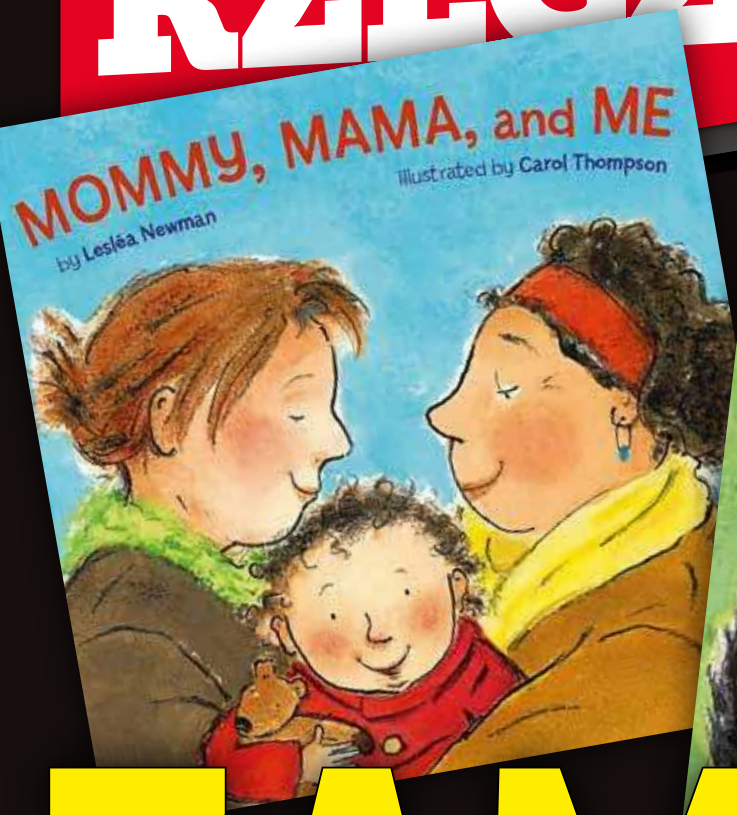

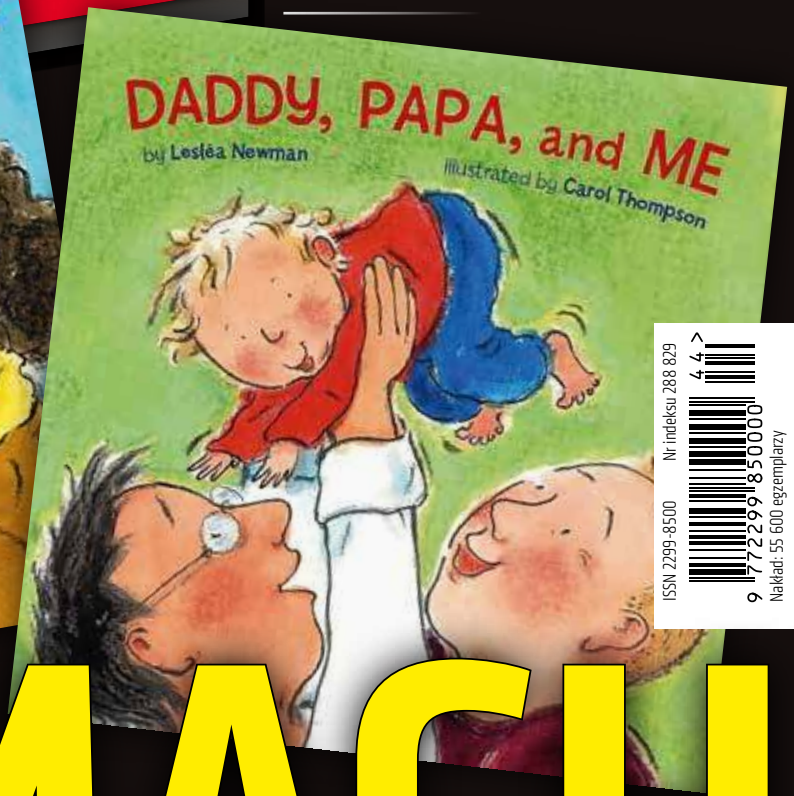

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
Nakład: 55 600 egzemplarzy

ZAMACH NA DZIECIŃSTWO

Ideologia LGBT coraz częściej bierze na cel maluchy

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY | HISTORIA

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI

2021

NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI

W KATEGORIACH:

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

LAUREATÓW POZNAMY
NA GALI 16 LISTOPADA 2021 r.

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNERZY GŁÓWNI

PZU

PKO Bank Polski

KGHM POLSKA MIEDŹ

PGNiG

PARTNERZY

KGHM

HUAWEI

PARTNER HONOROWY

NIKiDW

PATRONAT MEDIALNY

TVP

HISTORIA

DO RZECZY

eprasa.pl f469fbd7ef

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Czyny i słowa

Nie wiem, co jest tego przyczyną, ale w porównaniu z innymi państwami polski rząd w kwestii walki z pandemią/panpsychozą, wbrew podpowiedziom co bardziej oszalałych zwolenników sanitaryzmu, którzy srożą się w większości mediów, zachowuje się na razie kunktatorsko. W tym przypadku czyny, na szczęście, nijak się mają do słów.

Retoryka pozostała bez zmian. Wciąż można odnieść wrażenie, że COVID jest jedynym dopustem, jaki spotyka ludzkość. Codzienne konferencje prasowe, na których Ministerstwo Zdrowia przekazuje informacje o liczbie zakażeń i zgonów na COVID, jak się odbywały, tak się odbywają. Jest to swoisty rytuał, którego celem jest, jak rozumiem, wzmaganie strachu. Dlatego też nie sposób dowiedzieć się, jak się mają te dane do innych, które – gdybyśmy mieli do czynienia z próbą opisu rzeczywistości, a nie z krzewieniem histerii – powinny im towarzyszyć. Na przykład nigdy nie mówi się, jaką część ogółu przypadków śmiertelnych w danym dniu stanowią zgony na COVID w porównaniu ze zgonami z powodu innych chorób; tak samo nie podaje się informacji o statystykach dotyczących pozostałych chorób wirusowych, takich jak grypa. Maniakalne skupienie się na tej jednej chorobie ma służyć podtrzymaniu stanu grozy i doprowadzić, jak można sądzić, do powiększenia liczby chętnych do przyjęcia szczepień.

Dostępne na rynku szczepionki nie chronią pacjentów tak, jak to im przed rokiem obiecano. Poza tym mogą być one dla niektórych niebezpieczne

Ciekawe zresztą, że nie sposób się dowiedzieć od przedstawicieli Ministerstwa Zdrowia, czy i jakie w ogóle prace trwają nad opracowaniem innych niż szczepionki lekarstw. Po niemal półtora roku od rozpoczęcia pandemii komunikat brzmi zawsze tak samo: szczepmy się.

A mimo tego na słowach wszystko na razie się kończy. W Polsce rząd nie próbuje ustawowo ograniczać praw człowieka. Nie próbuje odcinać sceptycznych obywateli, tak jak we Włoszech czy Francji, od dostępu do zwykłych usług, nie zamienia państwa w jeden wielki oddział szpitala zakaźnego, jak w Australii. Chociaż duża część mediów, a także różnej maści ekspertów wzywa go, by wprowadził segregację sanitarną, na razie polski gabinet tego nie robi. Żałuję, że brakuje mu takiej odwagi, którą wykazują się niektórzy konserwatywni gubernatorzy stanów w USA – prawdziwym wzorem do naśladowania jest tu gubernator Florydy Ron de Santis, który publicznie zadeklarował, że będzie zwalczał wszelkie próby przymusowych szczepień na COVID – ale jak na europejskie standardy, z całym unijnym etatyzmem i zamordyzmem, i tak u nas nie jest najgorzej. Na gadaniu się bowiem kończy. Być może wynika to z obaw o to, jak zachowa się prawicowy elektorat, być może z niechęci do otwierania nowego frontu walki politycznej. Być może ktoś wyciągnął wnioski z lekcji, którą byłą nieszczęsna „piątka dla zwierząt", czyli szarża PiS na własne zaplecze społeczne. A być może to jedynie cisza przed burzą.

Badania opinii publicznej w Niemczech – na polskie się nie powołuję, bo mam wrażenie, że służą one propagandzie i nie tyle opisują nastroje, ile mają je właśnie odpowiednio uformować – pokazują realne przyczyny niechęci do szczepień. Otóż według nich najważniejsze są tu wątpliwości co do bezpieczeństwa dotychczas dostępnych szczepionek: zdecydowana większość nie przyjmujących preparatu nadal uważa je za niewystarczająco przetestowane (74 proc.) i obawia się powikłań poszczepiennych oraz długotrwałych konsekwencji szczepienia (62 proc.). Drugi powód to sceptycyzm co do ich skuteczności.

Oba te powody nie są ani przykładem ograniczenia umysłowego, ani niechęci do medycyny, ani jakiegokolwiek uprzedzenia ideologicznego. Są zapisem doświadczenia.

Nie sposób nie zauważyć dwóch faktów. Po pierwsze, dostępne na rynku szczepionki nie chronią pacjentów tak, jak to im przed rokiem obiecano. Po drugie, mogą być one dla niektórych przyjmujących niebezpieczne. Ignorowanie takich przypadków czy też stosowanie wobec Polaków szantażu moralnego (bo na szczęście nie prawnego) tylko może wzmagać podejrzenie, że jest to gra nieczysta.

Znowu wystarczy zerknąć na poziom zakażeń i przypadków śmiertelnych na przykład w Singapurze i Wielkiej Brytanii, żeby zauważyć, że sceptycyzm ma bardzo mocne podstawy. W obu państwach liczba w pełni zaszczepionych osób przekracza 80 proc.; poziom zachorowań i zgonów zaś jest znacznie wyższy, statystycznie, niż obecnie w Polsce. Polacy, szczególnie ci o bardziej konserwatywnych przekonaniach, są bardziej odporni na medialną propagandę niż Niemcy, Włosi, Francuzi czy obywatele innych państw starej Unii. Ich opór wobec segregacji i lockdownów jest zatem silniejszy, a władza publiczna, jeśli nie chce zderzyć się ze ścianą, musi to brać pod uwagę. ©℗

eprasa.pl f469fbd7ef

TEMAT TYGODNIA

18 MAŁGORZATA WOŁCZYK
W IMIĘ DZIECI
Zamach na maluchy

KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
DOŚĆ NAIWNOŚCI. TO JEST WOJNA
Polska musi okazać, że również potrafi być twarda

25 KAMILA BARANOWSKA
POLITYKA KRYZYSOWA

28 PIOTR SEMKA
LODOWCOWA EPOKA PLATFORMY

32 MACIEJ PIECZYŃSKI
OPOZYCJO, BIERZ PRZYKŁAD Z BAŁTÓW!

34 TOMASZ ROWIŃSKI
KOŚCIELNY „ZAMACH STANU"

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
ŚWIAT WEDŁUG MŁODYCH

38 ŁUKASZ ZBORALSKI
CO IM POKAZUJECIE?!

KULTURA

40 PIOTR GOCIEK
POWROTY BORGESA
Mistrzowie literatury

42 WIESŁAW CHEŁMINIAK
NERON: OSWAJANIE POTWORA

NIE PRZEGAP

46 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

52 ROZMOWA Z NICOLASEM BAYEM
JAK UE BADA PRAWORZĄDNOŚĆ
Opór Polski i Węgier ma sens

54 JAN BOGATKO
EUROPA, EUROPA

56 ROZMOWA Z KS. PROF. ROBERTEM SKRZYPCZAKIEM
ANTYCHRYST CHCE NAS PRZEKONAĆ, ŻE ISTNIEJE TYLKO ŚWIAT DOCZESNY

HISTORIA

58 ROZMOWA Z ANDRZEJEM FĄFARĄ
GEM, SET, MECZ
Władysław Skonecki – pierwsza rakieta tenisowa PRL

ŚWIAT

62 PIOTR WŁOCZYK
HIPERSONICZNY KOSZMAR
Nowa broń Chin

EKONOMIA

66 ROZMOWA Z PROF. MARIUSZEM ORIONEM JĘDRYSKIEM
SUROWCOWY ROZBIÓR POLSKI
Węglowa hipokryzja Niemiec

70 JACEK PRZYBYLSKI
AAA... AUTA BRAK

74 ŁUKASZ WARZECHA
ZDROWIE JAKO PRETEKST

FELIETONY:

SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (10), KOWALCZUK (11), GMYZ, GOCIEK (14), ZYCHOWICZ, KOPER (61), PRZYBYLSKI (65), GABRYEL, WARZECHA (69), KOMUDA (77), KARWELIS, POSPIESZALSKI (78), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (79), SIEDLECKA (80), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl f469fbd7ef

Jak motyl
Odczarować mity

Rak jajnika jest jednym z najczęściej występujących nowotworów złośliwych u kobiet.[1]

Owiany mitami, które trzeba odczarować.

Nikt nie zrobi tego lepiej niż one – „Niebieskie Motyle".

Poznaj historię siedmiu delikatnych, ale zarazem silnych i walecznych kobiet, które w książce „Jak motyl. Odczarować mity" dzielą się swoimi historiami o życiu z rakiem jajnika i nadziei. Towarzyszą im opowieści lekarzy, którzy wspierają je w walce z chorobą.

Wydawca:

gsk

Patronat:

STOWARZYSZENIE NIEBIESKI MOTYL

POLSKIE TOWARZYSTWO GINEKOLOGII ONKOLOGICZNEJ

STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZE DLA ZDROWIA

1. Didkowska J., Nowotwory złośliwe w Polsce w 2017 roku.

NP-PL-OCU-ADVT-210001, 04.2021

eprasa.pl f469fbd7ef

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Maciej Strug, Paweł Zdziarski, Łukasz Żygadło.**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (kierownik), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **MATERIAŁY PRASOWE**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś,** tel.: 508 040 664

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład 55 600 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Z Wami od lat

Dzień dobry,
jestem czytelnikiem „Do Rzeczy" od kilku lat. Bakcyla zaszczepił mi starszy kolega, który udostępniał mi kolejne numery pisma do poczytania (obecnie jestem stałym prenumeratorem). Czasami było to już z pewnym opóźnieniem, ale zawsze znalazłem coś ciekawego i coś, co było zgodne z moimi przekonaniami. [...] zostałem wychowany zgodnie z tradycją chrześcijańską (dziękuję rodzicom), pomimo iż w moich latach młodzieńczych nikt nie poświęcał zbyt dużo czasu na wychowanie dzieci (dorastałem na wiosce). Być może moim „błędem" było „nadmierne" czytanie książek (jaka inna rozrywka była w małych miejscowościach w tamtych czasach), które uzmysłowiły mi, że lojalność, patriotyzm, szacunek dla starszego pokolenia, przywiązanie do ojczystej ziemi i religii, w której zostałem wychowany, to filary, na których warto budować swoje życie. [...] Pomimo obecnie wciskanych ideologii, zakłamania w środkach masowego przekazu, obłudy polityków (który to już raz dałem się oszukać) warto czekać kolejne siedem dni, aby sięgnąć do skrzynki i wyjąć kolejny numer „Do Rzeczy".

Wstępniak Pana Pawła Lisickiego czytam jednym tchem, tak jakbym sam go napisał (nie jest to lizusostwo, tylko czytanie własnych myśli na papierze). Nie wiem, czy jeszcze doczekam czasów, gdy zdrada Ojczyzny będzie odpowiednio ukarana (jak nazwać osobników, którzy za granicą plują na rząd, premiera, prezydenta, Ojczyznę i oczekują jak największych kar dla Polski, Polaków). Kiedy widzę aktualną okładkę z byłymi działaczami komunistycznymi (nie chcę używać brzydkich wyrazów, które same się cisną na usta), uśmiechniętymi od ucha do ucha, to scyzoryk sam się otwiera.

Oni nadal mają się dobrze, a może jeszcze lepiej niż w latach komunizmu, a my musimy dalej wierzyć, że po burzy nastaje słońce. Zgadzam się z tezą, że trwanie w takiej UE (ciągłe uleganie szantażowi bądź to finansowemu, bądź politycznemu) jest bez sensu i nie przynosi nam nic dobrego, a z czasem stajemy się pośmiewiskiem dla całej Europy. Z nadzieją na lepsze jutro czekam na kolejny numer „Do Rzeczy".

Pozdrawiam
Józef Machulak

„Krew, kobalt i dwutlenek węgla", Rafał A. Ziemkiewicz, „DRz" 41/2021

Panie Rafale, przeczytałem Pana artykuł o kobalcie w Afryce. Jakbym dostał pałką w głowę. Proszę uważać na siebie. Ci, którym Pan nadepnął na piętę, są bezwzględnie zachłanni, o czym świadczy Kongo.

Pozdrawiam i życzę nadal odwagi

Andrzej Nowak

„Ani dywanik, ani rzymskie wakacje", Piotr Semka, „DRz" 43/2021

Szanowna Redakcjo,
w ciekawym artykule „Ani dywanik, ani rzymskie wakacje" red. Piotr Semka przywołuje trzy wątki z wypowiedzi przewodniczącego KEP, ks. abp. Stanisława Gądeckiego (s. 32). Wątek trzeci dotyczy synodu i dokumentu podsumowującego pierwszy tydzień obrad. Ale tutaj wkradł się błąd: red. Semka najwyraźniej pomylił dwa różne synody i przytoczył fragment starej wypowiedzi abp. Gądeckiego sprzed siedmiu lat, z czasów synodu o rodzinie! To wtedy padły słowa o parach jednopłciowych i wychowywaniu dzieci. Pomyłka być może wzięła się stąd, że również tamten synod był otwarty w październiku.

Łączę pozdrowienia
ks. Maciej Zachara MIC

Od autora

Przepraszam za tę pomyłkę.

Piotr Semka

eprasa.pl f469fbd7ef

NA PIERWSZY OGIEŃ

„Wszystkie dzieci nasze są”

PIOTR SEMKA

Protesty Fridays Future i widoczne upolitycznienie młodych ludzi podsyciły ostatnio dyskusję: czy wiek wyborczy należy obniżyć do lat 16” – pisze niemiecki Dziennik „Die Welt”. Punktem wyjścia do rozważań jest opublikowana niedawno deklaracja tworzącej się koalicji rządowej SPD-Zieloni-FDP. Chodzi o obniżenie poprzeczki uczestnictwa w wyborach do 16 lat. Ta zapowiedź zmiany art. 38 ustawy zasadniczej RFN, która wyznacza granicę 18 lat przy głosowaniu, na razie jest niemożliwa. Musi ją przegłosować zarówno Bundestag, jak i Bundesrat (niemiecki odpowiednik naszego Senatu) większością dwóch trzecich głosów. W Bundestagu takie zmiany wymagałyby głosu aż 490 deputowanych, a członkowie „koalicji świateł ulicznych” mają ich tylko 416. Jeśliby nawet dodać partię Die Linke z jej 39 mandatami, to ciągle nie ma większości do zmiany konstytucji. A zatem – jak pisze „Die Welt – „dopóki AFD czy chadecja się nie podda, dopóty przyszłość pomysłu, by dopuścić 16-latków do głosowania, wygląda źle”.

Jak jednak wskazuje dziennik, są już oznaki kruszenia się stanowiska CDU i CSU. W landzie Badenia-Wirtembergia, gdzie rządzi koalicja chadeków i Zielonych, umowa koalicyjna głosi, że wiek do głosowania w wyborach landowych powinien zostać obniżony do 16 lat. Entuzjastą obniżenia bariery wieku jest Hermann Heussner, profesor prawa publicznego na Uniwersytecie Nauk Stosowanych w Osnabrück, który wskazuje, że jeśli CDU rezygnuje wobec sprzeciwu w jednym z najbardziej zaludnionych krajów związkowych, to dalsza obrona zapisu ustawy zasadniczej na szczeblu federalnym może być coraz trudniejsza.

Jak pisze „Die Welt”, okazją do dokonania wyłomu mogą być przyszłe wybory europejskie w 2024 r. Europejskie prawo wyborcze można zmienić zwykłą większością głosów i wpływowa niemiecka lewica ma najwyraźniej chęć, by skorzystać z silnej pozycji w europarlamencie. Jak wskazuje Heussner, ułatwi to zmiany, gdyż trudno będzie wtedy utrzymywać, że wybory europejskie są odpowiednie dla 16- i 17-latków, a wybory do Bundestagu już nie są.

Cała ta sprawa jest ciekawa jako przykład taktyki obecnej lewicy. Zapis o odpowiednio wysokim wieku wyborczym był dziełem formacji Konrada Adenauera, która napatrzyła się dostatecznie, jak Hitler manipulował niemiecką młodzieżą. Dziś lewica wie, że znacznie łatwiej oddziaływać na młodzież hasłami permisywizmu. Nie mając szans na zmianę ustawy zasadniczej, RFN chce posłużyć się europarlamentem, aby narzucić swemu krajowi rewolucyjne zmiany w prawie. A potem problemem będzie już tylko kampania medialna szantażująca hasłem, dlaczego do Brukseli młodzi mogą wybierać, a do Bundestagu i Bundesratu nie. A jeśli większość mediów, podobnie jak już dziś to czyni konserwatywny „Die Welt”, będzie opisywać sprawę tak, jakby to była niezbędna reforma, to być może opór chadeków upadnie. Jak to lubią pytać postępowi publicyści: Czy jesteśmy już gotowi na prawo wyborcze dla 16- i 17-latków?

Na pewno gotowy jest na to Szymon Hołownia, który dokładnie taki sam postulat postawił dwa miesiące temu. Lider Polski 2050 z uwagą będzie śledził losy nowej inicjatywy u naszych sąsiadów za Odrą. ©℗

Opiniotwórcze „Do Rzeczy”

Tygodnik „Do Rzeczy” zajął we wrześniu drugie miejsce wśród najbardziej opiniotwórczych tygodników i dwutygodników.

Według raportu „Najbardziej opiniotwórcze media w Polsce”, który przygotował Instytut Monitorowania Mediów (IMM), nasz tygodnik we wrześniu cytowany był aż 290 razy. Częściej powoływano się jedynie na „Newsweek” (328 razy). Trzecie miejsce zajęła „Gazeta Polska” (154 cytowania). Czwartą i piątą pozycję w rankingu zajęły zaś tygodnik „Wprost” oraz dwutygodnik „Viva!”.

W rankingu głównym pierwsze miejsce zajęła stacja radiowa RMF FM (4682 cytowania), drugi był portal wp.pl, a podium zamykał Onet.pl. W rankingu tytułów prasowych prym wiodła „Rzeczpospolita” (2384 cytowania) przed „Gazetą Wyborczą” oraz „Dziennikiem Gazetą Prawną”. „Do Rzeczy” w rankingu najbardziej opiniotwórczych tytułów prasowych zajęło dziewiąte miejsce, awansując w porównaniu z sierpniem aż o osiem miejsc. ***(jap)*** ©℗

NAGRODA IMIENIA KS. BP. ROMANA ANDRZEJEWSKIEGO

Ksiądz prałat Czesław Sadłowski, długoletni proboszcz parafii w Zbroszy Dużej koło Grójca, który w latach 60. i 70. XX w. prowadził nieustępliwą walkę z komunistycznymi władzami o odbudowę kościoła, został laureatem Nagrody im. ks. bp. Andrzejewskiego za 2021 r. Decyzję podjęła Kapituła Nagrody na czele z honorowym przewodniczącym ks. bp. Arturem G. Mizińskim, sekretarzem generalnym KEP. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl f469fbd7ef

Redaktor naczelny „Do Rzeczy" Paweł Lisicki i nasz publicysta Piotr Semka wręczają Strażnika Pamięci Wojciechowi Roszkowskiemu, 2020 r.

FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

W oczekiwaniu na Strażników Pamięci 2021

16 listopada odbędzie się uroczysta gala nagrody Strażnik Pamięci. Już po raz dziewiąty tygodnik „Do Rzeczy" uhonoruje ludzi i instytucje, które działają na rzecz kultywowania polskiej historii i tradycji

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości" – słowa marszałka Józefa Piłsudskiego od pierwszej edycji przyświecają jury przyznającemu nagrodę Strażnik Pamięci.

W tym roku uroczysta IX gala nagrody odbędzie się 16 listopada o godz. 19 w Zamku Królewskim.

Co roku redakcja „Do Rzeczy" wręcza nagrody w trzech kategoriach: Twórca (otrzymują ją autorzy dzieł, które przyczyniają się do odnowienia pamięci historycznej i mają znaczący wkład w krzewienie postaw patriotycznych), Instytucja (nagroda trafia do muzeów, stowarzyszeń i fundacji, które w minionym roku podjęły inicjatywy służące realizacji celów konkursu) oraz Mecenas (nagrodę otrzymują podmioty publiczne, komercyjne oraz prywatne osoby, które w szczególny sposób materialnie wspierają dbałość o pamięć historyczną).

W TYM ROKU W KATEGORII TWÓRCA W GRONIE NOMINOWANYCH ZNALEŹLI SIĘ:

• **dr Jacek Bartosiak** – szef think tanku Strategy & Future. Człowiek, który rozbudził w Polakach zainteresowanie zasadami geopolityki i polityki realnej. Fenomen na YT, gdzie jego filmy oglądają setki tysięcy ludzi. Choć dr Bartosiak pisze i mówi o przyszłości, to często odwołuje się do przeszłości. Do niegdyś mocarstwowej pozycji Rzeczypospolitej. Zastanawia się, jak uniknąć w przyszłości błędów z przeszłości;

• **ks. prof. Waldemar Chrostowski** – autor wielu publikacji pokazujących silny związek polskiej tożsamości narodowej z chrześcijaństwem i jej zakorzenienie w tradycji biblijnej. Jest pomysłodawcą Prymasowskiej Serii Biblijnej wydawanej od 1994 r. oraz redaktorem naukowym wielu jej tomów. Przewodniczył Stowarzyszeniu Biblistów Polskich od chwili jego powstania w 2003 aż do 2013 r.;

• **Piotr Dmitrowicz** – dyrektor Muzeum Jana Pawła II i Prymasa Wyszyń-

eprasa.pl f469fbd7ef

skiego w Świątyni Opatrzności Bożej na warszawskim Wilanowie. Ta wyjątkowo prężnie działająca placówka stała się nowoczesnym ośrodkiem edukacyjnym, w którym w bardzo przystępny sposób opowiada się historię polskiego Kościoła w drugiej połowie XX w.

W KATEGORII INSTYTUCJA NOMINOWANI DO NAGRODY STRAŻNIK PAMIĘCI ZOSTALI:

• **Fundacja Ułanów Króla Jana** – organizacja, której zadaniem jest upamiętnianie tradycji kawaleryjskich Rzeczypospolitej. Realizuje ona wiele znakomitych projektów – m.in. nagrała profesjonalnie przygotowaną etiudę o mjr. Henryku Dobrzańskim ps. Hubal, w której główną rolę zagrał Paweł Deląg;

• **Fundacja Wolność i Demokracja** – instytucja ta od 15 lat działa na rzecz utrwalania i upamiętniania dziedzictwa polskich Kresów oraz historii narodu polskiego. Szczególną troską otacza upamiętnianie i opiekę nad miejscami związanymi z historią oręża polskiego na Kresach;

• **Stowarzyszenie Rodzina Piaśnicka** – organizacja zrzeszająca rodziny ofiar niemieckiej zbrodni w Piaśnicy, która często nazywana jest „pomorskim Katyniem". Na przełomie lat 1939 i 1940 Niemcy dokonali tam masowych zbrodni na polskiej inteligencji.

W KATEGORII MECENAS NOMINACJĘ UZYSKALI:

• **Jarosław W. Lasecki** – człowiek, którego zaangażowanie pozwoliło zrekonstruować zamek w Bobolicach na Szlaku Orlich Gniazd;

• **Poczta Polska SA** – mając ponad 460 lat tradycji, czuje się w obowiązku podtrzymywać pamięć o najważniejszych wydarzeniach w historii Polski. W tym roku wprowadziła do obiegu znaczki i kartki upamiętniające wybitne postaci: kard. Stefana Wyszyńskiego, Jerzego Iwanowa-Szajnowicza, żołnierzy wyklętych oraz Polaków ratujących Żydów;

• **Paweł Witaszek** – promotor działalności patriotycznej i edukacyjnej, szczególnie na rzecz kultury polskich Tatr.

W trakcie tegorocznej gali nagrody Strażnik Pamięci zostanie również przyznana nagroda specjalna.

– To nie jest zwyczajny konkurs, jakich wiele w redakcjach: na najlepszą płytę, najlepszy film czy romansidło najbardziej wyciskające łzy z oczu. Przyznając statuetki Strażnika Pamięci, redakcja tygodnika „Do Rzeczy" chce uhonorować ludzi, którzy w sposób szczególny, często wbrew obowiązującym trendom, poprawności politycznej i otoczeniu, dokładają starań, by kultywować i promować polską historię – tłumaczy redaktor naczelny „Do Rzeczy" Paweł Lisicki. – Upowszechnianie pamięci o polskiej historii jest jednym z najważniejszych elementów tożsamości tygodnika „Do Rzeczy". Stąd pomysł nagrody, która jest wyróżnieniem dla osób funkcjonujących w różnych kategoriach i branżach: od twórców, którzy promują polską historię, przez organizacje społeczne działające na tym polu, do instytucji wspierających taką aktywność finansowo.

W poprzednich edycjach laureatami nagrody Strażnik Pamięci w kategorii Twórca byli m.in. znakomity historyk prof. Wojciech Roszkowski, wybitny poeta Jarosław Marek Rymkiewicz oraz twórcy serialu „Czas honoru".

W kategorii Instytucja triumfowali m.in. Instytut na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris, Stowarzyszenie Upamiętniania Polaków Pomordowanych na Wołyniu oraz Związek Pamięci Ofiar Obławy Augustowskiej.

W kategorii Mecenas w poprzednich latach najwyższe laury zdobyli m.in. prezes PGE Wojciech Dąbrowski, Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych oraz Bank Zachodni WBK.

oprac. pw

PARTNER STRATEGICZNY: ORLEN
PARTNERZY GŁÓWNI: PZU, KGHM Polska Miedź, PGNiG, PKO Bank Polski
PARTNER HONOROWY: NIKiDW Narodowy Instytut Kultury i Dziedzictwa Wsi
PARTNERZY: Huawei, Grupa Inwest S.A.

eprasa.pl f469fbd7ef

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Syreni śpiew PO

Banałem jest stwierdzenie, że Rafał Trzaskowski przespał swoją szansę. Obiecywanego ruchu nie zbudował, Campusem Polska raczej przysporzył partii obciachu niż poparcia, na jej przewodniczącego – mimo wcześniejszych zapowiedzi – startować się nie odważył, a popieranych przez niego ludzi wycięto w regionach. Coroczna kampania przeciwko Marszowi Niepodległości też, jak pisałem tydzień temu, słabo rokuje.

Żeby jakoś się odkuć, wiceprzewodniczący PO i prezydent miasta stołecznego Warszawy postanowił powalczyć z ociepleniem klimatu. Świetny pomysł, Trzaskowski naprawdę może tu coś konkretnego zdziałać. Wystarczy, żeby odstawił od zarządzania Warszawą sektę fanatycznych lewaków, których ideologiczną obsesją jest obrzydzanie życia kierowcom i utrudnianie używania samochodów. Ponieważ Trzaskowski jest na Warszawę za duży i zwyczajnie nie mieści się w lokalnych sprawach, zajęty swymi wielkimi planami, a z kolei jego nieformalny plenipotent Kierwiński z jakiegoś powodu zainteresowany się wydaje wyłącznie gruntami, deweloperką i „wuzetkami", wspomniana sekta zyskała w Warszawie (podobnie jak w innych rządzonych przez PO dużych miastach, mówiąc nawiasem) wyłączny wpływ na drogi i od lat uparcie zwęża je we wszystkich newralgicznych punktach, tak żeby maksymalnie utrudnić przejazd przez miasto.

Ponieważ jednak „sieć metra" w Warszawie składa się z dwóch nitek na krzyż, a transport miejski jest, jaki jest, warszawiacy z samochodów nie rezygnują, bo nie mogą, za to stoją coraz dłużej w coraz większych korkach, emitując coraz więcej spalin, w tym coraz więcej znienawidzonego przez „obrońców planety" dwutlenku węgla.

Niestety, Rafał Trzaskowski nie wpadł na pomysł, by coś z tym zrobić. Walczyć z ociepleniem będzie za pomocą syren. Tak, w południe w piątek, zapowiedział, w Warszawie i innych miastach PO zawyją na rzecz klimatu syreny alarmowe.

Kiedy globalne ocieplenie te syreny usłyszy, to poczuje się potępione i sobie pójdzie. A nawet jeśli nie, to prezydent Trzaskowski będzie mógł odhaczyć sobie w kalendarzu, że coś mu się wreszcie udało. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Pomylone zakończenie

Niemal przez pół godziny słuchałem przemówienia naszego premiera w Strasburgu z autentycznym uznaniem i satysfakcją. Mateusz Morawiecki świetnie bronił traktatowych praw Polski, przypominał rzeczywiste, a nie ideologiczne standardy unijne (czyli utrwalone w realnym ustawodawstwie i polityce państw interpretacje prawa UE), wreszcie piętnował haniebną polityczną dyskryminację Polski i Europy Środkowej. Wobec tych wszystkich argumentów posłowie atakujący nasz kraj byli zupełnie bezradni.

Z uznaniem też patrzyłem, jak premier dwukrotnie nie pozwolił odebrać sobie głosu, choć za drugim razem poczułem niepokój. Czas wyraźnie mijał, mowa zbliżała się do końca, premier teoretycznie bronił Trybunału Konstytucyjnego, ale w ogóle nie odnosił się do oficjalnie zapowiedzianego na następny dzień regularnego ataku Parlamentu Europejskiego na Trybunał, na polski porządek konstytucyjny, na antyeugeniczne orzeczenie z ubiegłego roku.

Przez chwilę pomyślałem, że albo Mateusz Morawiecki wystąpi również w środę, albo po prostu skupia się wyłącznie na „praworządności". Oba przypuszczenia okazały się jednak mylne. Premier wrócił do pracy w kraju, co zrozumiałe, ale problematykę we wtorkowej mowie jednak rozszerzył. Znowu pojawiły się stałe europejskie wątki Kaczyńskiego-Morawieckiego, „poparcie dla globalnych aspiracji Unii", „silna europejska polityka obronna", „stawianie tamy autorytarnym reżimom". Rzeczywiście, trudno o większe dowody zaufania do Unii! Zostawmy jednak jej niewdzięczność na boku. Skoro bowiem premier przysięgał „wierność postanowieniom Konstytucji RP", to powinien był bronić obowiązującej wykładni jej art. 38, a nie zachowywać się tak, jakby ustrojowy spór między Trybunałem Konstytucyjnym RP a Parlamentem UE był kolejną „światopoglądową kwestią (subiektywnego) sumienia". „Wierność postanowieniom Konstytucji RP" właśnie tego dotyczy, a nie rozbudzania „globalnych aspiracji Unii Europejskiej". ©℗

eprasa.pl f469fbd7ef

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Czterdzieści i cztery

Czterogwiazdkową admirałką amerykańskich mundurowych służb medycznych została Rachel Levine (64 lata). Jest ojcem dwojga dzieci, który w 2011 r. przeszedł operację zmiany płci. Republikanin Jim Banks z Izby Reprezentantów napisał na Twitterze, że nominację otrzymał mężczyzna, choć mógłby sobie ten wpis darować. W końcu co ma płeć czy jej zmiana do tej nominacji czy kompetencji? Już Wielki Sternik Narodu zauważył, że nieważne, jakiego koloru jest kot, byle łowił myszy. Wszechobecna żandarmeria poprawności politycznej natychmiast zamknęła konto Banksa na Twitterze, choć przecież toleruje przejawy wszelkiego bezprzykładnego chamstwa.

Mamy do czynienia z orwellowską weryfikacją historii, w tym przypadku osobistej

Zajrzałem do Wikipedii po angielsku, szukając, kto to zacz Rachel Levine. Nie sposób znaleźć, jak miała na imię, gdy z punktu widzenia prawa i biologii była mężczyzną. Traktowana jest od narodzin zaimkiem osobowym „she". Naturalnie nie ma o co kruszyć kopii, ale mamy do czynienia z orwellowską weryfikacją historii, w tym przypadku osobistej. Mężczyznę Levine'a po prostu zniknęli. Podobnie w Wikipedii po niemiecku i francusku. Jedynie reakcyjni wikipedyści włoscy i rosyjscy napisali: „Do 2011 r. Richard Levine".

A dlaczego „Czterdzieści i cztery"? Romano Fiorani Mussolini jest prawnukiem Duce, wnukiem jego najmłodszego syna Romano (był wziętym pianistą jazzowym) i Marii Scicolone, siostry Sophii Loren, a synem ich córki Alessandry. Chłopak ma 18 lat i talent do piłki nożnej. Trenuje w dobrym rzymskim klubie SS (Societa Sportiva, a nie Schutzstaffel) Lazio. W niedzielę 24 października Romano po raz pierwszy powołany został do pierwszej drużyny, choć cały mecz z Veroną przesiedział na ławce rezerwowych.

Cóż na to Google? Podając składy obu zespołów, wymienił wszystkich piłkarzy z imienia i nazwiska poza Romano Fioranim Mussolinim. Młodego piłkarza reprezentował tylko jego numer – „44". Jak więc widać, „Czterdzieści i cztery" stał się enigmą również w Italii, choć nie za sprawą genialnego poety, a oszalałych żandarmów politpopu. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl f469fbd7ef

FOT. PAWEŁ GROMADA

PRZYCHODZI BOŻENA DO ŚNIADANIÓWKI

To Bożena Dykiel nam popłynęła! Otóż znana aktorka poszła do telewizji śniadaniowej, by jako jedna z ambasadorek Fundacji Twarze Depresji porozmawiać o nowej kampanii społecznej „Twarze depresji. Nie oceniam. Akceptuję". I oto zasiadła na kanapie i poważnym tonem oświadczyła, że za depresję odpowiada… niedobór litu. A poza tym poradziła, by wszyscy cierpiący na tę chorobę po prostu lepiej się odżywiali i więcej ruszali. – To jest brak pierwiastka litu. Nie to, że się go uzupełni, ten lit. Organizm to powinien sam wytworzyć, tylko musimy mu dać do tego materiał. Więc trzeba uważać, co się wpuszcza do pyska, nie jeść byle czego, jeść dobre rzeczy. Poza tym ruszać się, czytać, nie tylko gapić się w telefon i telewizor – plotła androny ku osłupieniu i przerażeniu prowadzących. Potem było tylko gorzej, bo rozmowa zeszła na temat pandemii i okazało się, że Dykiel jest z tego samego foliarskiego obozu co Edzia Górniak i Viola Kołakowska. – Ja bym to określiła tak: ostatnie dwa lata to jest walka świata z ludźmi – z bogaczami, którzy chcą nami rządzić. Takie jest moje przeświadczenie, bo jeżeli nas się zastrasza i jeżeli ciągle nas się lockdownuje i nie pozwala się spotykać… Grypa szalała przez tyle lat i mnóstwo ludzi umierało, nawet więcej niż w tej pandemii. A ta pandemia dla nas jest jakimś obozem – stwierdziła. Na koniec zaś wyciągnęła z torebki jakieś turbogogle, które „bardzo jej pomagają". – Pojawia się zielone światełko, a potem się naciska mocniej i pojawia się czerwone światełko z różną częstotliwością – instruowała zadowolona. A podobno mądrość przychodzi z wiekiem. Jak widać, nie do wszystkich, a pani Bożena jest tego przykładem spektakularnym.

TYLKO DOBRA ENERGIA

Aktorka i celebrytka Kasia Cichopek musi się tłumaczyć z tego, że paparazzi zrobili jej zdjęcia na ulicy, gdy była nie w humorze i nie uśmiechała się tak jak na Instagramie. Straszne do tego stopnia, że trzeba się było do tego odnieść! – Pamiętajcie, że jestem tylko człowiekiem. Są dni, że nie jest mi do śmiechu, że jestem zmęczona, gorzej się czuję, jestem zła (zwłaszcza jak ktoś śledzi mnie z aparatem pół dnia). To normalne emocje, które każdy z nas przeżywa – podkreśla celebrytka i przy okazji zamieszcza swoją tradycyjną, uśmiechniętą i pięknie upozowaną fotkę, gdzie jeszcze dla ocieplenia przekazu dorzuciła córkę. – Kocham moją pracę, zarówno granie w serialu, w teatrze, prowadzenie programów, eventów, tworzenie własnej marki, Instagram. Staram się zawsze dawać z sobie 100 proc. i przekazywać wam tylko dobrą energię. Gdy wrzucam zdjęcie na swój profil, to tak, jakbym występowała przed półmilionową publicznością. Staram się wypaść jak najlepiej – tłumaczy. No właśnie! A potem zdziwienie, że furorę robią zdjęcia paparazzi, na których wygląda jak najgorzej.

ZENEK CZY KAROLAK?

Biedny Tomasz Karolak, prawie nam go żal. Otóż znany aktor w pewnym momencie odkrył w sobie talent muzyczny. I nie tylko zaczął śpiewać, lecz także wpadł na pomysł, że zacznie koncertować. Niestety, nie wszystko układa się po jego myśli. Jak donosi serwis Pudelek, w Dąbrowie Górniczej trzeba było odwołać występ Karolaka i jego zespołu Pączki w Tłuszczu z powodu… braku zainteresowania. „Przepraszamy tych, którzy wybierali się na koncert, ale niestety poziom przedsprzedaży koncertu zamknął drogę do jego organizacji" – czytamy w oświadczeniu. Dodajmy, że bilety na koncert kosztowały od 60 do 90 zł! Dwie, a nawet trzy płyty Zenka można mieć w tej cenie! I ktoś się jeszcze dziwi?!

FOT. TADEUSZ WYPYCH/REPORTER

ZARABIANIE PRZEZ AFIRMACJĘ

Joanna Przetakiewicz, celebrytka, projektantka i była partnerka Jana Kulczyka, ostatnio robi furorę jako coach. Swoje rady i złote myśli namiętnie zamieszcza na Instagramie, pouczając zwłaszcza kobiety, że generalnie mogą wszystko i sky is the limit. Ostatnio wzięła na warsztat kwestię pieniędzy i zdradziła, jak sprawić, by przychodziły do nas same. Jesteście gotowi na tę wiedzę?

– Słyszałyście kiedyś brednie, że pieniądze szczęścia nie dają? Jest dokładnie odwrotnie. Wszyscy o nich myślą i najwyższy czas, żebyśmy zaczęły o nie dbać, zamiast się martwić! – zaczyna żwawo milionerka. – Wiecie, dlaczego 2 proc. ludzi ma to, co pozostałe 98 proc.? Bo oni chcą pieniędzy. Nie boją się ich. Nie krępują. Przeciwnie. Wiedzą, ile możliwości i szans tworzą – podkreśla Joanna. A następnie zdradza swój przepis na przyciąganie pieniędzy. – Kocham pieniądze z wzajemnością – oświadcza. – To moje bezpieczeństwo i wolność. To jest prawo przyciągania. Coś logicznego i nie do zaprzeczenia. Jeśli coś kochasz, szanujesz i o to dbasz, to przychodzi do ciebie łatwiej. Nikt nie rozumie, czym jest afirmacja. To chęć i wiara! Wiara, że się uda – przekonuje. Dobra, to lecimy coś poafirmować, może jakiś jacht na początek. Mamy chęć i wiarę! Co może pójść nie tak? ©℗

eprasa.pl f469fbd7ef

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, nasze korpo przyjęło ostatnio jakiegoś dziwnego typa na staż. Na przykład przychodzi na 8 rano, robi sobie przerwę 20 minut na obiad, co godzinę na pięć minut wstaje od komputera, zgłosił zastrzeżenie, że ma nieergonomiczne krzesło xD

Normalny stażysta upomniałby się, że ma krzesło niewegańskie, a zamiast przerwy na obiad zrobiłby sobie przerwę na uzupełnienie braków w Excelu. W dodatku ta nowa osoba jak gdyby nigdy nic pakuje się o godz. 16 i wychodzi do domu, a zachęcany przez nasz team, iżby jeszcze został i np. bezpłatnie zrobił coś za nas, odpowiada, że chętnie i że jak się u nas rozlicza nadgodziny.

Przy takich młodych to my się czujemy jak boomerzy. Kiedyś to jak się miało staże, to osoba była szczęśliwa, iż w ogóle może na niego przychodzić. Nikt nie pytał o przerwę na obiad, jadło się jakąś kanapkę gdzieś po kryjomu, iżby nikomu do głowy nie przychodziło, że nam nie zależy. A na koniec dnia zamiast pakować się do domu, pytaliśmy, czy team leaderowi nie trzeba np. odmalować przedpokoju czy zrobić zakupów. A teraz młodzi z jednej strony bezczelni, a z drugiej nie chcą się przemęczać. I my to nawet rozumiemy. Ale też mamy poczucie, iż świat nam jednak odjeżdża :(

Fashysm po amerykańsku. To niesamowite, iż kraj, który dał nam Fejsa, Netflixa i feminizm lesbijski, jednocześnie wciąż utrzymuje w swoich strukturach taki Teksas, który jest dla Stanów Zjednoczonych mniej więcej tym, czym Polska dla Europy. Tym kuzynem, którego

się wstydzisz, ale musisz tolerować, bo mieszka blisko i często się widujecie.

Otósh gubernator Teksasu podpisał prawo, które nakazuje zgodność biologicznej płci sportowców. Jest to krok w tył dla rywalizacji sportowej i de facto dyskryminacja sportowców transseksualnych.

To naprawdę szokujące, iż przy obecnej wiedzy z zakresu teorii gender kryteria biologiczne są jeszcze przez kogokolwiek traktowane poważne i stają się podwaliną pod zasady rywalizacji. Liczymy jednak na to, iż jakimś sposobem to prawo nie przejdzie, w innym wypadku bardzo nam przykro, ale będziemy bojkotować wszelkie zawody sportowe organizowane przez stan Teksas, nie mamy wyjścia.

Kochani, a co, gdyby Squid Game było organizowane w Polsce? Przypomnijmy – mowa o koreańskim serialu na Netflixie, który bije wszelkie rekordy popularności. Jego bohaterowie muszą wypełniać określone zadania, na zwycięzcę czeka mnóstwo pieniędzy, a przegrani odpadają z rywalizacji w sposób, powiedzmy, ostateczny.

1) Jeśli zachować oryginalne kryterium, że uczestnicy mają problemy finansowe i są zadłużeni, w rozgrywce musiałyby wziąć udział gdzieś 3 mln Polaków.

2) Nie byliby w stanie dobrać się w drużyny, iż zawsze znalazłby się ktoś, kto głosuje na PiS, ogląda TVN, woli kielecki niż hellmansa.

3) Głosowanie nad przerwaniem gry nie byłoby ważne z powodu zbyt niskiej frekwencji.

4) Osoby obserwujące zmagania innych uszyłyby naprędce flagi Polski z napisami: „SUPRAŚL", „KOŁO" czy inne „GORLICE".

5) Osoby obserwujące zmagania innych wołałyby: „CO ROBISZ TUMANIE?!"; „NA LEWO, NA LEWO MU DAJ!"; „SZYBCIEJ GRAJ!"; „ŚLEPY JESTEŚ, KURŁA, NIE WIDZISZ, JAK CI SZEDŁ PO SKRZYDLE?!".

6) Mimo tego że wszyscy byliby ubrani tak samo, to komentowaliby, iż inni wyglądają w tym głupio.

7) Zbudowaliby sobie Biedronkę i kłócili się o naklejki na Świeżaki.

8) Ci z woj. lubelskiego nie chcieliby się zaszczepić.

9) A ci z mazowieckiego mówiliby, że są z Warszawy, no może nie z samej.

10) Zwycięzca musiałby zapłacić ekstraspecjalny podatek.

11) TVP zrobiłoby pasek „POLAK ZWYCIĘŻA W PRESTIŻOWYCH ROZGRYWKACH". ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Po bandzie

Kamila, musisz być pierwsza. Nic na to nie poradzę, nie trzeba było wyskakiwać z tymi tłitami o migran... uchodźcach, znaczy się. Donald kazał pod sankcją wyrzucenia z klubu.
Borys, ale co ja mam zrobić? Jak?

Normalnie. Musisz jakichś dwóch wziąć do siebie.
Ale skąd?

Najlepiej z Afganistanu, a drugi może być z Iraku.
Skąd ja ich mam wytrzasnąć?

A to spoko, my ci dostarczymy, prosto spod granicy.
A nie mogłyby być chociaż kobiety?

Nie, bo by było, że się czegoś boisz. Właśnie muszą być faceci. Po dwadzieścia kilka lat.
No trudno. Coś im wynajmę...

A nie, nie, żadnego wynajmowania. Donek wyraźnie powiedział: ma wziąć dwóch facetów i do siebie do domu. Własnego.
Może chociaż z Syrii? Chrześcijanie?

Nie, ma być po bandzie: muzułmanie mają być. Idź szykować pościel. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Czyli za klimat w Polsce już całkiem oficjalnie będzie odpowiadać Moskwa".

TOMASZ LIS, *publicysta, na Twitterze*

eprasa.pl f469fbd7ef

No i znowu ta rekonstrukturyzacja rządu. Witamy nowych ministrów, zwłaszcza gdy są starymi ministrami na nowym odcinku. W kwestii trudnych negocjacji koalicyjnych podpowiadamy: gdyby podzielić Ministerstwo Sportu na resort sportu drużynowego i resort sportu indywidualnego, to znalazłoby się stanowisko ministerialne i dla ociepowców.

Poza tym wydarzeniem tygodnia był fakt, że szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński ma zegarek i zamyka czasem oczy. My to rozumiemy. Też czasem już na to wszystko nie mamy siły patrzeć.

Źli ludzie opowiadają na mieście (i w niektórych mediach), że ustawa o ochronie ojczyzny, nad którą pracował Kaczyński SWP, nie była konsultowana z prezydentem Andrzejem Sebastianem. Otóż twierdzenie to nie polega na prawdzie. Tak się bowiem składa, że ustaliliśmy, iż całkiem niedawno z prezydentem Andrzejem Sebastianem długie spotkanie odbył minister obrony Mariusz Błaszczak. I wiewiórki mówią, że była to bardzo owocna rozmowa.

Pilna sprawa, mamy wniosek do ministra edukacji Czarnka. Potrzebny jest koniecznie nowy przedmiot w szkołach. „Czytanie ze zrozumieniem". Bez tego cymbały rozmaite nadal będą uważać, że kiedy premier Mateusz mówi w „Financial Times" o trzeciej wojnie światowej, to serio ma na myśli silosy, rakiety, bomby A oraz liczniki Geigera.

Ważne uzupełnienie do powyższego: rozumiemy, że wedle tej logiki, kiedy chłopcy z Eine Totalopposition mówią, że PiS szykuje „sądowy armagedon", to uważają, że naprawdę hordy szatana zaczną walkę z hufcami anielskimi, nastąpi upadek gwiazd i trzęsienie ziemi. Tertium non datur.

Wracając do rekonstrukturyzacji rządu. Świeżo upieczony wiceminister sportu Łukasz Mejza, zanim jeszcze został upieczony, już zabrał się za konsumowanie fruktów władzy. Mianowicie łaził po różnych samorządowcach swego macierzystego województwa lubuskiego, obiecując im, że za jego wstawiennictwem mogą coś dostać w ramach Polskiego Ładu. Młody chłopak, a już wie, jak się robi politykę.

Na pytanie, czy lud samorządowy uwierzył Mejzie, odpowiadamy: początkowo nie. Ale okazało się po ogłoszeniu szczegółów, że liczby Mejzy zgadzają się z liczbami u premiera Mateusza. Wiceminister Łukasz zdobył był bowiem wcześniej info, kto i ile dostanie w lubuskim, i użył tej wiedzy, by udawać cudotwórcę. Podpowiadamy rządowi, że znalezienie źródła przecieku jest dość istotne. Bo kto wie, co tam jeszcze może wyciec. I co może z tym zrobić Mejza.

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Ciekawym efektem ubocznym rekonstrukturyzacji rządu okazały się publiczne dywagacje na temat tego, czy była premier Bełata Szydło byłaby dobrym kandydatem na prezydenta. Z tego, co słyszeliśmy o rozważaniach Kaczyńskiego SWP, w grę wchodzą przynajmniej trzy kobiety. I czwarta, która bardzo by chciała, ale nie jest brana pod uwagę.

Ponieważ nudzą nas książki laureatów nagród Nike, Puma i Adidas, czytamy ostatnio oświadczenia majątkowe Radka Sknerusa Sikorskiego. To ci dopiero zasobny sknerus! Najbardziej zastanawia nas kwota 100 tys. dol., którą dostał od Arabów. Radek to bowiem „członek Rady Doradczej konferencji Sir Bani Yas Forum". Zastanawiamy się, na ile wraz z pieniędzmi Radek przejmuje arabskie obyczaje. Na przykład w kwestii traktowania kobiet. Oczywiście pytamy w imieniu Bełaty Kempy.

Kiedy napisaliśmy o nowym kandydacie na ambasadora Polski w Berlinie, kilka osób do nas dzwoniło z dementi, twierdząc, że obecny szef placówki prof. Andrzej Przyłębski nie wybiera się do kraju. Już mieliśmy się obrazić na nasze wiewiórki, ale do naszej skrzynki wpadło zaproszenie na koncert z okazji Święta Niepodległości, z zaznaczeniem, że będzie to równocześnie pożegnanie ambasadora.

Na koncercie zagra Warszawska Orkiestra Sentymentalna. I dobrze. Musimy przyznać, że podziwiamy ambasadora, który przez całą swoją misję w stolicy Niemiec musiał znosić dźwięki berlińskiej orkiestry hejterskiej w postaci rozmaitych KOD-ów czy innych dziewuch, które co i rusz wyły mu pod rezydencją. My, szczerze mówiąc, byśmy nie zdzierżyli. Zważywszy, że profesor jako filozof zajmuje się hermeneutyką, musimy przydać, że nieobcy jest mu również stoicyzm. I to praktyczny.

Podobno PiS jest izolowany na arenie międzynarodowej. Jak na izolację to z grubsza rzecz biorąc przypomina to tzw. zakład półotwarty. Prezydent Andrzej Sebastian przez bite trzy godziny był podejmowany przez francuskiego prezydenta Macrona. Spiskowali przeciw Niemcom i był to, jak mówią wiewiórki, spisek wielce obiecujący. Atmosferze dopomógł fakt, że Emmanuel nawet nie ofuknął swojego polskiego kolegi za przybijanie przez premiera Morawieckiego piątki z Marine Le Pen.

Tymczasem do Warszawy znów przybędą Sasi. A konkretnie jeden. Premier Saksonii Michael Kretschmer z prezydentem Andrzejem Sebastianem otworzą w najbliższy czwartek wystawę poświęconą Wettynom na tronie polskim. Ale w ramach izolowania Polski premier saski poprosił o jeszcze jedno spotkanie. Z ministrem spraw wewnętrznych. Krwawy Mario się wahał, bo wszak jest konstytucyjnym ministrem, a Kretschmer to taki odpowiednik wojewody. Mario jednak docenił wsparcie Kretschmera dla finansowania polskiego muru na granicy z Białorusią ze środków unijnych. Nie bez znaczenia była też jednak odwieczna przyjaźń polska z Sasami. ©℗

eprasa.pl f469fbd7ef

Grupa Inwest®

Deweloper
Generalny wykonawca
Producent elementów prefabrykowanych

25
lat na rynku

3484
sprzedanych mieszkań

78
zrealizowanych inwestycji

10
inwestycji w realizacji

www.**grupainwest.pl**

Nie dać się zastraszyć

27 października w warszawskim hotelu Bellotto odbyła się konferencja „Ideologia LGBT – ochrona prawna rodziny” zorganizowana przez Fundację Strażnik Pamięci, której patronem medialnym był tygodnik „Do Rzeczy”. Uczestnicy dyskusji zwracali uwagę na liczne zagrożenia wypływające z ideologii LGBT, jak również wskazywali, w jaki sposób można się przed nimi bronić

Konferencja została podzielona na pięć paneli. Pierwszy z nich zatytułowano „LGBT – Ideologia? Ludzie? Nauka?”, a wystąpili w nim prezes Fundacji Strażnik Pamięci oraz redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy” Paweł Lisicki, prezes Instytutu Ordo Iuris mec. Jerzy Kwaśniewski, małopolska kurator oświaty Barbara Nowak oraz znana działaczka pro-life Kaja Godek. Dyskusję poprowadził redaktor naczelny portalu DoRzeczy.pl Karol Gac.

Małopolska kurator tłumaczyła, dlaczego aktywistom LGBT tak bardzo zależy na wprowadzeniu tzw. edukacji seksualnej. – Rewolucja musi rozpocząć się od najmłodszych. Dziecko musi być deprawowane w przedszkolu, w szkole i na uczelni […]. Każde dziecko ma dostęp do Internetu, który sam je kieruje do odpowiednich tematów. Jest ono narażone na powszechną demoralizację – wskazywała. Kaja Godek zwróciła z kolei uwagę, że celem ideologii LGBT jest zniszczenie wszelkiej normy w społeczeństwie. – Każda lewacka ideologia jest wewnętrznie sprzeczna, a na koniec nie ma się czego złapać i nie ma zasad, które są trwałe, dlatego muszą się wywrócić, ale zanim to nastąpi, wciągną wielu ludzi – mówiła.

Prezes Instytutu Ordo Iuris mec. Jerzy Kwaśniewski nawiązał za to do słynnego marksisty Slavoja Žižka, który przyznał, że LGBT można traktować jako formę ideologii. Jak dodał mec. Kwaśniewski, niebezpieczną praktyką staje się fakt, że podstawą prawa międzynarodowego przestają być traktaty, a zaczynają być standardy ustanawiane przez międzynarodowe gremia (np. WHO). – Musimy mówić o konieczności powstrzymania ofensywy, która przeorała system międzynarodowy. Ona wywróciła prawa człowieka. Mamy do czynienia z ideologią, która chce zaorać naszą cywilizację, a na ugorze posadzić zupełnie nowe ziarna – dodał.

Redaktor naczelny „Do Rzeczy” Paweł Lisicki także nie miał wątpliwości, że w przypadku LGBT mamy do czynienia z ideologią, której celem jest stworzenie „nowego człowieka”. – Tym, co wyróżnia człowieka, jest wyższość tego, co rozumne, nad tym, co zmysłowe. Ten pogląd stanowi część kultury zachodniej. Teza negująca to rozróżnienie sprowadza człowieka wyłącznie do zaspokojenia popędów, sprowadza człowieka do poziomu zwierzęcia – mówił. Jednocześnie redaktor naczelny „Do Rzeczy” ocenił, że prawicowe środowiska nie mogą nieustannie ustępować pola lewicy i jeżeli chcą odnieść sukces, to muszą przejść do

eprasa.pl f469fbd7ef

W pierwszym panelu udział wzięli (od prawej): działaczka pro-life Kaja Godek, małopolska kurator oświaty Barbara Nowak, prezes Instytutu Ordo Iuris mec. Jerzy Kwaśniewski i redaktor naczelny „Do Rzeczy" Paweł Lisicki. Debatę prowadził redaktor naczelny portalu DoRzeczy.pl Karol Gac

FOT. DO RZECZY

ofensywy. – Następuje radykalizacja, społeczeństwo się przygląda, a działalność prawicy polega głównie na tym, że przyjmuje część haseł i podąża za wielkim wehikułem. Trzeba to przełamać i zaatakować przeciwnika. Trzeba wejść na jego teren i zszokować go. Jeżeli będziemy się cofać, to będziemy zawsze przegrywać. Najważniejsze jest uderzenie w miejscu, w którym przeciwnik się nie spodziewa – mówił.

KU POLSKIEMU STONEWALL

Drugi panel zatytułowano „Ku polskiemu Stonewall… Historia ruchu LGBT", a wystąpili w nim Karolina Pawłowska (dyrektor Centrum Prawa Międzynarodowego Instytutu Ordo Iuris), Arkadiusz Stelmach (wiceprezes Stowarzyszenia Kultury Chrześcijańskiej im. ks. Piotra Skargi) oraz Rafał A. Ziemkiewicz („Do Rzeczy"). Dyskusję moderował Jakub Zgierski („Młot na marksizm").

Pawłowska przyznała na wstępie, że proces forsowania kolejnych postulatów lewicy w Europie Zachodniej i USA nie tylko trwa, lecz także przyspiesza. – Lewica zrobiła coś, co my przegapiliśmy – bardzo wcześnie zorientowała się, że najlepszym sposobem na debatę publiczną, politykę jest działanie za pomocą organizacji pozarządowych. Dlaczego? Mogą więcej powiedzieć i przez to mogą przesuwać granicę coraz bardziej na lewo – mówiła. Rafał A. Ziemkiewicz podkreślił zaś, że ruch LGBT jest obcy kulturowo w Polsce. – To eksport rewolucji. Nie ma tam cienia spontaniczności […]. Na Zachodzie ruch ten odwoływał się do opresji i krzywd, a u nas nic podobnego miejsca nie miało. Nie było polskich zamieszek Stonewall, bo nie mogło być – wymieniał.

Wiceprezes Stowarzyszenia im. ks. Piotra Skargi zwrócił zaś uwagę na drugie dno ideologii LGBT i ideologiczne ramy, w które daje się ona wpisać. – Nurt ideologii, który stoi za literkami LGBT, jest częścią szerszego zjawiska i procesu. Ma on wspólny mianownik z poprzednimi etapami wielkiej rewolucji, która doprowadziła nas do obecnego momentu. Poprzednie stacje to była rewolucja protestancka Marcina Lutra, francuska, komunistyczna, a teraz seksualna. Już widzimy, że na naszych oczach mocno wchodzi rewolucja transhumanistyczna – mówił.

LGBT A KOŚCIÓŁ

W trzecim panelu „LGBT a Kościół katolicki" wystąpili ks. dr Tomasz Huzarek (rektor Wyższego Seminarium Duchowego w Pelplinie), Krystian Kratiuk (redaktor naczelny PCh24.pl) oraz Tomasz Rowiński („Do Rzeczy", magazyn „Christianitas"). Moderował go Paweł Chmielewski z PCh24.pl. Ksiądz doktor Huzarek zwrócił uwagę, że zagrożeniem jest denaturalizacja, czyli oderwanie człowieka od jego natury. – Jeśli natura jest istotą zdeterminowaną w działaniu, to tu mamy kompletne oderwanie od natury. Drugie zagrożenie, które jest równie silnie i mocne, czyli skrajny dualizm – wskazywał.

Krystian Kratiuk przyznał zaś, że to strach sprawia, iż Kościół angażuje się w dialog z LGBT, choć tak naprawdę nie ma ku niemu możliwości. – W Polsce dużo częściej czyta się „Gazetę Wyborczą" i patrzy, co tam napisano o Kościele. Czy to jest istotne, jak o nas piszą? Co o Panu Jezusie mówili ludzie, którzy chcieli go ukrzyżować? To było dla Pana Jezusa istotne? Istotne było dla Niego, czy w Niego wierzą – mówił.

TĘCZOWA CENZURA

W czwartym panelu „Tylko dobrze albo wcale? Cenzura LGBT" wystąpili adwokat dr Bartosz Lewandowski (dyrektor Centrum Interwencji Procesowej Instytutu Ordo Iuris), Łukasz Karpiel (PCh24.pl) oraz ks. prof. Dariusz Oko (Uniwersytet Papieski w Krakowie). Dyskusję moderowała Zuzanna Dąbrowska z portalu DoRzeczy.pl.

Ksiądz profesor Oko przestrzegał przed tym, co dzieje się obecnie na Zachodzie. – To realne zagrożenie dla Polski. Mamy być kolejnym krajem-ofiarą tego systemu totalitarnego […]. Z powodu jednego artykułu trzech księży profesorów ma iść do więzienia. To pokazuje, gdzie jesteśmy – mówił. Redaktor Karpiel zauważył zaś, że cenzura w mediach społecznościowych to część szerszej strategii. – YouTube usunął nasz film o mafii lawendowej, chociaż nie był opublikowany. Widać wyraźnie, który to już etap. To problem polityczny. Zaciska się pętla i nikt nie jest bezpieczny. Mam wrażenie, że kończy się etap paradygmatu Gramsciego, a jest wyczekiwanie paradygmatu Lenina, by coś zniszczyć – ocenił.

DOKĄD ZMIERZAMY?

W ostatnim panelu „Którą drogą pójdzie Polska?" wzięli udział prof. Mieczysław Ryba (KUL), Bogdan Dobosz (PCh24.pl) i Marek Jurek (marszałek Sejmu V kadencji). Dyskusję moderował Wojciech Golonka. Bogdan Dobosz przybliżył słuchaczom, jak rewolucja LGBT wyglądała we Francji. – Przebieg i sposób etapowania, odkrajania po kawałku normalności jest taki sam we wszystkich krajach. We Francji zaczynało się od niewinnych rzeczy. W 2013 r. zalegalizowano małżeństwa. Wówczas na ulice Francji wyszło kilka milionów osób, ale to nic nie pomogło – wyliczał.

Marek Jurek podkreślił za to, że musimy bronić tego, co mamy. – Trzeba z dumą prezentować zasady, na których oparty jest ład społeczny w Polsce, także te konstytucyjne. Druga rzecz to przenieść to na forum międzynarodowe. To nie walka samotnej Polski z całym światem. Nawet na synodzie rodzinnym afrykańscy biskupi krytykowali Europę. Obecnie obowiązuje w Polsce genderowa konwencja stambulska – mówił. ***(kga)***

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Obszerna relacja tekstowa oraz zapis wideo debaty znajdują się na stronie Dorzeczy.pl. Konferencja „Ideologia LGBT – ochrona prawna rodziny" została zorganizowana przez Fundację Strażnik Pamięci. Współfinansowano ją ze środków Funduszu Sprawiedliwości, którego dysponentem jest minister sprawiedliwości.

eprasa.pl f469fbd7ef

Małgorzata Wołczyk

To dzieci – jeszcze nieświadomie – stają się celem ataków tych, którzy chcą zmienić nasze społeczeństwa i pragną wychować sobie rzesze ogłupionych konsumentów. Tylko rodzice mogą postawić temu tamę

W imię

FOT. ADOBE STOCK

Trzeba przyznać, że Jaś i Małgosia znów mają kłopoty, o jakich nie śniło się braciom Grimm. Tym razem sprytna samozwańcza macocha wyprowadza rodziców Jasia i Małgosi w las, aby przejąć kontrolę nad sercami, umysłami i wychowaniem dzieci. Najdobitniej w Europie (jak dotąd!) przyznała się do realizowania tego zamysłu hiszpańska ministra edukacji Isabel Celaá, wygłaszając na konferencji prasowej 17 stycznia 2020 r. niezapomniane dla Hiszpanów słowa: „Dzieci w żaden sposób nie należą już do rodziców!".

Problemem Europy nie jest jednak tylko nacierający soft totalitaryzm postępowej lewicy, ale fakt, że wielu rodziców nie zdaje sobie sprawy z problemu. Również dlatego (i tu znów bracia Grimm okażą się poręczni), że sami zbyt są zajęci konsumowaniem dóbr z podsuwanej im na różne sposoby słodkiej chatki. Dotyczy to także Polaków, którzy wychowani w naturalnych rodzinach, mający za sobą dzieciństwo w klimacie niewinności, dziś albo nie zwracają uwagi na symptomy niszczenia bezbronnych dzieci, albo – co gorsza – sami gardłują za kopiowaniem wszystkich „modeli rodziny" i nowoczesnych wzorców wychowania płynących z Zachodu.

Zamach na dzieciństwo, jak wszyscy wiemy, jest więc przede wszystkim zamachem na naturalną rodzinę. Wystarczy dziś jednak użyć tego określenia, aby podpaść pod paragraf mowy nienawiści w wielu postępowych krajach, które choć pasjami prawią o „prawach człowieka", to zdążyły już zapomnieć, kim jest człowiek i w jakim momencie się poczyna. Podkreślanie dziś, że najpełniejszą gwarancją dobra dzieci jest wychowanie przez biologicznych rodziców pozostających w związku małżeńskim, jawi się jako myślozbrodnia. Nic dziwnego, że powstawać muszą książki, które z pomocą danych statystycznych śpieszą udowadniać to, w co do niedawna nikt na świecie nie wątpił. Fernando Pliego Carrasco, autor nieocenionej książki „Struktury rodzinne a dobre samopoczucie dzieci i dorosłych", zebrał wyniki z 589 publikacji naukowych i oficjalnych, stworzonych na podstawie reprezentatywnych badań lub danych typu spisowego, przeprowadzonych od 1995 do 2016 r. w 16 demokratycznych państwach świata, by udowodnić, że wedle wszelkich danych rodzina naturalna najlepiej chroni dziecko przed ryzykiem przemocy seksualnej, a także każdej innej i stanowi najbezpieczniejsze środowisko. Dziś już nie wystarczą argumenty płynące z prawa naturalnego, z całego dorobku psychologii, nauki i tzw. mądrości ludowej, więc jedynym i ewentualnym sposobem rozmowy może być pokazywanie wykresów, statystyk, aby z pomocą matematyki móc przekonać adwersarza promującego inne „modele rodzinne".

WYCHOWAĆ KONSUMENTA

Problem w tym, że rodzina znalazła się na celowniku najpotężniejszych sprzymierzonych wrogów, bo wielki biznes potrzebuje konsumenta (stąd preferuje jednoosobowe gospodarstwa domowe), a liberalna lewica potrzebuje wyemancypowanego ze wszelkich więzi i powinności indywidualisty. Posłusznego konsumenta i aktywistę trzeba sobie jednak wychować już od małego, stąd należy sięgnąć już po zmysły najmłodszych. Prym w tej walce o duszę dziecka znów zdaje się wieść Hiszpania, która we wdrażaniu polityki genderowej nie ma sobie równych za spra-

eprasa.pl f469fbd7ef

dzieci

wą „ministry" ds. równouprawnienia Irene Montero. Już w grudniu 2020 r., jak opisuje dziennik „Okdiario" – zgodnie z zaleceniami opublikowanymi przez ministerstwo równości w kontrowersyjnym raporcie „Reklama i świąteczne kampanie zabawkowe" – ideałem według ministerstwa Irene Montero są zabawki neutralne płciowo, pomocne w korygowaniu i unikaniu problemów społecznych: „Dzięki neutralnym lub wspólnym zabawkom, wolnym od stereotypów, zapewnia się promowanie innych wartości oraz zdolności koedukacyjnych". W dokumencie stwierdza się, że kolor różowy „dręczy i represjonuje dziewczęta", którym oferuje się „wszechświat głównie w tej tonacji, zamieszkany przez lalki i przedmioty przeznaczone głównie do pielęgnacji". Podczas gdy niesprawiedliwie dla chłopców „wciąż dominuje wszechświat silnika i posługiwania się narzędziami". Z drugiej strony raport zawiera również sugestie dla reklamodawców dotyczące utworów odtwarzanych w ich produkcjach, bo – jak podpowiadają ministerialni eksperci – producenci nie zdają sobie sprawy z rodzajów strategii, jakie stosują: chłopcom prezentują bardziej intensywne melodie, dla dziewczynek zaś niestety bardziej melodyjne. I – co ponoć oburzające – głos lektora jest bardziej dziecinny, pełen słodyczy w przypadku reklam skierowanych do dziewczynek.

Trzeba przyznać, że hiszpański pościg za stereotypami płciowymi nie ma sobie równych i doprawdy niech się schowa duński producent Lego, który dopiero po zleceniu badań w ostatnich tygodniach pokajał się za utrwalanie szkodliwych stereotypów i obiecał poprawę: „Firma dąży do tego, aby zabawa klockami LEGO była bardziej inkluzywna i aby twórcze ambicje dzieci – zarówno teraz, jak i w przyszłości – nie były ograniczane przez stereotypy dotyczące płci – komentuje Grupa LEGO. – Mając to na względzie, LEGO nie będzie oznaczać już żadnego ze swoich produktów jako zabawka »dla dziewczynek« lub »dla chłopców«, a na Lego.com konsumenci nie będą mogli wyszukiwać produktów według płci".

Ci z nas, którzy po nadepnięciu gołą stopą na klocki Lego obiecali sobie solennie, że już nigdy nie kupią dziecku czegoś tak bolesnego, mają kolejny powód, aby przemyśleć dobrze zakup. Jak można zatem przewidywać, emitowana sezonowo

eprasa.pl f469fbd7ef

seria figurek wkrótce może zaproponować też ludziki LGBT+ i wtedy nawet my, dorośli, nabierzemy wyobrażenia o pełnej gamie genderów.

Gdyby ktoś wciąż nie rozumiał, skąd ten pęd, aby dziecko „uświadamiać seksualnie" od maleńkości, należy przypomnieć zdanie wspomnianej wcześniej „wybitnej" na skalę europejską „ministry" Montero, która wobec gwałtownych sprzeciwów hiszpańskiej konserwatywnej partii VOX wyjaśniła: „Dzieci seksistowskich ojców i matek mają takie samo prawo jak reszta do edukacji w zakresie wolności, feminizmu i równości! A dzieci homofobicznych rodziców muszą wiedzieć, że mogą kochać, kogo chcą, jak chcą i kiedy chcą" (słowa wypowiedziane na konferencji prasowej 17 stycznia 2020 r.).

ZABAWY EROTYCZNE DLA NAJMŁODSZYCH

Rok temu pod wpływem ogromnego oburzenia i nagłośnienia sprawy zdołano z pomocą Sądu Najwyższego ukrócić pomysł władz regionalnych Nawarry z 2018 r. wprowadzania obligatoryjnie w placówkach dla najmłodszych „zabaw erotycznych dla dzieci od 0 do 6 lat". Kontrowersyjny program „Skolae" uzasadniał to „jako formę rozpoznawania dziecięcej seksualności od urodzenia, dekryminalizację doświadczania seksualnego w środowisku szkolnym i rodzinnym". Dzieci w wieku od 6 do 12 lat miały nauczyć się badać i rozpoznawać, czy ich gender pokrywa się z płcią zapisaną w metryce. Następna grupa wiekowa (12–16-latkowie) według programu, miała nauczyć się analizować „przyjemność erotyczną: różnorodność smaków i przyjemności". Młodzież w wieku od 16 do 18 lat miała zapoznać się z przyczynami przemocy wśród nastolatków, do której wpisano też „romantyczną miłość jako praktykę maczystowską, obciążoną hegemoniczną męskością". Autorzy programu zapewniają, że „romantyczna miłość jest burżuazyjną rekonstrukcją zdefiniowaną przez heteroseksualność i opartą na dawnym podziale ról w parze". W domyśle więc – miłość, jaką znamy i praktykujemy od wieków, to praktyka reakcyjna niegodna nowoczesnego społeczeństwa, która służy do sprowadzenia młodych dziewczyn do roli podległej opiekunki, rodzicielki.

Niektóre z tych wytycznych programowych, jak głosił dziennik „ABC", zaczęto realizować w szkołach Nawarry od 2018 r. i to wcale nie w ramach zajęć dodatkowych. „Opinia rodziców nie miała znaczenia". Dopiero skandal, który wybuchł, i reakcja ze strony prawicowych posłów parlamentu Nawarry, którzy określili ten program jako „aberrację i absolutny skandal", sprawiły, że sprawa skończyła się przed Sądem Najwyższym i decyzją sędziów program nauczania zniknął ze wszystkich ośrodków edukacyjnych.

Rodzice w Hiszpanii nie byli świadomi przez dekadę, czego nauczano w ramach „edukacji obywatelskiej", czyli przedmiotu, który pojawił się wraz z epoką premiera Zapatero.

Przygotowaniem gruntu pod zmiany mentalne zajmuje się zwykle też rynek księgarski. Wystarczy wyjechać na weekend do Barcelony, Paryża czy Londynu, aby powrócić z walizką lektur, których tytuły dla przykładu brzmią: „Mój homofobiczny tata mówi, że Bóg nienawidzi par tej samej płci" Brada Gosse; „Mama + Tata + Chad: Twoi rodzice utworzyli trio"; „Moja rasistowska babcia" czy „Jak tata złapał chorobę weneryczną. O zasadach bezpiecznego seksu i prostytucji".

Dzieci w wieku od 6 do 12 lat miały nauczyć się badać i rozpoznawać, czy ich gender pokrywa się z płcią w metryce

Od kiedy wybuchła rewolucja przebudzenia zwana umownie „culture woke", półki dla maluczkich, zwłaszcza w USA, uginają się pod ciężarem dzieł w tym duchu, a tytuły mówią same za siebie: „Antiracist Baby", „Woke Baby", „Feminist Baby", „A jak Aktywista". Jak donoszą obserwatorzy z „Daily Mail", książek o rasizmie i brutalności policji znacznie przybyło po śmierci George'a Floyda. W książce „Woke Baby" autorka Mahogany L. Browne pisze o walce rasowej, która zaczyna się już w łóżeczku: „Obudzone niemowlęta wznoszą pięści ku górze. Obudzone dzieci wołają o sprawiedliwość". Oczywiście autorzy zarzekają się, że nie chodzi tu o żadną indoktrynację czy ideologię, ale o świat wartości. Pawlik Morozow na pewno też nie czuł się poddany propagandzie, a po prostu służył „wartościom". W dodatku te pogadanki w duchu nowej moralności to już bestsellery: „W szczytowym momencie letnich niepokojów siedem z dziesięciu najlepszych tytułów Amazona i dziewięć z Barnes & Noble's podejmowało temat rasy". Jak brzmi zresztą jeden z tytułów – „Dziecko nie rodzi się rasistą, dziecko takim się staje". Dlatego wśród celów wydawnictw pojawia się dążenie do dziejowej „sprawiedliwości transformacyjnej", która stworzy nowego człowieka pomimo lub wbrew woli rodziców. Małolatów zasypuje się już nawet „hagiograficznymi" biografiami Ruth Bader Ginsburg, Michelle Obamy i przede wszystkim czarnoskórych (czy jeszcze wypada tak napisać?) bohaterów. I nic to, że dzieci w przedziale wiekowym od trzech do pięciu lat nie są w stanie zrozumieć niektórych zagadnień, chodzi o to, by nasiąkały słownictwem, a w ich głowach powstawały mantry.

Wysyp „tęczowych" książek dla maluchów to ta sama strategia oswajania i wdrukowywania haseł progresistów – „Moi tatusiowie!" Geretha Petera, „Dwie mamy Oskara" S. Scheerer i A. von Sperber (wydane także w Polsce). Znajdziemy mnóstwo książek promujących inne modele rodzin: „Moja rodzina jest wyjątkowa", „Wielka księga rodzin", „Paula ma dwie mamusie". Prawdziwie demoniczne są jednak książki, które każą dziecku wątpić we własną płeć, opowieści z przesłaniem o transpłciowości i byciu queer sytuują się już w ramach szkodliwej pornografii dziecięcej. Ale kogo obchodzi dziś dziecko, skoro w ten sposób wychowuje się od małego przyszłego klienta w klinikach korekty płci i medycyny estetycznej oraz przyszłych bywalców klinik aborcyjnych i przyszłych konsumentów biznesu rozrywkowo-pornograficznego.

To dlatego Węgry, które przyjęły ustawę zakazującą udostępniania niepełnoletnim jakichkolwiek treści „przedstawiających lub promujących homoseksualizm lub zabiegi zmiany płci", stały niedawno pod pręgierzem KE. Orbán rozjuszył pół Europy, pozostawiając decyzji rodziców kształcenie swoich dzieci w sferze seksualnej.

BRUTALIZACJA JĘZYKA

Nie wiadomo, kiedy nasze dzieci zaczęły należeć do komisarzy unijnych,

eprasa.pl f469fbd7ef

którzy chcą roztoczyć kontrolę nad ich wychowaniem, a właściwie indoktrynowaniem. Jeśli nawet tu Polska wciąż się broni, to zupełnie bezradna okazała się wobec fali brutalizacji i wulgaryzacji języka za sprawą Marty Lempart, manifestacji OSK i „elit", które promowały język nowej barbarii. Nie widać żadnych analiz czy debat o konsekwencjach używania takiego języka w przestrzeni publicznej na zachowania i sposób wyrażania się dzieci. Jako matka słyszałam wielokrotnie skargi mojego syna na wulgarny język, który od jesieni ubiegłego roku niepodzielnie króluje w klasach, na podwórku, na czacie, na komunikatorach. Potwierdzeniem tego faktu były organizowane w trybie pilnym zebrania dla rodziców, na których wychowawcy cytowali prawdziwie rynsztokowe odzywki uczniów (i nie sądzę, żeby problem dotyczył tylko podstawówki mojego syna i innych moich znajomych w Warszawie).

Dlaczego o tym się nie mówi? Ponieważ ten gangsta slang uwiódł nawet Mistrza Mowy Polskiej – Jerzego Sosnowskiego i laureatkę Nobla. Warto przypomnieć słowa, które w newralgicznym czasie naporu barbarii na Trybunał Konstytucyjny czy kościoły ten uznany arbiter elegantiarum i publicysta katolickiej „Więzi" opublikował na swoim koncie na Facebooku: „To, co uderza mnie w obecnych wydarzeniach, to – proszę wybaczyć uwagę filologa – radykalna zmiana języka. I naprawdę nie chodzi o użycie wulgaryzmów (one wydają mi się objawem, nie przyczyną […]. Sądzę, że tak w naszej mowie odciska się WRZENIE REWOLUCYJNE. Najsensowniejszy tekst, który mi to zjawisko mimochodem wytłumaczył, to słowa Katarzyny Wężyk, które przytaczam: »Coś pękło, i najlepiej to uczucie podsumowuje genialne – brawo Strajk Kobiet – hasło protestu: WYPIERDALAĆ. Wypierdalać oznacza, że doszłyśmy do ściany. Że ta ekipa rządząca, zblatowana z Kościołem, nie zasługuje na nic innego. […] To cipka się odgryza. Ani rząd, ani Kościół nie zasługuje dziś na zaproszenie do rozmowy, nie zasługuje nawet na tzw. kulturalne wezwanie do odejścia. Z osobami odmawiającymi ci podmiotowości się nie rozmawia. Z osobami uważającymi, że zygota albo zaśniad ma więcej praw od właścicielki macicy, nie prowadzi się kulturalnych sporów. Osoby przez lata używające mowy nienawiści, szantażujące Hitlerem, wyzywające od morderczyń, uważające, że mogą dysponować ciałami kobiet, bo ich bóg i biskup tak chce, nie zasługują na dialog. Wchodzicie w nasze życie i nasze ciała, to się nie dziwcie, że wchodzimy wam do kościołów. Szerzycie z ołtarzy nienawiść, to się nie dziwcie, że ktoś przed nim staje z transparentem ABORCJA JEST OK. Z przemocowcami się nie negocjuje. Przemocowcom każe się wypierdalać«".

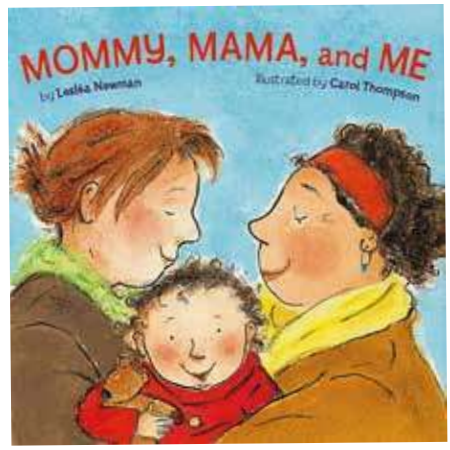

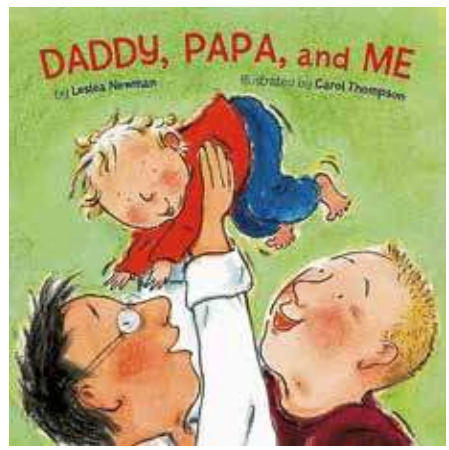

Seria książek dla małych dzieci, w których promuje się m.in. model rodziny z dwiema mamami czy dwoma tatusiami FOT. MATERIAŁY PRASOWE

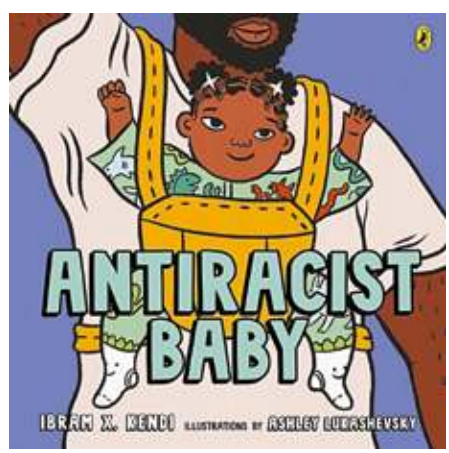

Sosnowski kroczący w glorii publicysty i pisarza katolickiego uzasadnia przemoc słowną (i jak pokazały okoliczności – przemoc fizyczną) powyżej cytowanym knajackim bluzgiem. Czy ktoś zareagował? Owszem, jury konkursu Mistrz Mowy Polskiej przyznało mu już dwa miesiące później honorowy tytuł. Sosnowski nie ma dzieci (oprócz „dzieci rewolucji", które aktywnie wspierał), więc barbaryzacja języka nie jest dla niego problemem, bo służy słusznej jego zdaniem sprawie obalenia rządu. Ba! Jak czytamy na stronie Onetu, w programie radiowym noblistka Olga Tokarczuk twierdziła, że uliczne transparenty „mówią dziś prawdę" i chciałaby, by powstała książka z hasłami z nich. „To jest nowa poezja. To jest nowy język, który staje się językiem zbiorowym – i który pozwala nam dziś wyartykułować prawdę o świecie" – uznała.

Ot, elita literacka herbu ośmiu gwiazdek, przedstawiana jako wybitne osobistości polskiej kultury, której teksty literackie podstawia się pod nos dzieciom i młodzieży. Propagowanie wandalizmu i przemocy jako słuszne „wrzenie rewolucyjne" dowodzi, jak blisko katolikom otwartym do gilotynowania adwersarzy. Wprowadzanie zamętu semantycznego to specjalność naszych elit, dlatego mało kogo oburzyło hasło „Bronimy życia", pod którym odbył się rocznicowy przemarsz Lempart i spółki parę dni temu. Wszystkie chwyty dozwolone i nikt nie widzi, że odbywa się to kosztem ogłupiania naszych najmniejszych.

Jedno naprawdę się nie zmienia od wieków – największym zagrożeniem dla dziecka jest niedojrzały i nieodpowiedzialny rodzic, opiekun i otoczenie dorosłych, wśród których młodzik się rozwija. Jeśli jednak całe społeczeństwo potulnie zgadza się na ogłupienie, infantylizację i tęczową indoktrynację wszelkimi dostępnymi kanałami, to ma także swój pokaźny współudział w zamachu na niewinność tych, którzy sami się nie obronią.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f469fbd7ef

Dość naiwności. To jest wojna

Rafał A. Ziemkiewicz

„A więc wojna" – napisał Jacek Saryusz-Wolski po przyjęciu przez Parlament Europejski rezolucji w sprawie Polski. Głos tego polityka, bodaj najwybitniejszego znawcy Unii Europejskiej, jakiego mamy, zawsze był głosem wołającego na puszczy – zarówno wtedy, gdy formalnie był on członkiem PO, jak i wtedy, gdy przeszedł do PiS i nawet został przez partię obecnie rządzącą ogłoszony symbolicznie jej kandydatem na przewodniczącego Rady Europejskiej

Tym razem, chyba po raz pierwszy, opinia Saryusza-Wolskiego, a co najmniej jego retoryka, znalazła odzwierciedlenie w późniejszej wypowiedzi premiera Mateusza Morawieckiego. W wywiadzie dla dziennika „Financial Times" oskarżył on Komisję Europejską o rozpętanie „trzeciej wojny światowej" przeciwko Polsce i Węgrom oraz „przykładanie Polsce pistoletu do głowy".

Chciałoby się powiedzieć: lepiej późno niż wcale, gdyby istniała jakakolwiek gwarancja, że te słowa są zapowiedzią zmiany naszego stanowiska wobec unijnych nacisków. Niestety, dotychczasowe działania PiS, firmowane przez premiera Morawieckiego, każą podejrzewać, że są one tylko retoryką, mającą wzruszyć zachodnią opinię publiczną krzywdą prześladowanej Polski.

METODA FAKTÓW DOKONANYCH

Od samego początku konfliktu rząd Polski źle rozpoznał sytuację, w związku z czym zastosował zupełnie nieskuteczną politykę swoistego „appeasementu". PiS nie dostrzegł faktycznego powodu ataków na Polskę i Węgry – dążenia eurokracji i zdominowanych przez lewicę rządów części państw unijnych do „zacieśnienia integracji", czyli budowy federalnego państwa europejskiego. Taka budowa, pomijając wszystko inne, wy-

eprasa.pl f469fbd7ef

Wystąpienie premiera Mateusza Morawieckiego w Parlamencie Europejskim FOT. FREDERIC MARVAUX/EP/EU

maga odrzucenia dotychczasowych traktatów. Ponieważ nastroje europejskich społeczeństw uniemożliwiają przeprowadzenie takiej zmiany w sposób legalny (nie udało się to już wiele lat temu przy próbie stworzenia tzw. konstytucji europejskiej, a od tego czasu eurosceptycyzm starej Unii wzrósł), jedynym sposobem budowania nowego porządku może być nagięcie ogólnych przepisów traktatu lizbońskiego w kierunku uznania ich za podstawę do nadrzędności decyzji organów UE nad rządami i sądami państw członkowskich i wymuszenie uznania tej interpretacji metodą faktów dokonanych.

Rząd PiS naiwnie uznał, że traktaty obowiązują, a że mówią one to, co mówią, nic nam na poważnie nie grozi. Całą antypolską krzątaninę organów unijnych uznano li tylko za wojnę nerwów, przyjacielską przysługę, którą europejscy sojusznicy PO i Lewicy świadczą swoim polskim kolegom.

Fałszywe poczucie bezpieczeństwa, które stworzyła politykom PiS wiara w uszanowanie litery unijnych traktatów, zbiegło się z przeświadczeniem, że wszystko można załatwić z odpowiednimi osobami w rozmowach kuluarowych. Polscy politycy rozmawiali w ten sposób z wpływowymi osobami w Komisji Europejskiej czy innych gremiach i uzyskiwali ustne zapewnienia, że medialne ataki czy czysto propagandowe rezolucje Parlamentu Europejskiego nie wpłyną na konkretne decyzje. O niektórych z tych obietnic wiemy, bo politycy PiS mówili o nich publicznie. Na przykład, że obiecano nam, iż „kontrola praworządności" zostanie w praktyce zawężona do kontroli sposobu wydawania pieniędzy z Funduszu Odbudowy (gdzie nie mamy się czego obawiać) albo że odkładane ze względów politycznych zatwierdzenie przez KE polskiego Funduszu Odbudowy nastąpi po ukonstytuowaniu się nowych władz w Niemczech, czyli około listopada.

Aż trudno uwierzyć, że polscy politycy mogli okazać się tak nieprofesjonalni i naiwni, żeby dać się zbyć nieoficjalnymi obietnicami „na gębę". Zwłaszcza po doświadczeniu traktatu lizbońskiego, kiedy to politycy Unii, na czele z ówczesnym prezydentem Francji, posunęli się do intrygi i otwartych kłamstw, aby zmanipulować prezydenta Lecha Kaczyńskiego i skłonić go do złożenia podpisu pod zapisami działającymi w istocie zupełnie inaczej, niż mu to przedstawiono. Fakt, że to przykre doświadczenie PiS wyparł potem z pamięci w imię nieskazitelności legendy tragicznie zmarłego brata Jarosława Kaczyńskiego. A historia, z której nie wyciągnięto wniosków, lubi się powtarzać.

PiS po raz kolejny powtórzył także kardynalny błąd polskiej polityki zagranicznej, popełniany notorycznie, ktokolwiek nią akurat kieruje – postrzeganie umów międzynarodowych jako wzajemnego świadczenia sobie uprzejmości pomiędzy przyzwoitymi ludźmi, a nie jako wzajemnego zabezpieczania się przed sobą przez bezwzględnych graczy, którzy tylko udają miłych, ale w gruncie rzeczy wcale sobie nie ufają. Skoro wspólny unijny dług czy zielony ład są dla Europy takie ważne, to my wyświadczymy im tę grzeczność i nie będziemy tych przedsięwzięć blokować, choć sami akurat nie mamy w nich żadnego interesu, a nawet przeciwnie, szkodzą nam one. W zamian, kiedy my będziemy w potrzebie, Europa też zachowa się wobec nas uprzejmie i odwdzięczy się nam, kiedy my będziemy tego potrzebowali.

Na tej zasadzie PiS uwierzył także, że możemy liczyć na wdzięczność Ursuli von der Leyen, która w dużym stopniu właśnie Polsce zawdzięcza szefowanie Komisji Europejskiej. Polskie władze nie zrozumiały, że stanowiący trudną dla nas do przyjęcia alternatywę Frans Timmermans robił to, co robił, nie dlatego, że taki ma wredny charakter albo złych, podpuszczających go na Polskę przyjaciół (choć podpuszczany niewątpliwie był), ale przede wszystkim dlatego, że tego po nim oczekiwano i że atakowanie Polski mu „punktowało". W związku z czym należy się spodziewać, że kimkolwiek będzie następny szef KE, zostanie on poddany analogicznym oczekiwaniom.

„Mieliśmy dwie bomby atomowe, w lipcu na szczycie budżetowym i w grudniu, dwa razy żeśmy ich nie użyli i oszukano nas" – mówił wspomniany już Saryusz-Wolski. Słowa o oszukaniu można potraktować jako uprzejmość wobec liderów swojej partii – w istocie oszukano nas, bo sami się o to w swojej naiwności prosiliśmy. „Tak się gra, jak przeciwnik pozwala" – mawiał Kazimierz Górski, a my pozwoliliśmy traktować nas z buta, upewniając eurokratów, że nawet w takich wypadkach nie odważymy się na zdecydowaną reakcję. Żeby nie dłużyć tematu, prawdziwą i ostateczną katastrofą wiarygodności rządu RP jako przeciwnika zdolnego bronić polskiej suwerenności była rejterada z samorządowych uchwał chroniących dzieci i rodziny przed ideologią LGBT, zarządzona, po długim deklarowaniu, że KE nie ma prawa wiązać tych uchwał z należącymi nam się funduszami regionalnymi, listem wiceministra Budy.

Na szczęście, paradoksalnie, nasza naiwność wprowadziła w błąd także naszych przeciwników w Unii. I tu – by skończyć już wątek, gdzie i jak zawiniliśmy, a przejść do ważniejszych rozważań, co teraz jeszcze możemy zrobić – jest pewna szansa.

Otóż z wielu wypowiedzi i zachowań można wnosić, że uległość, z jaką rząd RP ogranicza się wyłącznie do protestów werbalnych i bezsilnego powoływania się na traktaty, wynika z jego słabości w kraju. Jeśli polityk tak istotny dla „dojeżdżania" Polski i Niemiec jak szef

eprasa.pl f469fbd7ef

tzw. chadeków w europarlamencie, Manfred Weber, w swoim wystąpieniu dziękował „setkom tysięcy Polaków, którzy uczestniczyli w manifestach w obronie UE", to można sądzić, że lewicowo-liberalni politycy unijni postrzegają Polskę tak, jak to rysuje propaganda TVN czy „Gazety Wyborczej". Najwyraźniej wierzą oni, że PiS jest słaby i niepopularny, za to lewicowo-liberalna opozycja potężna (w tej samej debacie Andrzej Halicki przypisywał jej poparcie 80 proc. społeczeństwa) – politycy zagraniczni zapewne nie zauważyli manipulacji, polegającej na przedstawieniu wyników sondażu: „Czy popierasz członkostwo Polski w UE?" jako sondażu „Czy popierasz PO?".

WSPÓŁCZESNA TARGOWICA

W ostatnim roku TSUE i Komisja Europejska posuwały się coraz dalej, ponieważ ustępliwość PiS rozumiały jako dowód, że rząd boi się polskiej opinii publicznej. Że gdyby na poważnie stawił opór budowie federalnego „państwa europejskiego", to Polacy wyszliby masowo na ulice, wymusiliby wolne wybory i w Warszawie zainstalowany by został uległy wobec Brukseli i Berlina rząd Donalda Tuska.

Ponieważ taki scenariusz jest uważany przez nich za pożądany, dopóki wrogowie polskiej suwerenności żyją w tym przekonaniu, dopóty będą eskalować naciski. Pierwszą i podstawową sprawą jest więc jasne pokazanie Unii, że doszła do ściany, że Polska zmienia swoją politykę o 180 stopni, odrzuca dotychczasową uległość i przyjmuje narzuconą jej w antypolskiej propagandzie rolę „hamulcowego" – że może to zrobić, bo partia Tuska, wbrew propagandzie, ma największy w Polsce negatywny elektorat właśnie z tego powodu, że wybrała drogę współczesnej targowicy. By użyć starych „ludowych mądrości", dotychczas rządzącą naszymi stosunkami zasadę „pokornego cielęcia" musi zastąpić „Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie".

Dwóch „bomb atomowych" nie użyliśmy i już użyć nie możemy, ale jedna jeszcze nam została. I Unia nie może mieć wątpliwości, że jesteśmy zdecydowani jej użyć. Wywiad premiera dla żadnej, najbardziej nawet wpływowej gazety nie odniesie efektu. Polska musi okazać, że również potrafi być twarda, i jeśli ataki na naszą suwerenność nie ustaną, to potrafimy zachować się jak Margaret Thatcher, która potrafiła walnąć o stół torebką i wyjść, zrywając obrady, albo jak władze Hiszpanii, które blokowały przez pewien czas wszystkie poczynania UE, czegokolwiek by dotyczyły.

Trzeba jasno powiedzieć – to nie my narzuciliśmy takie zasady gry, w których wszystko można powiązać ze wszystkim, np. zatwierdzenie polskiego planu odbudowy po epidemii z zapewnianiem przez UE polskim sędziom powrotu do stanu bezkarności i zamknięcia stanu sędziowskiego dla kandydatów spoza jednego środowiska sprzed roku 2015.

Polska bardzo potrzebuje dostępu do europejskiego rynku – i tym każdy polski polityk powinien się kierować, to wspólny europejski rynek jest w naszym interesie, a uczestnictwo w politycznych strukturach UE należy traktować wyłącznie jako cenę, którą za dostęp do niego płacimy. Rzecz jednak w tym, że kraje unijne także nas na tym rynku potrzebują.

Wielokrotnie tu cytowani komisarze europejscy Oettinger (finanse) i Hahn (polityka regionalna) oceniali publicznie, że od 86 do 89 centów z każdego euro funduszy przekazanych Polsce trafia do Niemiec. Wschodnioniemiecka Izba Gospodarcza apelowała ostatnio do władz swego kraju, wskazując, że już teraz wskutek opóźnienia wypłat z Funduszu Odbudowy dla Polski i Węgier niemiecki biznes traci miliony.

Zrobiłbym na miejscu rządu wszystko, aby w odpowiedzi na wstrzymywanie owych wypłat zamiast bawić się w zaskarżanie decyzji KE do TSUE, którego polityczne motywy działania i niechęć do Polski są oczywiste, wycofać Polskę z systemu „NGEU", czyli wspólnego europejskiego długu. Że jest to już niemożliwe? Dla złamania oporu Polski w obronie swojej suwerenności posunięto się do wielu działań, które również nie były możliwe w świetle traktatów, a mimo to okazały się do zrobienia. A przy okazji PiS zyskałby dobry pretekst do wycofania się z twarzą z chybionych pomysłów opartego na nadziei unijnych pieniędzy Polskiego Ładu.

Co jest na pewno możliwe, to przegłosowanie przez polski parlament wycofania się z podjętej w maju decyzji o ratyfikowaniu europejskiego planu „zwiększenia zasobów", podjętej po przywiezieniu przez premiera z unijnego szczytu obietnicy, że KE powstrzyma się od wiązania funduszy ze sprawami „praworządności".

Blokować wszystko jak leci dopóty, dopóki organa unijne nie zaczną Polski szanować, paraliżować wszelkimi posiadanymi środkami każde działanie UE – to oczywiście oznacza straty dla Polski, ale i dla jej przeciwników. To nasi wrogowie w UE powiązali ze sobą wszystkie możliwe pola współpracy, aby znaleźć sposób na wymuszenie na nas uznania wyższości organów UE nad konstytucyjnym porządkiem prawnym. Nie powinniśmy dalej postępować tak naiwnie jak dotąd.

MIRAŻ „POROZUMIENIA"

Prostym i oczywistym w tej sytuacji sposobem powinno być zmniejszenie czujności na granicy wschodniej i przymknięcie oka na strumień uchodźców przemycanych przez mafię do Niemiec. Zrobienie tego, co w 2015 r. zrobił ostatecznie Viktor Orbán i co zresztą natychmiast Niemców otrzeźwiło – podstawienie „uchodźcom", w imię wartości humanitarnych, pociągów do Berlina – to może ostateczność, ale sytuacja, w której Polska ponosi wielkie koszty i wysiłki, by bronić wschodniej granicy UE, a de facto Niemiec, przed napływem migrantów, którzy przecież nie do Polski się wybierają, a jednocześnie Niemcy i UE wspierają lewicowo-liberalną „piątą kolumnę" atakującą z tego powodu państwo polskie od środka, jest absurdalna. Nikt nam nie będzie w stanie udowodnić, że się nie staramy i nie robimy wszystkiego, co w naszej mocy, jeśli liczba migrantów, którym udało się „przechytrzyć" naszą straż graniczną, będzie rosnąć lub maleć w zależności od tego, jak sprawują się wobec nas KE i TSUE – choć oczywiście i my nie możemy i zresztą nie musimy udowadniać, że Niemcy mają na nie jakiś wpływ.

Najgorsze bowiem, co teraz możemy robić, jest gonienie za mirażem „porozumienia z Komisją Europejską", które obiecuje się nam w rozmaitych „przeciekach" po to, by wymusić kolejne ustępstwa. W istocie owo „porozumienie" to taka marchewka na kiju, którą woźnica trzyma przed nosem konia i stale odsuwa, zmuszając niemądre zwierzę do posuwania się w wybranym przez niego kierunku. Ze słabymi nie zawiera się porozumień, słabych się podporządkowuje. Jeśli nadal będziemy słabi, to na suwerenność i niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej będziemy sobie mogli niedługo, za przeproszeniem, pogwizdać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f469fbd7ef

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FORUM

Polityka kryzysowa

Kamila Baranowska

Sytuacja rządu do najłatwiejszych nie należy, jednak wbrew spekulacjom ani wymiany premiera, ani wcześniejszych wyborów nikt dziś w PiS nie planuje

PiS nie zdążył się dobrze wydostać z jednego kryzysu, związanego z utratą większości sejmowej po wyrzuceniu z rządu Jarosława Gowina, a już ma na horyzoncie następny – związany z karami finansowymi, które właśnie nałożył na Polskę TSUE. Nasz kraj ma płacić milion euro dziennie za niewykonanie orzeczenia Trybunału w sprawie Izby Dyscyplinarnej.

W PiS niechętni premierowi politycy natychmiast zaczęli suflować narrację o tym, że to wina jego konfrontacyjnego wystąpienia w Parlamencie Europejskim oraz głośnego wywiadu dla „Financial Times", w którym mówił m.in. o tym, że jeśli Komisja Europejska trwale zablokuje pomoc finansową dla Polski, to będzie to równoznaczne z rozpoczęciem trzeciej wojny światowej.

PREMIER ZREKONSTRUOWANY

Sytuacja premiera Morawieckiego nie jest dziś łatwa, a największy paradoks tego polega na tym, że nie on jest głównym jej winowajcą. Premier musi dziś w Brukseli bronić spraw, co do których sam nie jest przekonany, bo reformy sądownictwa autorstwa Zbigniewa Ziobry oceniał od początku raczej krytycznie. Do tego dla politycznego efektu musi to robić w sposób zdecydowany i retorycznie twardy, ale jednocześnie w kuluarach dogadywać się i niuansować tak, aby ostatecznie sprawę załagodzić i z Komisją Europejską się dogadać. Zwłaszcza że musi mieć świadomość, że na jego błędy czyha tu, w kraju, całkiem pokaźne grono nie tylko polityków opozycji, lecz także (a może przede wszystkim) polityków z własnego obozu.

Wszystko wskazuje jednak na to, że Mateusz Morawiecki może na razie spać spokojnie. Wciąż cieszy się dużym zaufaniem Jarosława Kaczyńskiego, który publicznie deklaruje, że nie widzi powodów do myślenia o zmianie premiera. Co nie zmienia faktu, że stosuje wobec premiera taktykę, którą stosuje wobec wszystkich swoich polityków od lat, czyli nie pozwala, aby jego pozycja była zbyt mocna. Temu miało służyć politycznie bolesne odebranie mu wpływów w ważnych spółkach Skarbu Państwa z PKO BP na czele i upokarzające pozbawianie jego ludzi stanowisk w tychże.

Rekonstrukcja rządu także nie okazała się sukcesem premiera – wręcz przeciwnie. Nowym ministrem rolnictwa, do tego w randze wicepremiera, został Henryk Kowalczyk, kojarzony z byłą premier Beatą Szydło, który w jednym z pierwszych wywiadów oznajmił, że Szydło byłaby wspaniałą kandydatką na prezydenta. Nominacja Kowalczyka to przypieczętowanie porażki, którą poniósł w resorcie Grzegorz Puda, człowiek Morawieckiego, który na ministra rolnictwa zwyczajnie się nie nadawał. Nie potrafił znaleźć wspólnego języka z rolnikami, nie rozumiał

eprasa.pl f469fbd7ef

wsi oraz pogorszył i tak napięte relacje na linii rolnicy – PiS. Kowalczyk ma to teraz naprawić, bo wieś to zbyt ważny dla PiS elektorat, by można go było tak łatwo odpuścić. Morawieckiemu udało się jednak wywalczyć, i jest to jego niewątpliwy sukces, pozostanie Grzegorza Pudy w rządzie (został ministrem funduszy i polityki regionalnej). Stanowiska nie stracił także, o czym spekulowano, Michał Dworczyk, szef KPRM, którego obciążają wyciekające służbowe e-maile, pisane z prywatnej skrzynki.

Premier nie przewalczył za to pozostawienia w swojej gestii zarządzania resortem rozwoju i technologii. Tę funkcję dostał Piotr Nowak. Morawiecki, chcąc się zabezpieczyć, chwilę wcześniej oddelegował tam na funkcję sekretarza stanu swojego współpracownika Artura Sobonia. To on ma być oczami i uszami premiera oraz łącznikiem z ważnym ministerstwem. Wcześniej Soboń był wiceministrem w resorcie aktywów państwowych, którym kieruje Jacek Sasin. Ten ostatni nie był ponoć zachwycony rezygnacją Sobonia, zwłaszcza że dowiedział się o niej w ostatniej chwili.

Napięć między Sasinem a Morawieckim jest zresztą dużo więcej i dotyczą one przede wszystkim wpływów w spółkach Skarbu Państwa, ale nie tylko. Ministerstwo Aktywów Państwowych Sasina dość ostro skrytykowało sztandarowy projekt Morawieckiego, czyli Polski Ład. Resort Sasina zwracał uwagę, że proponowane rozwiązania uderzają w państwowe spółki oraz że tempo ich wprowadzania jest zbyt szybkie.

NA WŁASNYCH ZASADACH

Zresztą to właśnie Sasin i jego otoczenie są oskarżani przez ludzi Morawieckiego o rozpuszczanie plotek o możliwej i rozważanej wymianie premiera. Ostatnio w tym kontekście znów pojawiło się nazwisko Mariusza Błaszczaka jako potencjalnego następcy. Nic nie wskazuje, by Jarosław Kaczyński miał takie plany. – Prezes stawia na Morawieckiego i mówi o tym w każdym wywiadzie dość stanowczo, bez zaciemniania, warunkowania i niuansowania, co w jego przypadku ma znaczenie i wiedzą to wszyscy, którzy potrafią ze słów prezesa czytać między wierszami – wskazuje nam jeden z polityków PiS.

Dodaje też czysto prozaiczny powód, tłumacząc, że większość sejmowa została uciułana poprzez wiele rozmaitych dealów i umów, także z Morawieckim, który jest dysponentem rządowych stanowisk. Zmiana premiera oznaczałaby ogromny i niepotrzebny bałagan także na tym polu. – To prawda, że Jarosław Kaczyński jest tu dyrygentem, ale to Morawiecki gra na głównym fortepianie i bez niego ta orkiestra będzie grać inaczej – podsumowuje nasz rozmówca związany z PiS. Inaczej, czyli w ocenie prezesa PiS gorzej, i dopóki ta ocena się nie zmieni, dopóty Morawiecki jest nieusuwalny. Zwłaszcza że – jak mówią nasi rozmówcy z PiS – Kaczyński jest przekonany, że Morawiecki jest dziś jedynym politykiem, który może przeprowadzić Polskę przez spór z Brukselą i kryzysy (z energetycznym na czele), które jawią się na horyzoncie.

Mimo kolejnej już odsłony kryzysu w relacjach z Unią Europejską, a także trudnej sytuacji na granicy polsko-białoruskiej miejsce, w którym znajduje się dziś Zjednoczona Prawica, nie jest wcale tak złe, jak mogłoby się wydawać.

Jeszcze dwa i pół miesiąca temu, gdy z rządu i koalicji wyrzucano Jarosława Gowina, wydawało się, że dni Zjednoczonej Prawicy u władzy są policzone. Nic nie wskazywało, by PiS uzbierał brakujące głosy, więc pojawiły się scenariusze o rządzie mniejszościowym i wcześniejszych wyborach.

Tymczasem Jarosław Kaczyński podszedł do sprawy, jak słyszymy, na chłodno. – Prezes dużo myślał nad porażką PiS w 2007 r. i błędami, które wtedy popełnił. Uznał, że jedną z kluczowych była decyzja o wcześniejszych wyborach. Dziś wie, że kryzysy, nawet te najtrudniejsze, trzeba przeczekać i na spokojnie rozgrywać, nie patrząc na to, jakie scenariusze kreują media, i nie ulegając czarnowidztwu własnego obozu – analizuje jeden z polityków PiS.

Wojna z Gowinem była nie do uniknięcia, więc prezes uznał, że rozegra ją na własnych zasadach. Nie dał Gowinowi szansy, by sam porzucił rząd, co uwiarygodniłoby go po opozycyjnej stronie, lecz postanowił wyrzucić go wcześniej sam. Kaczyński – jak słyszymy – był absolutnie przekonany, że Gowin nie chce się dogadać, bo gra już na siebie i na polityczne przesilenie, którego chce zostać beneficjentem. Czy była to trafna ocena, trudno powiedzieć, choć Gowin rzeczywiście wielokrotnie testował cierpliwość PiS, sądząc, że Kaczyński z Morawieckim są na niego skazani. „Cały rząd odetchnął" – tak prezes PiS podsumował odejście Gowina z rządu w wywiadzie dla „Sieci". Nie wygląda więc na to, by żałował tego kroku. „Gowin uwierzył, że będzie w stanie przeprowadzić plan, który zamajaczył mu w roku 2020: obalić rząd z opozycją, zostać co najmniej marszałkiem Sejmu" – dodał w wywiadzie.

OPERACJE BIELANA

W rozgrywce z Gowinem z pomocą przyszedł Kaczyńskiemu Adam Bielan, człowiek wielu politycznych talentów, który po epizodzie odejścia z PiS i budowania alternatywnej prawicy w postaci PJN wrócił na łono partii matki i od tamtej pory postępuje tak, by zamanifestować prezesowi swoją lojalność. Bielan to jednocześnie jeden z tych polityków, o których w PiS mówi się, że prezes ma do nich słabość. W praktyce oznacza to tyle, że jest im w stanie wybaczyć więcej, uznając, że ich zalety równoważą popełnione błędy.

To rękami Bielana Kaczyński rozmontował partię Gowina i to jemu w głównej mierze zawdzięcza fakt, że Zjednoczona Prawica dysponuje dziś większością. Chybotliwą, ale jednak. Bielan z marszu pozbawił Gowina aż pięciu posłów, przeciągając ich do własnej nowo utworzonej Partii Republikańskiej, która dziś liczy już 11 parlamentarzystów.

Równolegle do operacji przeciągania posłów od Gowina trwała operacja przekonywania posłów niezrzeszonych oraz kilkorga polityków zrzeszonych wokół Pawła Kukiza. W efekcie udało się Kaczyńskiemu uciułać większość. Jakim kosztem? Sporym, bo każdemu za poparcie PiS musiał coś obiecać. Bielanowi i jego ludziom także.

– Wynegocjowaliśmy umowę koalicyjną, w odpowiednim momencie poinformujemy opinię publiczną razem z naszymi partnerami z prawej strony – poinformował Bielan, dodając, że jest to dokument poufny. – Oczywiście o głównych założeniach tej umowy będziemy mówić – zaznaczył. Zamiast mówić, najpierw jednak zaczął działać. Gdy Kaczyński nie spieszył się z ogłoszeniem, że prawa ręka Bielana, czyli Kamil Bortniczuk, obejmie reaktywowane Ministerstwo Sportu i Turystyki, co obiecał Bielanowi Kaczyński, sześciu polityków Partii Republikańskiej ostentacyjnie nie przyszło na dwa głosowania, wysyłając jednocześnie sygnały do mediów, że nie był to przypadek. – Na razie są to delikatne działania. Chcemy pokazać, że PiS do

eprasa.pl f469fbd7ef

stabilnej większości potrzebuje również Partii Republikańskiej. Żeby mieć nasze głosy, nie wystarczy podpisać umowę, ale trzeba ją jeszcze zrealizować – miał powiedzieć portalowi Gazeta.pl jeden z republikanów.

Jeszcze tego samego dnia prezes PiS ogłosił, że Bortniczuk będzie ministrem sportu. Czy to oznacza, że Bielan wchodzi dziś w buty Gowina? – Nie, to zupełnie inna relacja. Bielan nie będzie szantażował Kaczyńskiego ani stawiał swojego interesu ponad PiS, co nie znaczy, że ludzie, którym naobiecywał złote góry, nie zaczęli go cisnąć. On więc musiał cisnąć prezesa – tłumaczy nam jeden z polityków PiS. – To sytuacja jak na arabskim bazarze. Wiadomo, że nie wypada się nie targować, bo inaczej sprzedający nie będzie cię szanował, więc targi są, ale wiadomo, że ostatecznie obu stronom zależy, by się dogadać – obrazowo opisuje inny z naszych rozmówców.

Choć PiS udało się zażegnać kryzys związany z odejściem Gowina z rządu, to wszyscy dookoła podkreślają, że z tak kruchą większością, opartą na wielu podmiotach (ludzie Bielana, ludzie Marcina Ociepy, ludzie Pawła Kukiza, wreszcie posłowie niezrzeszeni), PiS może nie udać się dotrwać do wyborów w ustawowym terminie. Stąd co rusz pojawiają się plotki o szykowanych wcześniejszych wyborach.

– Uważam, a nawet mam wiedzę, że Jarosław Kaczyński bardzo poważnie bierze pod uwagę możliwość przyspieszonych wyborów wiosną 2022 r. – mówił niedawno nie kto inny, lecz Jarosław Gowin. – Komisja Europejska już zapowiedziała państwom członkowskim, że nie pozwoli na dalsze rozluźnianie tzw. reguły wydatkowej. Mówiąc krótko, nie będzie można nadmiernie się zadłużać. Budżet na rok 2022 dało się spiąć właśnie dlatego, że ta reguła wydatkowa nie obowiązuje. W momencie, w którym Jarosław Kaczyńskie wie, że [będą – przyp. red.] te dotkliwe społecznie cięcia, może się zdecydować na wcześniejsze wybory – podkreślał w Radiu Zet lider Porozumienia.

Ostatnio tego typu spekulacji jest jeszcze więcej w związku z napięciem na linii Warszawa – Bruksela w sprawie wstrzymywanej wypłaty środków z Funduszu Odbudowy. „Bo skoro nie ma unijnych pieniędzy, to lepiej zrobić wybory teraz, niż jak Polacy zorientują się po swoich portfelach, że ich nie ma" – mniej więcej w tym duchu utrzymana jest argumentacja za wcześniejszymi wyborami.

Z naszych rozmów wynika jednak, że w PiS dzisiaj nikt na poważnie nie rozważa takiego scenariusza. – To byłoby bez sensu. Celem jest wprowadzenie ustaw zawartych w Polskim Ładzie. Tam są przewidziane ogromne nakłady na inwestycje w całej Polsce. Żeby Polacy zobaczyli te zainwestowane pieniądze w swoich gminach i powiatach, trzeba czasu, więc właśnie ten rok 2023 jest z naszej perspektywy optymalny. Wcześniejsze wybory nie leżą w naszym interesie – mówi nasz rozmówca z rządu.

Prezes PiS nie tylko w publicznych wywiadach, lecz także na wewnętrznych spotkaniach w wąskim gronie zdecydowanie dementuje tego typu spekulacje, podkreślając, że PiS ma plan rządzenia, rozpisany do 2023 r., ma do tego w miarę stabilną większość i nie ma powodu, by cokolwiek na siłę przyspieszać. Zwłaszcza że doświadczenia z przyspieszaniem wyborów Jarosław Kaczyński ma, jak wiadomo, niezbyt dobre.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl f469fbd7ef

Lodowcowa epoka platformy

Piotr Semka

Nowy układ władzy w Platformie ma znów uczynić z tej partii dynamicznego gracza. Tyle tylko, że pierwsze 100 dni Donalda Tuska po objęciu przywództwa kończy się w momencie, gdy sondaże dają Platformie jedynie 23,3 proc. poparcia, a wśród wszystkich partii, które w sondażach przekraczają próg wyborczy, PO ma najwyższy elektorat negatywny

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

eprasa.pl f469fbd7ef

Wewnętrzne wybory władz Platformy Obywatelskiej na szczeblach centralnym, lokalnym i niższych zapowiadane były przez Donalda Tuska jako święto demokracji. A jednak sobota 23 października przeszła zaskakująco spokojnie i bezbarwnie. W ciągu dnia z rozmaitych regionów Platformy dochodziły głównie komunikaty formułowane przez centralnych i lokalnych szefów marketingu. „U nas maksymalna frekwencja" – chwalili się jedni; „My głosujemy jednoznacznie na Tuska" – entuzjazmowali się inni. Lider Platformy ograniczył się do krótkiego briefingu w sobotni ranek po głosowaniu w biurze w lokalu PO w Sopocie, ale już wieczorem nie pokazał się publicznie. Jedynym wieczornym show była śmiertelnie nudna konferencja prasowa członków platformerskiej komisji wyborczej. Nadzorujący wybory ujawnili, że oddano łącznie 11 474 głosów, z czego 97,3 proc. opowiadało się za wybranym w lipcu – dawnym, nowym – liderem.

Szybko zauważono, że w styczniu 2021 r. Platforma chwaliła się liczbą 33 090 członków. Tym razem głosowała jedna trzecia z nich. Politycy Platformy wskazywali, że głosować mogli tylko ci, którzy mieli w pełni opłacone składki, ale faktycznie tylko 35 proc. platformersów udzieliło mandatu Donaldowi Tuskowi. Sam lider PO nie zdecydował się na żadne publiczne wystąpienie, w którym podziękowałby za otrzymane potwierdzenie przywództwa. Ograniczył się jedynie do gratulacji na Twitterze.

Jak wygląda krajobraz po wyborach?

NIEŚMIAŁA GROMADKA

Całkiem pokaźna jest lista polityków PO, którzy w ogóle nie zdecydowali się na walkę o przywództwo w skali kraju czy regionu. Ten poczet otwiera oczywiście Rafał Trzaskowski. Jeszcze w końcu czerwca bieżącego roku zapowiadał jesienną rywalizację z Donaldem Tuskiem na szefa PO. Szybko jednak przybysz z Brukseli wyperswadował prezydentowi Warszawy pomysł wchodzenia sobie w drogę. Trzaskowski mógł tylko zadumać się nad tym, dlaczego nie sięgnął po przywództwo w partii na fali swojej popularności w kampanii prezydenckiej. Teraz mógł być tylko bezsilnym obserwatorem triumfu Donalda Tuska.

Kolejny na liście „zniechęconych do kandydowania" był Grzegorz Schetyna, który już półtora miesiąca temu ogłosił, że nie startuje w wyborach na szefa regionu Dolny Śląsk. Pragmatyczny wrocławianin uznał, że Tusk nie zaakceptuje przedłużenia jego władzy na Dolnym Śląsku. Doszedł do wniosku, że lepiej na razie wycofać się w cień.

Aż w 10 regionach PO (na ogólną liczbę 16) startowało po jednym kandydacie, w tym w siedmiu wypadkach wybór był przedłużeniem poprzedniej kadencji

Kolejnym zniechęconym okazał się dotychczasowy szef regionu Mazowsze Andrzej Halicki. W mediach pojawiła się informacja, że Tusk mściwie pamięta mu nieprzychylny dla lidera PO wywiad sprzed wielu lat. Halicki wywnioskował, że lepiej nie pchać się na zderzenie z Tuskiem, który na nowego szefa Mazowsza wyznaczył Jana Grabca.

W Poznaniu początkowo wydawało się, że przeciw Grupińskiemu wystartuje przebrzmiała już nieco platformiana figura – Waldy Dzikowski. I on uznał, że Tusk stawia na Grupińskiego i nie ma co szefa rozwścieczać skazanym na niepowodzenie kandydowaniem.

W Gdańsku nie zdecydował się na kandydowanie Sławomir Neuman, który stał się obiektem furii Tuska z racji uczestnictwa w urodzinach Roberta Mazurka.

I wreszcie w Szczecinie nie zdecydował się na start na szefa regionu Sławomir Nitras. Podpadł Tuskowi zbytnią szczerością, wypowiadając na imprezie Campus Polska w Olsztynie słynne słowa o „piłowaniu katolików". Bardzo wiele znanych nazwisk w PO z góry uznało, że znalazło się w niełasce, i niczym we wschodnich satrapiach bardziej lub mniej głośno demonstrowało, że nie chcą stawać w poprzek życzeń Wielkiego Donalda.

W rezultacie aż w 10 regionach PO (na ogólną liczbę 16) startowało po jednym kandydacie, w tym w siedmiu wypadkach wybór był przedłużeniem poprzedniej kadencji. Tak było w regionie kujawsko-pomorskim, gdzie wybrano Tomasza Lenza, w regionie małopolskim, gdzie odnowiono władzę Aleksandra Miszalskiego, i w regionie opolskim, gdzie Platformie przewodniczyć będzie ponownie Andrzej Buła. Tak samo kolejne kadencje na stanowisku szefa regionu rozpoczną Artur Gierada w regionie świętokrzyskim, Rafał Grupiński w Wielkopolsce i Waldemar Sługocki w regionie lubuskim.

W trzech wypadkach pojawili się nowi kandydaci, ale też posiadający przywilej bycia jedynymi pretendentami. Tak było w województwie zachodnio-pomorskim, gdzie marszałek województwa Olgierd Geblewicz wysadził z siodła dotychczasowego p.o. szefa regionu Arkadiusza Marchewkę. Jako nagrodę pocieszenia Marchewka miał dostać od Geblewicza szefostwo PO w samym Szczecinie. W Łodzi nowym szefem został Cezary Grabarczyk, były minister w rządach Donalda Tuska, i wreszcie na Mazowszu schedę po Andrzeju Halickim przejął Jan Grabiec, rzecznik partii.

Wszystko to wskazuje na tendencje Donalda Tuska do osłabienia siły baronów najsilniejszych regionów, która była dla niego kulą u nogi w czasach rządów Platformy z lat 2007–2014. Z dawnych baronów szefostwo regionu uzyskali Cezary Grabarczyk oraz Rafał Grupiński, który należał do tzw. starej gwardii Donalda.

W Krakowie swoją pozycję utrzymał Aleksander Miszalski, który według podwawelskich plotek zdobył uznanie za akcję zbierania podpisów na rzecz usunięcia z partii Ireneusza Rasia, nielubianego za swój konserwatyzm. Brak konkurencji Aleksander Miszalski miał „kupić" sobie za poparcie w Krakowie, gwarantując Szczęsnemu Filipiakowi pozostanie na stanowisku szefa struktur miejskich w Krakowie. Miszalskiemu nie przeszkadza to, że Szczęsny Filipiak zasłynął z żywiołowego wsparcia dla strajku kobiet. Jak widać, uznaje, że nawet w konserwatywnym grodzie Kraka nie jest to już żadne obciążenie. Lokalna „Gazeta Wyborcza" z zachwytem wychwalała pragmatyzm Filipiaka, który zrezygnował ze startu. „To już niepisana tradycja – politycy Platformy w Małopolsce nie toczą bojów o głosy kolegów i koleżanek z partii i stanowiska w strukturach regionu. Po raz kolejny zrezygnowali z wyborczych ostrych starć, decydując się na wcześniejsze zakulisowe rozmowy, które wyłoniły osoby, które staną za sterami PO w Krakowie i Małopolsce".

W sukcesie Miszalskiego miał także swój udział wpływowy w Krakowie poseł Marek Sowa. Skądinąd brat ks. Kazimierza Sowy. Jak słyszy się w Sejmie – kapłan z Krakowa pomagać ma posłom PO w pracach nad projektem

eprasa.pl f469fbd7ef

zastąpienia funduszu kościelnego inną formą zapewnienia związkom wyznaniowym pomocy finansowej.

SZEŚĆ POJEDYNKÓW

Najwięcej zainteresowania wzbudziły oczywiście te regiony, w których o zwycięstwo toczyła się wyrównana walka. W Gdańsku Donald Tusk bardzo zdecydowanie poparł Agnieszkę Pomaską, 41-letnią aktywistkę PO wywodzącą się, podobnie jak Sławomir Nowak, z młodzieżówki Platformy. Pomaska zwróciła na siebie uwagę w czasie tzw. puczu w Sejmie w 2016 r., gdy razem ze Sławomirem Nitrasem stanowili najbardziej agresywną parę uczestników okupacji sali sejmowej. Na gdańskim podwórku zasłynęła ze znamiennej awantury. Oburzyła się, że na jej ulubionej ścieżce rowerowej ustawiono w święto Bożego Ciała okazjonalny ołtarz.

Poparcie Tuska dla Pomaskiej objawiło się specjalnym spotkaniem w jednym z sopockich lokali, na którym lider Platformy wychwalał zalety swojej ulubienicy. Jak się zdaje, Tusk zlekceważył silną pozycję marszałka województwa pomorskiego Mieczysława Struka. Jak komentuje to jeden z działaczy PO w Gdańsku: „Marszałek Struk, kierując samorządem wojewódzkim, ma wpływ na ogromną liczbę stanowisk. Siłą rzeczy stanowi on dla wielu polityków lokalnej Platformy gwarancję zachowania ich wpływów oraz utrzymania na posadach ich własnych mianowańców. A Pomaskiej nikt w regionie specjalnie nie lubił. Krzykliwa i arogancka, zraziła do siebie wielu potencjalnych wyborców". Żartowano, że już raz Tusk wcisnął partii swoją kandydatkę – Ewę Kopacz na premiera – i nie skończyło się to dla PO dobrze. Struk wygrał zdecydowanie i tym samym „powracający z Brukseli" otrzymał prztyczka w nos.

Tak samo było na Dolnym Śląsku. Lider PO wsparł Roberta Szełemeja, prezydenta Wałbrzycha, który – jak go wychwalano – „pokazał całej Polsce, jak wygrywać z PiS". Szełemej zdobył prezydenturę w Wałbrzychu z wynikiem 84 proc. Jego rywalem był poseł na Sejm Michał Jaros, który znalazł wsparcie samorządowców, choć prezydent Wrocławia Jacek Sutryk wspierał jego rywala. Po stronie Jarosa wystąpił Bogdan Zdrojewski, który już od paru lat zajmuje rolę cichego krytyka obecnej linii Platformy. „PO na Dolnym Śląsku zaliczyła już tyle porażek, że czas najwyższy to zmienić. Na kolejną nas nie stać" – mówił Zdrojewski. Ku zaskoczeniu wielu osób Michał Jaros wygrał z kandydatem Tuska.

Tusk z jednej strony epatuje wspomnieniami o swojej matce, która czyniła nożem na chlebie znak krzyża, a z drugiej strony na wiecu proeuropejskim w Warszawie zaprosił na trybunę zajadłą antykatoliczkę Martę Lempart

W regionie śląskim wygrał Wojciech Saługa, były marszałek województwa śląskiego. Jak twierdzą katowiccy dziennikarze, Saługa niewiele robi dla Platformy na Górnym Śląsku, ale w czasie swoich rządów zdobył tylu wpływowych sojuszników, że per saldo zdecydowało to o jego wygranej. Rzucił mu wyzwanie dynamiczny prezydent Sosnowca Arkadiusz Chęciński, który wcześniej podpadł parę razy „nieprawomyślnymi zachowaniami". 1 marca wziął udział w biegu „Wilczym tropem im. Łupaszki", zdekomunizował ulicę Armii Ludowej w Sosnowcu, czyniąc jej patronem pierwszego biskupa sosnowieckiego Adama Śmigielskiego.

Trzy pozostałe rywalizacje o władzę nad regionami podkarpackim, warmińsko-mazurskim i lubelskim miały charakter lokalnych rywalizacji ambicjonalnych bez głębszego tła politycznego. Na Podkarpaciu zwyciężył dotychczasowy szef Zdzisław Gaweł, w rejonie warmińsko-mazurskim sukces odniósł Jacek Protas, a Lubelszczyznę zdobył dla siebie Stanisław Żmijan.

Rozdanie kart z 24 października zamrozi przypuszczalnie na najbliższe lata układ władzy w Platformie. Donaldowi Tuskowi udało się ograniczyć lokalnych baronów PO. Tylko Cezary Grabarczyk, który objął region łódzki, należał do tamtej, wtedy dość wpływowej, grupy.

Teraz obowiązuje wszechwładza przewodniczącego partii i można tylko na podstawie plotek w PO ustalać hierarchię „dostępu do ucha Donalda". Na pewno uprzywilejowany dostęp do Tuska mają Bartłomiej Sienkiewicz, Radosław Sikorski czy Rafał Grupiński. Publicznie upokorzeni zostali niedawno Borys Budka i Tomasz Siemoniak, którego liberał z Gdańska zawiesił za udział w urodzinach Roberta Mazurka. Na konwencji w Płońsku Tusk przeforsował rozszerzenie liczby wiceprzewodniczących aż do 10 osób. To wiceprzewodniczący razem z sekretarzem partii, skarbnikiem i szefem klubu parlamentarnego PO mają stanowić kierownictwo ugrupowania. Faktycznie jednak w sytuacji, gdy wiceszefów jest 10, funkcja wiceprzewodniczącego niewiele znaczy. Skad tej wspaniałej dziesiątki ustali sam Donald Tusk. Zapewne łaskawie przywróci na wiceszefa Borysa Budkę, który wierzy, że już mu wybaczono, i Tomasza Siemoniaka, który również złożył groteskową samokrytykę. Funkcję wiceszefa PO otrzyma zapewne ponownie Ewa Kopacz, do której Tusk ma zaskakujący wręcz sentyment.

Tak domknie się układ władzy, który ma uczynić Platformę znów dynamicznym graczem. Tyle tylko, że pierwsze 100 dni Donalda Tuska po objęciu przywództwa kończy się w momencie, gdy sondaże dają Platformie jedynie 23,3 proc. (United Surveys), a sondaż IBRiS dotyczący nieufności wobec partii pokazuje, iż aż 65,5 proc. wyborców odrzuca głosowanie na PO. Jest to najwyższy elektorat negatywny wśród partii, które w sondażach przekraczają próg wyborczy.

Tusk co innego deklaruje, a co innego wciela w życie. Po przyjeździe obiecywał objazd Polski, który skończył się na paru wiecach. Grzmiał do swoich partyjnych kolegów, że „wyborów nie wygrywa się na Twitterze", ale sam nie zamierza rezygnować z trywialnych i agresywnych tweetów. Jego ostatnie lekkie aluzje na temat niemieckiego brzmienia nazwisk niektórych członków rządu wywołały zażenowanie nawet w obozie publicystycznych kibiców Platformy.

Tusk z jednej strony epatuje wspomnieniami o swojej matce, która czyniła nożem na chlebie znak krzyża, a z drugiej strony na wiecu proeuropejskim w Warszawie zaprosił na trybunę zajadłą antykatoliczkę Martę Lempart. Jarosław Makowski, szef platformerskiego think tanku Instytut Obywatelski, wykazuje tak daleko idący zapał do zmieniania Kościoła, że krytykuje nawet liberalnego biskupa Grzegorza Rysia za brak efektów w jego reformowaniu. Wszechwładza Tuska, której elementem będzie rozdęty korpus wiceszefów PO i pozbawiony zbyt wielu wyrazistych postaci zespół szefów regionów, uczyni z Donalda Tuska kogoś, kto może narzucać swoje pomysły, nie napotykając dawnej krytyki.

Krytycy Tuska po cichu nazywają szefa PO „primadonką". Ile sezonów przetrwa u władzy nad PO Donald Wspaniały?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f469fbd7ef

Już 8 listopada w „Do Rzeczy” dodatek

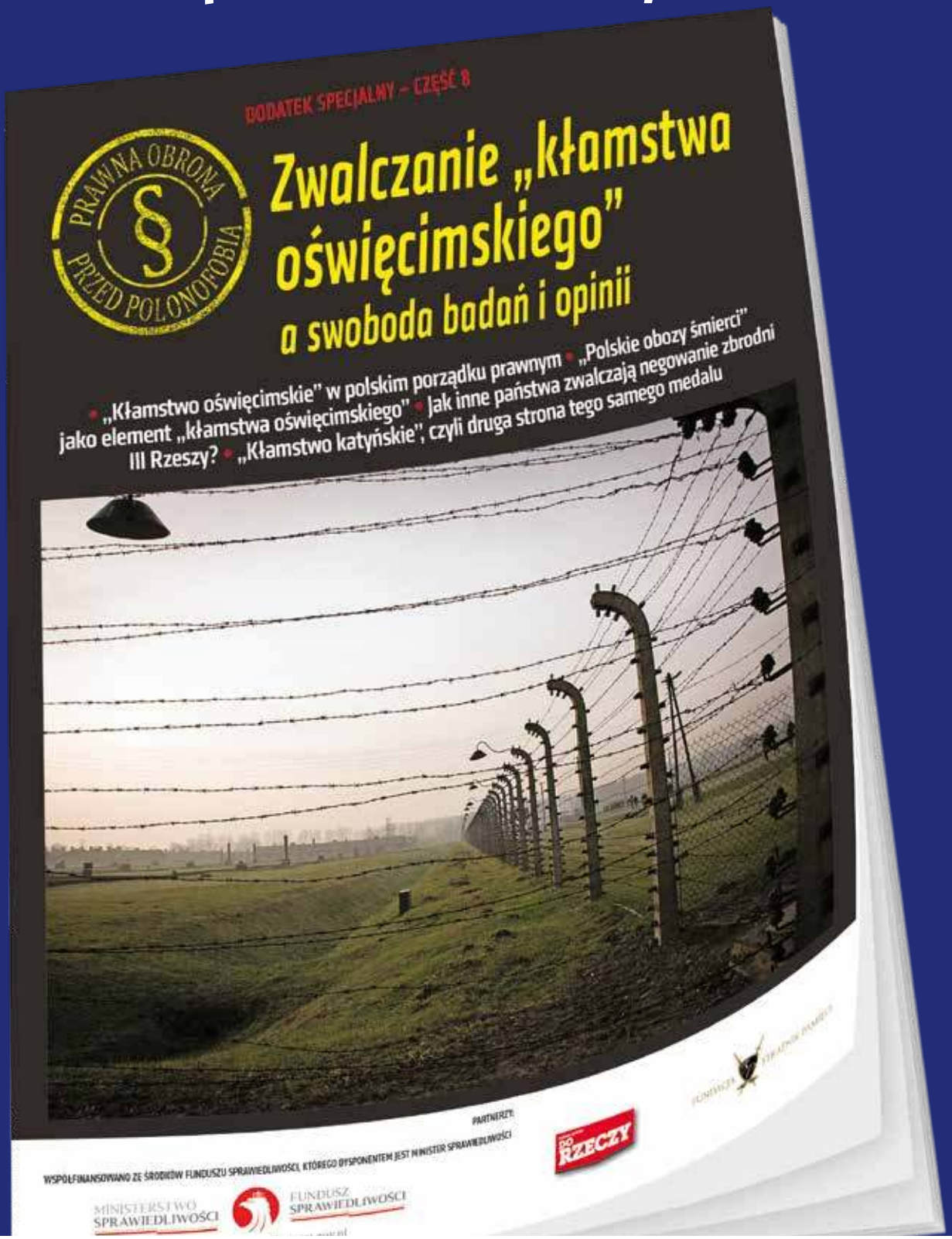

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

eprasa.pl f469fbd7ef

Opozycjo, bierz przykład z Bałtów!

Maciej Pieczyński

Na Litwie i na Łotwie w kwestii ochrony granic przed nielegalną imigracją panuje porozumienie ponad podziałami. Tamtejsza klasa polityczna ma o wiele większą świadomość zagrożenia hybrydowego ze strony Białorusi i Rosji niż opozycja w Polsce

FOT. PAULIUS PELECKIS/GETTY IMAGES

Pierwsze uderzenie Alaksandr Łukaszenka przypuścił na Litwę, niedługo potem na Łotwę. Tamtejsze władze bardzo szybko wyczuły powagę sytuacji i zdefiniowały charakter zagrożenia. „Nielegalna migracja z Białorusi na Litwę to zorganizowany i opłacalny interes, w który zamieszani są białoruscy urzędnicy i funkcjonariusze; to forma wojny hybrydowej" – przekonywała minister spraw wewnętrznych Litwy Agnė Bilotaitė w wywiadzie dla portalu Delfi już pod koniec czerwca. Kilka tygodni później o ataku hybrydowym Łukaszenki mówiła na wspólnym posiedzeniu komisji spraw zagranicznych i swobód obywatelskich Parlamentu Europejskiego.

Podobnie jak w Polsce, również w krajach bałtyckich odpowiedzią na napływ imigrantów było wprowadzenie stanu wyjątkowego – na początku lipca na Litwie, miesiąc później na Łotwie. To rozwiązanie prawne nie tyle jednak uniemożliwia, ile znacząco ogranicza dostęp dziennikarzy i organizacji pozarządowych do strefy przygranicznej. W praktyce jest bardzo podobnie jak w Polsce. Litwa i Łotwa na początku października zadecydowały też o budowie ogrodzenia na granicy. Również Estonia rozważa tego typu rozwiązanie. Inaczej niż w Polsce w krajach tych opozycja nie rozpętała histerii na granicy, nie wpisuje się w łukaszenkowską, pseudohumanitarną retorykę. Kraje bałtyckie nie mają swojego Franka Sterczewskiego, swojej Klaudii Jachiry czy swojej Magdaleny Filiks.

ROZPOZNANE ZAGROŻENIE

– To, że UE i NATO dostrzegły zagrożenie hybrydowe na swoich wschodnich granicach, jest m.in. wielką zasługą Litwy, która jako pierwsza tak zdefiniowała kryzys migracyjny – mówi „Do Rzeczy" Kinga Dudzińska (Raś), analityk Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych w Programie Europa Środkowa.

– Co istotne, Wilno od razu poprosiło o pomoc Frontex. Dlatego też nie można było zarzucić tamtejszym władzom, że uszczelniają granice bez porozumienia z Brukselą, która jednak wciąż nie zgadza się na finansowanie infrastruktury granicznej. Ponadto rząd litewski podjął współpracę z Irakiem i Turcją w celu wstrzymania lotów stamtąd na Białoruś. Pod względem PR-owskim, działając wielowymiarowo, a przede wszystkim dążąc do umiędzynarodowienia debaty na temat kryzysu migracyjnego białoruskiego procederu jako elementu wojny hybrydowej, zrobił wiele, aby opozycja nie mogła zarzucić braku skuteczności – dodaje. Jak zauważa, wokół kryzysu migracyjnego panuje na Litwie ogólnonarodowy konsensus. – Sama percepcja zagrożenia z uwagi na działania Białorusi nie budzi kontrowersji, choć początkowo idea uszczelniania granic, a przede wszystkim budowy ogrodzenia na granicy była przedmiotem debaty publicznej. Wraz z narastającym kryzysem migracyjnym pomysł budowy zapory na granicy spotkał się z aprobatą najbardziej liczących się sił politycznych – mówi Kinga Dudzińska (Raś).

Spory toczą się jedynie o konkretne sposoby zarządzania kryzysem. – Nie-

eprasa.pl f469fbd7ef

dawno sama minister spraw wewnętrznych przyznała, że zabrakło komunikacji pomiędzy rządem a samorządami, na których terenie były tworzone pierwsze miejsca noclegowe dla imigrantów, zanim jeszcze zdecydowano radykalnie zamknąć granicę – mówi analityczka PISM. – Dostęp dziennikarzy do granicy jest mocno ograniczony, ale nie jest niemożliwy. Przepustki są wydawane. Ze względów bezpieczeństwa determinowane jest to bieżącym rozwojem sytuacji. Jednocześnie stan wyjątkowy nie budzi większych kontrowersji. Jeśli coś opinię publiczną oburzało, to fatalne warunki lokalowe, w jakich przebywali początkowo uchodźcy. Rząd jednak starał się tym zająć, dostosowując dostępną infrastrukturę. Z tymczasowych miejsc pobytu uchodźców przeniesiono do bardziej nowoczesnych, zaadaptowanych do tego celu m.in. obiektów wojskowych. Ponadto wraz z rosnącym ryzykiem wzrostu migracji, ale też widocznej sterowalności procederu przez Łukaszenkę ostre krytyczne głosy ucichły – dodaje.

PONAD PODZIAŁAMI

Porozumienie ponad podziałami ma kilka przyczyn. Przede wszystkim uwarunkowania historyczne. O ile Polska była „jedynie" satelitą ZSRS, o tyle Litwa, Łotwa i Estonia były republikami sowieckimi, o wiele mocniej więc odczuły koszmar komunistycznej dominacji. W ślad za komunizacją szła rusyfikacja – inaczej niż w PRL w państwach bałtyckich pod rządami Moskwy rosyjski był językiem urzędowym, a po 1991 r., w spadku po czerwonym imperium, w krajach tych pozostała wywodząca się w dużej mierze z okupacyjnej elity rosyjska mniejszość. Szczególnie na Łotwie, w najmniejszym stopniu – na Litwie. Wystarczy też spojrzeć na mapę, by się zorientować, że państwa te mają z Rosją czy Białorusią o wiele dłuższe, a zatem o wiele bardziej niebezpieczne granice. W Wilnie, Rydze czy Tallinie świadomość moskiewskiego zagrożenia z geopolitycznej i historycznej natury rzeczy jest o wiele większa niż w Warszawie. Białoruś, szczególnie po tym, jak Łukaszenka postanowił krwawo stłumić „biało-czerwono-białą" rewolucję i tym samym postawić jednoznacznie na Putina, traktowana jest jako najbliższy sojusznik Rosji. – Jeśli ktoś na Litwie postuluje ocieplenie relacji z Moskwą, to wypada z głównego obiegu. Bardzo dobrze rozumiemy powagę zagrożenia ze Wschodu – mówi „Do Rzeczy" prof. Andrzej Pukszto, litewski historyk i politolog. Niechęć do Rosji łączy się z euroentuzjazmem. – Przynależność do UE jest postrzegana u nas nie tyle w kategoriach współpracy gospodarczej, ile bezpieczeństwa. Traktujemy Brukselę jak parasol, który chroni nas przed Moskwą. Co do tego też panuje konsensus – mówi prof. Pukszto. – Poza tym generalnie na litewskiej scenie politycznej w sprawach międzynarodowych panuje zgodność. Już kilkanaście lat temu zapoczątkowana została tradycja ponadpartyjnych deklaracji, dotyczących polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. Dyskusja wokół kryzysu migracyjnego toczy się, co prawda, ale towarzyszy jej o wiele niższa temperatura emocji niż w Polsce – dodaje.

Na Litwie, Łotwie czy w Estonii zagrożenie ze strony Łukaszenki i Putina nie jest zatem ani czysto teoretyczną abstrakcją, ani propagandową pałką, którą bez związku z rzeczywistością okładają się przeciwnicy polityczni, tylko realnym wyzwaniem, traktowanym poważnie zarówno przez władzę, jak i przez opozycję. – Co prawda, Litwa kształtuje swoją tożsamość wokół kwestii praw człowieka. Jednak w obliczu zagrożenia ze strony Białorusi, w pełni zależnej od Rosji, która dla Bałtów jest wrogiem numer jeden, najważniejsze staje się bezpieczeństwo – mówi „Do Rzeczy" dr Aleksandra Kuczyńska-Zonik z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, kierownik zespołu bałtyckiego Instytutu Europy Środkowej. – Na Litwie zastanawiano się, czy migranci powinni być wypychani na Białoruś, czy aby nie ucierpi na tym międzynarodowy wizerunek kraju, który pretenduje do pozycji gwaranta demokracji. Jednak, po pierwsze, tym wątpliwościom nie towarzyszyły takie emocje jak w Polsce, a po drugie, wyrażali je raczej aktywiści organizacji pozarządowych, a nie politycy. Ci ostatni są generalnie zgodni co do konieczności uszczelnienia granic, zastanawiają się jedynie, czy jest to temat dla kraju tylko bardzo ważny czy może jednak najważniejszy. W państwach bałtyckich dość powszechny jest strach przed imigrantami, którzy często postrzegani są jako zagrożenie dla rodzimej kultury i tradycji – dodaje.

Ewa Wołkanowska-Kołodziej, litewska dziennikarka i aktywistka polskiego pochodzenia, zauważa, że tamtejsze społeczeństwo jest bardzo konserwatywne. – Politycy wiedzą, że na współczuciu dla imigrantów nie wygrają żadnych wyborów. Dlatego żadna partia otwarcie nie opowie się za otwarciem granic. O kryzysie humanitarnym mają odwagę mówić pojedynczy politycy z różnych ugrupowań – mówi Wołkanowska-Kołodziej. Sama jest zwolenniczką otwartych granic. Jako jedna z pierwszych dziennikarek zaczęła jeździć do obozów dla uchodźców. – W Litwinach bardzo łatwo jest wzbudzić strach przed napływem obcych. Dlatego zarówno opozycja, jak i media bezrefleksyjnie powtarzały przekaz władz o tym, że imigranci to „terroryści", których przysłał nam Łukaszenka w ramach „wojny hybrydowej". Społeczeństwo obywatelskie wciąż tutaj raczkuje – mówi Wołkanowska-Kołodziej.

CHAOS INFORMACYJNY

Nawet lewica w krajach bałtyckich nie rzuca się do obrony biednych imigrantów przed bezdusznymi pogranicznikami. W sprawach bezpieczeństwa mówi często jednym głosem z prawicą. – Litewska Partia Socjaldemokratyczna nie ma zbyt wiele wspólnego z lewicą typu zachodnioeuropejskiego. Zajmuje się raczej prawami pracowniczymi niż prawami mniejszości. To taki socjalistyczny oldskul. Są bardziej czerwoni niż tęczowi – mówi prof. Andrzej Pukszto.

Pewną część opinii publicznej w krajach bałtyckich zajmują media rosyjskojęzyczne, sterowane przez Kreml, takie jak portale Baltnews, Rubaltic czy Sputnik. Szerzą antyzachodnią, antynatowską, antyunijną propagandę, bronią Putina i Łukaszenki. Według ostatnich spisów ludności Rosjanie stanowią prawie 27 proc. mieszkańców Łotwy, prawie 26 proc. mieszkańców Estonii i ponad 5 proc. mieszkańców Litwy. Ich propaganda nie wpływa jednak na razie na nastawienie tamtejszych rządów do kwestii uszczelnienia granic.

– Dezinformacja w mediach rosyjskojęzycznych, w tym dotycząca narastającego kryzysu migracyjnego, jest również niezmiernie ważnym elementem całej układanki, co dostrzegają władze poszczególnych państw. Chaos informacyjny może bowiem skutecznie utrudnić zarządzanie kryzysem, szczególnie pośród odbiorców mediów rosyjskojęzycznych. Jednakże należy podkreślić, że mniejszość rosyjskojęzyczna w państwach bałtyckich nie przejawia tendencji separatystycznych – zaznacza Kinga Dudzińska (Raś).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f469fbd7ef

Kościelny

Tomasz Rowiński

Dokumenty przygotowawcze synodu właściwie nie kryją się z tym, że Kościół ma dopuścić do głosu innowierców, apostatów czy ludzi z obrzeża Kościoła kwestionujących jego naukę

Gdybym miał ocenić, dla jakiego celu skonstruowano proces synodalny, który ma kierować nowym synodem papieża Franciszka, i miałbym to zrobić tylko na podstawie osiągniętych już efektów, to powiedziałbym, że tym celem jest chaos. Chaos osłabiający te głosy, które reprezentują katolickie nauczanie. Najlepszym tego przykładem mogą być reakcje polskich biskupów, którzy także w różnoraki sposób próbują sobie poradzić z przekazem, jaki otrzymują ze Stolicy Apostolskiej.

Cóż, wypada dodać, że ta metoda synodalna jest powtarzana prawie przy każdym synodzie zwołanym przez obecnego papieża. Na czym polega różnica między poprzednimi synodami a obecnym? Po prostu teraz dokumenty przygotowawcze właściwie nie kryją się z tym, że Kościół ma dopuścić do głosu innowierców, apostatów czy ludzi z obrzeża Kościoła kwestionujących jego naukę. Że wszystko idzie znanym szlakiem, tylko „bardziej", potwierdzają obserwacje działań papieża, sekretariatu synodu czy grona duchownych i świeckich klakierów każdego papieskiego ruchu, zwanego czasem przez dziennikarzy „team Francis".

ZASADA „ANKIETOWANIA"

Papież konsekwentnie podąża tą samą drogą – ogłasza „ankietę". Przed synodem z roku 2014, który miał się zająć rozmontowaniem nierozerwalności małżeństwa i wprowadzeniem do Kościoła – mówiąc kolokwialnie – „homoseksualnego stylu życia", była to ankieta skierowana do episkopatów. Teksty pytań – dziwnym trafem – poprzez episkopat angielski wyciekły do prasy i mieliśmy w mediach wręcz wysyp różnorakich na nie odpowiedzi, które rościły sobie pretensje do „bycia wysłuchanymi". W większości dalekie były one od prawowierności w sprawach fundamentalnych. Biuro prasowe Stolicy Apostolskiej reagowało bardzo niemrawo, a wszyscy powoływali się na autorytet Franciszka, który dla wielu był wtedy najlepszym papieżem historii. Papieżem, który wyciągnie Kościół ze wszystkich problemów, a przede wszystkim z katolickiego „ciemnogrodu".

Zasada „ankietowania" jest prosta – ogłasza się, że wszyscy muszą być wysłuchani, co daje materiał, nazwijmy go tak, etnograficzny, mogący stanowić podkładkę pod absolutnie każdą ideę „reformatorów". Po ośmiu latach pontyfikatu Franciszka i tak wszyscy już wiedzą, że z tego ankietowania i słuchania wynika zwykle to samo, czyli agenda liberalnych katolików z bogatych krajów północy. Zawiera się ona niezmiennie w odrzuceniu negatywnej oceny homoseksualizmu, rozszerzeniu święceń na kobiety i żonatych mężczyzn czy wspólnej komunii z protestantami. Listę tę można by rozszerzyć o jeszcze inne teologiczne kwestie.

Jest chyba też dla każdego oczywiste, że nie po to stosunkowo niedługo przed rozpoczęciem synodu uderzono w katolików przywiązanych do łacińskiej liturgicznej tradycji, ograniczając do niej dostęp, by teraz dawać głos na synodzie tzw. konserwatystom. Oczywiście tej tendencji każdy z nas na miarę swoich możliwości powinien się przeciwstawiać, ale też – nie ukrywajmy – możliwości oddziaływania na sam proces synodalny zwykłych katolików są bliskie zeru.

Zarzuty z lat 2014 i 2015, gdy wielu hierarchów oskarżało Sekretariat Synodu o sterowanie tymi wydarzeniami, „tak, żeby Duch Święty powiedział, co się podoba papieżowi", zostały potwierdzone. Jako przykład można podać książkę znanego dziennikarza Edwarda Pentina „The Rigging of Vatican Synod" („Fałszowanie synodu watykańskiego"), która ukazała się nakładem prestiżowego katolickiego wydawnictwa Ignatius Press.

Nie dziwi zatem, że polscy biskupi w większości nie wykazują synodalnego entuzjazmu – szczególnie że właśnie w latach 2014 i 2015 stanęli publicznie przeciwko liberalnej frakcji synodalnej, która okazała się frakcją papieża. Dziś przeważnie milczą. Poza niewiele mówiącym listem do wiernych o procesie synodalnym, który by stać się zrozumiały, wymagałby bardziej szczegółowej analizy, np. połączonej z równoległą lekturą synodalnego „Vademecum", nic prawie nie możemy się od naszych hierarchów dowiedzieć o tym, co nas czeka na synodzie, który formalnie nie ma żadnego celu. Bo czym jest pomysł synodu poświęconego synodalności? Abstrakcją. Takie idee aż proszą się, by ktoś mający władzę i silną rękę ukształtował je według własnej politycznej woli. Gdy ludzie są zdezorientowani (a są), jeszcze łatwiej to zrobić, gdy prawdziwa wiara jest okre-

eprasa.pl f469fbd7ef

„zamach stanu”

FOT. REMO CASILLI/REUTERS/FORUM

ślana tylko jako „konserwatywna opcja” (a jest), a dokumenty przygotowawcze synodu namawiają, by nie oglądać się na przeszłość (co faktycznie robią), wytwarza się wymarzona sytuacja do przeprowadzenia kościelnego „zamachu stanu”. Czym innym, jak nie zamachem „stanu w Kościele” jest możliwy w najbliższych kilkudziesięciu miesiącach zamach na katolicką doktrynę, która przecież dociera do nas z tej wykluczonej przyszłości?

UKRYTY CEL

Są jednak w Polsce hierarchowie, którzy rozumieją, co się dzieje w Watykanie. Rozumieją, że otwarty pluralizm i słuchanie wszystkich zwykle ma swój konkretny, choć niekoniecznie ujawniany bezpośrednio cel. Takim biskupem okazał się biskup pomocniczy warszawski Piotr Jarecki. „Jeżeli środowiska LGBT wyrażą wolę zaangażowania w synod, to nie wykluczymy ich. Niech przepracują te tematy i niech prześlą wyniki dyskusji do nas. Nikogo nie wykluczamy” – powiedział on niedawno. Zaproszenie „środowisk LGBT” do synodu jest sygnałem otwartości na zmianę nauczania katolickiego w zakresie, który jest wyznaczony przez Objawienie. Kwestia homoseksualna nie wynika z prawa ludzkiego, ale Bożego. I – dodajmy – nie chodzi tu o homoseksualnych katolików słuchających nauczania Kościoła, ale ruchy moralnej i politycznej rewolucji.

Nić porozumienia pomiędzy kościelnymi destruktorami nawiązuje się szybko. Były ksiądz, homoseksualista Łukasz Kachnowicz w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” powiedział: „Do tej pory synod polegał na tym, że biskupi zjeżdżali się z całego świata do Watykanu i radzili nad wybranym przez papieża tematem. Teraz Franciszek ma inny pomysł. Spotkanie biskupów w Watykanie w 2023 r. poprzedza droga synodalna. Ten proces właśnie się rozpoczął w diecezji warszawskiej. Ma w nim wziąć udział nie tylko wąskie grono hierarchów, osób decyzyjnych w Kościele, lecz także papież polecił poszerzyć to grono – jak to ujął – o lud Boży, czyli też świeckich, i to nie tylko takich, którzy są blisko Kościoła, lecz także są np. poza nim”. Wypowiedź ta zawiera doskonałe streszczenie tego, czym jest promowany za pontyfikatu Franciszka tzw. nowy paradygmat w teologii – prawdy wiary, prawdy i zasady moralne mają wynikać z tego, co ludzie myślą i chcą, a nie z tego, co Bóg przekazał w Piśmie Świętym i Tradycji. Jak łatwo się domyślić, ludzie np. nie chcą, by ich złe czyny nazywać grzechami, ale by – posługując się słowami Kachnowicza – „byli mile widziani”. Ten rodzaj procesu synodalnego, prowadzony konsekwentnie i latami, doprowadziłby do końca Kościoła katolickiego jako Kościoła Chrystusa.

Zresztą być może coś takiego właśnie jest przygotowywane. Często w kościelnym żargonie mówi się, że „nie ma przypadków, są tylko znaki”. Potraktujmy zatem jako znak fakt, że abp Grzegorz Ryś, metropolita łódzki, zaprosił do wygłoszenia nauki w czasie diecezjalnej inauguracji synodu Marka Izdebskiego, superintendenta generalnego wspólnoty ewangelicko-reformowanej w Polsce. Arcybiskup Ryś niedawno zasłynął nadużyciem liturgicznym polegającym na odprawieniu, na scenie, w czasie koncertu, elementów rytu mszy, całkowicie je trywializując i odzierając ze wszelkiej czci. Można by to zachowanie także uznać za małą przymiarkę do protestantyzacji. Co zatem katolickim słuchaczom powiedział pastor Izdebski? Choćby to, że ustrój Kościoła należy do „kategorii ziemskich, socjologicznych, a nie Bożych w sensie niezmiennej prawdy”, a zatem za aprobatą metropolity łódzkiego przekonywał, że słowa Pana Jezusa, fundujące Kościół z widzialną hierarchią apostolską, nie są prawdą. „Pojęcie władzy w kościele nie odpowiada duchowi Ewangelii” – mówił pastor. Można by powiedzieć, że arcybiskup wykonał robotę w białych rękawiczkach – ustami pastora przekazał wiernym katolikom, jakiej rewolucji w Kościele mają się spodziewać.

Naprawdę trudno się dziwić dezorientacji katolików wszystkich stanów. Tych, którzy w tej dezorientacji we wszystkim starają się trzymać papieskiej sutanny, czeka trudny czas. Ostatnio po powrocie z Rzymu abp Józef Kupny zrelacjonował rozmowę z Franciszkiem na temat sposobu papieskiego rozeznawania w czasie synodu dla Amazonii. „Na każdym z [...] etapów – relacjonuje arcybiskup słowa Franciszka – Duch Święty podpowiadał nam, że mamy wiele do nadrobienia i trzeba inaczej rozłożyć akcenty: położyć nacisk [...]. Później – podkreślił Franciszek – jakby Duch Święty zamilkł, bo o ile wcześniej rozwiązania wyłaniały się w toku spotkań i rozmów, o tyle, kiedy podjęto temat święcenia żonatych mężczyzn, [papież] nie otrzymał żadnej wskazówki. Stąd, pomimo dużych nacisków, ostatecznie Franciszek tego tematu nie zaakceptował”.

Czy to znaczy, że teraz wiara katolicka ma się opierać na wyczuciu? Na intuicji jednego człowieka? Jeśli tak, to najbliższy synod będzie przykrym widowiskiem, a dla wielu katolików, którzy po prostu chcieliby niezmienności prawd wiary i zaufania do papieża, może przekształcić się w egzystencjalny horror.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f469fbd7ef

FOT. MATERIAŁY PRASOWE WAWMUN 2021

Świat według młodych

Agnieszka Niewińska

Debatowali po angielsku i na ważne globalne tematy, których niejeden dorosły bałby się poruszyć. W Warszawie po raz 15. młodzież zorganizowała symulację obrad ONZ dla swoich rówieśników

Pierwszy na agendzie był temat reform misji pokojowych ONZ. Delegacje państw członkowskich nie rezygnowały z zabrania głosu w tej sprawie podczas Sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Delegacja chińska podnosiła fakt, że ma w nich spory finansowy udział. Amerykanie z kolei zwracali uwagę na słabe przygotowanie i wyposażenie sił pokojowych z państw rozwijających się. Dyskutowano także o tym, jak nie dopuścić do powtórki z ujawnionych kilka lat temu skandali pedofilskich z udziałem błękitnych hełmów.

Do gorących sporów doszło podczas obrad UNESCO. Dyskutowano na temat zwrotu dzieł sztuki zagrabionych w czasach kolonialnych przez metropolie. Żywo zainteresowana tematem delegacja brytyjska wytykała Egipcjanom, że wielka sztuka nie jest u nich bezpieczna, a „Maki” Vincenta van Gogha skradziono w Egipcie nie raz, ale dwa razy. Egipska delegatka nie pozostała dłużna, wyliczając okradzione muzealne placówki w państwach zachodnich, i przypominała, że w Kairze na ukończeniu jest muzeum archeologiczne, które będzie jednym z największych i najnowocześniejszych na świecie.

Delegaci obradowali w dniach 22–25 października. Nie w Nowym Jorku, ale w Warszawie. Bo mowa tu o młodzieżowej symulacji obrad ONZ – Warsaw Model United Nations (WawMUN), którą po raz 15. zorganizowali uczniowie II LO im. Stefana Batorego w Warszawie. W tegorocznym WawMUN udział wzięło ponad 200 uczestników z wielu miast Polski, a także młodzież z zagranicy – m.in. z takich krajów jak Szwajcaria, Słowenia, Włochy czy Stany Zjednoczone. Tematem przewodnim tegorocznej edycji był „ONZ w wielobiegunowym świecie”. Młodzież podzielona na komitety takie jak WHO, UNEP czy UNICEF podjęła m.in. tematy zdrowia psychicznego mieszkańców krajów rozwijających się, sytuacji Ujgurów w Chinach czy ekonomicznych sposobów stabilizacji Ameryki Środkowej.

UMIEJĘTNOŚCI NIE DO ZDOBYCIA W SZKOLE

Model United Nations (MUN) to popularne na całym świecie wydarzenie, w ramach którego młodzi ludzie wchodzą w rolę delegatów państw członkowskich ONZ i biorą udział w symulacji obrad tej organizacji, dyskutując na ważne dla międzynarodowej społeczności tematy. Obrady w całości prowadzone są po angielsku, co jest okazją dla młodzieży do wykorzystania umiejętności językowych.

MUN jest symulacją nie tylko z nazwy, bo uczniowie biorący udział w wyda-

eprasa.pl f469fbd7ef

rzeniu muszą przestudiować to, w jaki sposób przebiegają obrady, jakie obowiązują podczas nich reguły, choćby co do zgłaszania formalnych wniosków. Muszą także pamiętać, że wypowiadają się nie w swoim własnym imieniu, tylko w imieniu państwa, które reprezentują, więc nawet w ferworze dyskusji wskazane jest, by zamiast „ja" mówić „my" albo „delegat", „delegacja", co podczas WawMUN wielu uczestnikom sprawiało trudności.

Młodzi ludzie muszą też wejść w skórę delegatów państw, z których nie pochodzą. – Jeśli faktycznie chce się zrozumieć problemy państwa, które się reprezentuje, co jest ambicją większości uczestników, to trzeba się w temat zagłębić, sporo poczytać o historii, kraju, jego pozycji, bieżących wydarzeniach. Najważniejsze jest nie tylko to, co w tej chwili dzieje się w danym kraju, lecz także to, co za tym stoi. Takie przygotowanie jest czasochłonne, ale rozwijające – opowiada Wanda Narkiewicz-Jodko, maturzystka z LO im. Stefana Batorego, która w MUN brała udział kilkukrotnie, m.in. w roli delegatów z Indii, Białorusi czy Niemiec. W tym roku znalazła się w gronie organizatorów.

– Przygotowania rzeczywiście zajmują dużo czasu, zwłaszcza jeśli ktoś reprezentuje duży kraj. Jestem delegatką z Rosji, więc bez solidnego przygotowania trudno byłoby mi zaprezentować swoje stanowisko – dzieli się wrażeniami w przerwie obrad Lena, uczennica Batorego. W MUN w tym roku brała udział po raz pierwszy. Nie kryje entuzjazmu. – To świetne wydarzenie. Mogę się tu wiele nauczyć, poznaję ciekawe osoby, z którymi chętnie będę współpracować w kolejnych latach

– Dla mnie MUN było wspaniałym przeżyciem – wtóruje jej Wanda Narkiewicz-Jodko. – Do dziś wspominam pierwszy, w którym brałam udział. Zdecydowałam się na to, by włączyć się w organizację wydarzenia, bo chciałam, żeby inni uczniowie też mieli możliwość przeżycia czegoś takiego. To ważne, żebyśmy mogli debatować na temat globalnych problemów, o których w szkole zbyt wiele się nie mówi – podkreśla. Przyznaje, że przygotowanie takiego międzynarodowego wydarzenia to też unikatowe doświadczenie. – Dla nas wszystkich w sekretariacie była to szkoła odpowiedzialności. Zdobyliśmy też wiele umiejętności. Robiłam rzeczy, które były dla mnie kompletnie nowe, a pracy przy organizacji było dużo. Szukaliśmy sponsorów, rezerwowaliśmy sale konferencyjne, kontaktowaliśmy się z mediami. Prace organizacyjne ruszyły kwietniu. Regularnie spotykaliśmy się nawet w wakacje.

– Organizując takie wydarzenie jak MUN, można zdobyć umiejętności, które normalnie w szkole są nie do zdobycia – mówi Tymoteusz Goździk, tegoroczny maturzysta i jeden z organizatorów WawMUN 2021. Podkreśla, że nie tylko włączenie się w przygotowania, lecz także już sam udział w symulacji obrad Narodów Zjednoczonych to okazja do tego, by doskonalić się w sztuce argumentacji, logicznym myśleniu, zbieraniu informacji czy w wypowiedzi publicznej przed 300-osobowym audytorium. – MUN to wielka przygoda i nie dotyczy to jedynie delegatów reprezentujących kraje ONZ, lecz także tych, którzy przewodniczą obradom poszczególnych komitetów. Ich zadaniem jest zebranie informacji, stworzenie materiałów dla delegatów, które mają służyć temu, by dwudniowe debaty były ciekawe, dynamiczne, pozwalały dojść do interesujących wniosków.

Barbara Kordas, dyrektor II LO im. Stefana Batorego, przyznaje, że choć przeprowadzenie symulacji obrad Narodów Zjednoczonych jest dla szkoły organizacyjnym wyzwaniem, to warto je podejmować: – Widzimy, że nasi uczniowie, przygotowując WawMUN, rosną, zdobywają nowe umiejętności. Kadra nauczycielska ich w tym wspiera. Czasem trzeba im podpowiedzieć, co wypada, a co nie, doradzić, jak napisać pismo czy zaproszenie, wypełnić wniosek, ale to oni są odpowiedzialni za organizację i angażują w to przedsięwzięcie młodsze roczniki. To wydarzenie jest dla naszych uczniów lekcją wychowania ekonomicznego i obywatelskiego, a także okazją, by otworzyć się na świat. Przyjeżdża do nas młodzież z wielu krajów świata. W tym roku ze względu na pandemię tylko po jednym przedstawicielu, ale wcześniej gościliśmy grupy młodzieży pod opieką nauczyciela. Choć obrady ONZ to tylko symulacja, to i tak uczniowie podchodzą do tego bardzo poważnie. W tej chwili czerpią z tego przyjemność, ale udział i organizacja WawMUN przełożą się także na ich przyszłość. Można je uwzględnić w aplikacji na wyższe uczelnie zagraniczne. Są wysoko punktowane.

NIEBEZKRYTYCZNI

Pozanaukową aktywność uczniów cenią nie tylko uczelnie wyższe, lecz także pracodawcy. Absolwenci nieraz są zdziwieni tym, że na rozmowie o pracę czyściej niż o tytuły i osiągnięcia naukowe pytani są o to, czy pracowali w grupie nad prawdziwym przedsięwzięciem, negocjowali albo podpisali jakąś umowę, rozwiązywali konflikt w grupie. Z badań wynika, że coraz większe znaczenie dla pracodawców mają kompetencje miękkie. Raport Manpower „Niedobór talentów 2021" wskazuje, że dla 35 proc. firm wyzwaniem jest pozyskanie pracowników rzetelnych, zdyscyplinowanych i mających poczucie odpowiedzialności. Ponad 25 proc. zwraca uwagę na brak pracowników charakteryzujących się logicznym myśleniem i umiejętnością rozwiązywania problemów. 28 proc. pytanych pracodawców wskazuje na brak kandydatów z własną inicjatywą.

Czy młodzi uczestnicy MUN wyjdą z inicjatywą zmian w samym ONZ? Wobec organizacji, która w ostatnich latach jest krytykowana m.in. za niską skuteczność, nie są bezkrytyczni.

– Krytyka ONZ jest moim zdaniem słuszna – mówi Tymoteusz Goździk. – Wzrasta liczba państw niedemokratycznych, nieprzestrzegających zasad prawa i w momencie, kiedy takie kraje jak Chiny, będące stałym członkiem Rady Bezpieczeństwa, mają prawo weta, ONZ przestaje spełniać swoją funkcję. Reforma jest potrzebna. Jak ją przeprowadzić? Na to pytanie nie umiem odpowiedzieć. Zmiany w tej organizacji są bardzo trudne do przeforsowania – mówi maturzysta. Na razie nie myśli jednak, by swoją przyszłość wiązać z pracą w organizacjach międzynarodowych. Przygotowuje się do międzynarodowej matury. – Myślę o studiach w Stanach Zjednoczonych ze względu na to, jakie jest tam podejście do nauki, jak wygląda środowisko uniwersyteckie. Moje zainteresowania to ekonomia i zarządzanie, a dodatkowo także prawo.

Wanda Narkiewicz-Jodko w tym roku także będzie podchodzić do międzynarodowej matury. – W planach mam studia, najprawdopodobniej za granicą, związane z takimi dziedzinami jak nauki polityczne, prawo, ekonomia – zdradza. – MUN rozbudza w nas chęć zmiany świata, zrozumienia tego, co się dzieje naokoło – dodaje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Tegoroczny Warsaw Model United Nations tygodnik „Do Rzeczy" objął patronatem medialnym.

eprasa.pl f469fbd7ef

Co im pokazujecie?!

Łukasz Zboralski

W polskich szkołach nauczyciele wysyłają ostrzeżenia do rodziców – bo widzą, że dzieci naśladują zachowania z serialu „Squid Game", pełnego przemocy i śmierci. Niestety, nie tylko to dzieci oglądają dziś same w sieci

Jedna z nauczycielek młodszych klas w szkole podstawowej z powiatu piaseczyńskiego wysłała do rodziców dzieci ostrzeżenie, bo zaobserwowała, że uczniowie III klasy oglądają serial „Squid Game". To najnowszy hit Netflixa, którego fabuła to gra na śmierć i życie – jest pełen zabijania, krwi, przemocy. Uczestnicy serialowej „gry" przechodzą kolejne wyzwania, które są zwyrodniałymi formami rzeczywistych dziecięcych zabaw. Jeśli im się nie uda – to giną. I dzieci zaczynają te „zabawy" naśladować.

„Powiedziały, że »bawią się« w ten serial, niektóre oglądają, a tym, które nie oglądają, ktoś opowiedział. Biorąc pod uwagę dawkę przemocy oraz fakt, że film jest dozwolony od 16 lat, ale przede wszystkim to, że treści tam zawarte mogą być destrukcyjne dla psychiki nie tylko najmłodszych, bardzo proszę o czujność i »cenzurę«, choć bardzo nie lubię tego słowa" – ostrzegła rodziców nauczycielka.

To niejedyny taki przypadek w polskich szkołach. Podobne ostrzeżenie wysłała niedawno do rodziców zaniepokojona pedagog. „Niepokojący jest fakt, że dzieci młodsze rozmawiają o tym w świetlicy. Proszę o sprawdzenie treści filmu i gry oraz o przeprowadzenie rozmów z własnymi pociechami" – napisała w wiadomości e-mail zatytułowanej „Groźne zabawy".

Dzieci przechwalały się też oglądaniem tego serialu w szkole podstawowej w Kowalu koło Gdańska. Tam też wysłano na Librusie ostrzeżenie rodzicom. „[…] Z informacji, które posiadam, wiem, że wielu uczniów naszej szkoły jest w trakcie oglądania lub obejrzało serial »Squid Game«. Jest to produkcja przeznaczona dla osób powyżej 16. roku życia. Z relacji dzieci wynika, że już trzeciokla-

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl f469fbd7ef

siści go oglądają" – czytamy w piśmie. Szkoła informowała też, że w serialu dzieci mogą obejrzeć m.in. sposoby popełniania samobójstwa.

Według Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę część małych dzieci – o zgrozo! – ogląda ten serial wspólnie z rodzicami.

CZYM TO SIĘ KOŃCZY?

Nie jest to tylko oczywiście polski problem. Nauczyciele w całej Europie są przerażeni tym, że dzieci oglądają tak brutalne produkcje. I że zaczynają się bawić w podobne zabawy.

„Zauważyliśmy, że ośmio- i dziewięciolatkowie bawią się w gry podobne do tych pokazywanych w filmie. Ze śpiewem naśladują strzały do przegrywających i sami padają na ziemię, udając martwych. Jestem w szoku. Jak mamy przekazywać wartości, jeżeli na co dzień w domu małe dzieci oglądają brutalne sceny przemocy? Choć serial nie jest rekomendowany dla osób poniżej 16 lat, wygląda na to, że wiele dzieci ogląda go ze swoimi rodzicami" – napisała na Twitterze nauczycielka z Hiszpanii. Była tym wstrząśnięta.

Czym to się kończy w praktyce? Tym, co zaobserwowano w jednej szkole w Belgii. W publicznej szkole Erquelinnes Béguinage Hainaut dzieci przyłapano na odtwarzaniu wyzwań ze „Squid Game". Ten, kto nie podołał zadaniu, był przez rówieśników bity (w serialu jest zabijany przez organizatorów „gry").

W Wielkiej Brytanii prasa opisuje dzieci, które odtwarzają takie rzeczy na placach zabaw. Tam również dochodziło do bicia tych, którzy przegrywali w „grze".

„Słyszymy od nauczycieli i od samych dzieci o 9-, 10-latkach, które organizują pokazywane w serialu gry, dzielą się na graczy i strażników, udają zadawanie śmierci i umieranie, zdarza się, że stosują realną przemoc wobec przegranych – strzał zastępują uderzeniem w głowę, a nawet pobiciem – relacjonuje na stronie Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę Łukasz Wojtasik. – Tak jak bohaterowie filmu dostają od tajemniczych osób wizytówki z numerem telefonu oznaczone symbolami kółka, kwadratu i trójkąta, tak uczniowie podrzucają sobie podobne wizytówki do szkolnych szafek. Dzieci, które nie oglądały filmu, słyszą o nim w szczegółach od rówieśników. Pogadanka z psychologiem na ten temat w jednej z warszawskich szkół ujawniła wysoki poziom lęku kilkorga uczniów, którzy mieli kontakt z serialem".

– Im więcej tego typu treści z przemocą dziecko ogląda, tym większe jest ryzyko, że zacznie takie zachowania traktować jako normalny fragment świata, jako sposób na kontakty z innymi ludźmi, jako sposób załatwiania spraw między ludźmi – tłumaczy niebezpieczeństwo dr Aleksandra Piotrowska, psycholog dziecięcy, wykładowca UW. – To nie jest automatyczne naśladownictwo, bo to zależy jeszcze od wielu czynników, jednak w takich sytuacjach mocno wzrasta ryzyko utraty wrażliwości na przemoc, na cierpienie innych – dodaje.

MINISTERSTWO REAGUJE

Było to na tyle niepokojące, że w niektórych miejscach samorządy wydały oficjalne zalecenia dla rodziców. Rada Bedfordshire publicznie ostrzegła dorosłych przed tym, że dzieci narażone są na oglądanie przemocy i mogą kopiować te zachowania. Niezależnie placówki szkolne wysłały własne ostrzeżenia.

Kolejny problem to odtwarzanie rozgrywek przed kamerami na platformach typu TikTok. Dzieci „grają" np. w grę polegającą na wydłubywaniu igłą kształtu z przygotowanego wcześniej cienkiego plastra karmelu. Próby przygotowania tego zadania mogą dla małych dzieci skończyć się ciężkimi oparzeniami (żeby mieć karmel, trzeba na patelni rozpuścić i przypalić cukier).

W Polsce sprawą zainteresował się już sam minister edukacji. – Przyznam się szczerze, że nie miałem okazji obejrzeć jeszcze tego serialu. Moje dzieci również go nie widziały. Jednak po apelach nauczycieli i rodziców nasz resort przyjrzy się tej produkcji. Jesteśmy w stałym kontakcie z kuratorami, którzy będą badać ten problem. Takie treści nie powinny mieć miejsca – zapowiedział minister Przemysław Czarnek.

RODZICE MUSZĄ SIĘ ZMIENIĆ

Ministerstwa, szkoły, samorządy – wszystkie te inicjatywy będą miały ograniczony wpływ na to, co dzieci oglądają w domach. Apele zadziałają tylko w przypadku tych rodziców, którzy nie mieli pojęcia, jak uniemożliwić swoim dzieciom dostęp do nieodpowiednich treści w sieci. Reszta jednak w ogóle o tym nie myśli albo wręcz uznaje, że dzieci mogą oglądać wszystko. Odpowiada za to nieco degradujący się model sprawowania opieki nad dziećmi – pisałem już o tym na łamach tygodnika („Smartfonowe wychowanie", „Do Rzeczy" 31/2021 z 2 sierpnia 2021 r.). Wielu rodziców coraz częściej dzieci jedynie „ma", „posiada". Pracują zbyt długo, intensywnie, przedkładają własne przyjemności nad zaangażowaniem się w interakcję z własnym potomstwem. Chwile „wytchnienia" od dzieci, chwile które trwają coraz dłużej, rodzice „kupują" dając dzieciom do rąk tablety, komórki, komputery. Dzieci są zajęte, dorośli mają spokój. Z danych, które wówczas w „Do Rzeczy" opublikowałem, wynikało, że rodzice wkładają smartfony do rąk już nawet niemowlakom. W grupie dzieci do szóstego roku życia połowa patrzy w kolorowe ekrany. To, co tam oglądają, jest już tylko kolejną konsekwencją zamiany wychowania na dostarczanie kolorowej, internetowej rozrywki. Bez zrozumienia tego wielu rodziców będzie nadal narażało swoje dzieci na „Squid Game" i inne tego typu treści, nie wyłączając wszechobecnej w sieci pornografii.

Im więcej treści z przemocą dziecko ogląda, tym większe ryzyko, że zacznie takie zachowania traktować jako normalny fragment świata

Problem mają z tym jednak także rodzice, którzy zwracają uwagę na to, co ich dzieci robią w Internecie. Te bowiem często oglądają potem nieodpowiednie dla nich treści… na smartfonach kolegów. Położyć temu tamę jest już niezwykle trudno.

– Gdy nasze dziecko coś takiego zobaczy, po pierwsze nie należy udawać, że nic się nie stało – mówi dr Piotrowska. – Trzeba rozmawiać. W rozmowie należałoby nawiązać do tego, że dla pieniędzy ludzie są w stanie oferować różne treści, które nie mają dużo wspólnego z realnym życiem. Należy dziecku wyjaśnić, że to, co ogląda, to fikcja i to nie jest odwzorowanie rzeczywistości. Warto też zwrócić uwagę, co czują osoby krzywdzone przez innych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f469fbd7ef

Piotr Gociek

Powroty Borgesa

„Nie ośmielam się twierdzić, że są proste" – pisze o swoich opowiadaniach argentyński pisarz we wstępie do „Raportu Brodiego". Dodajmy: Ale za to jakie dobre!

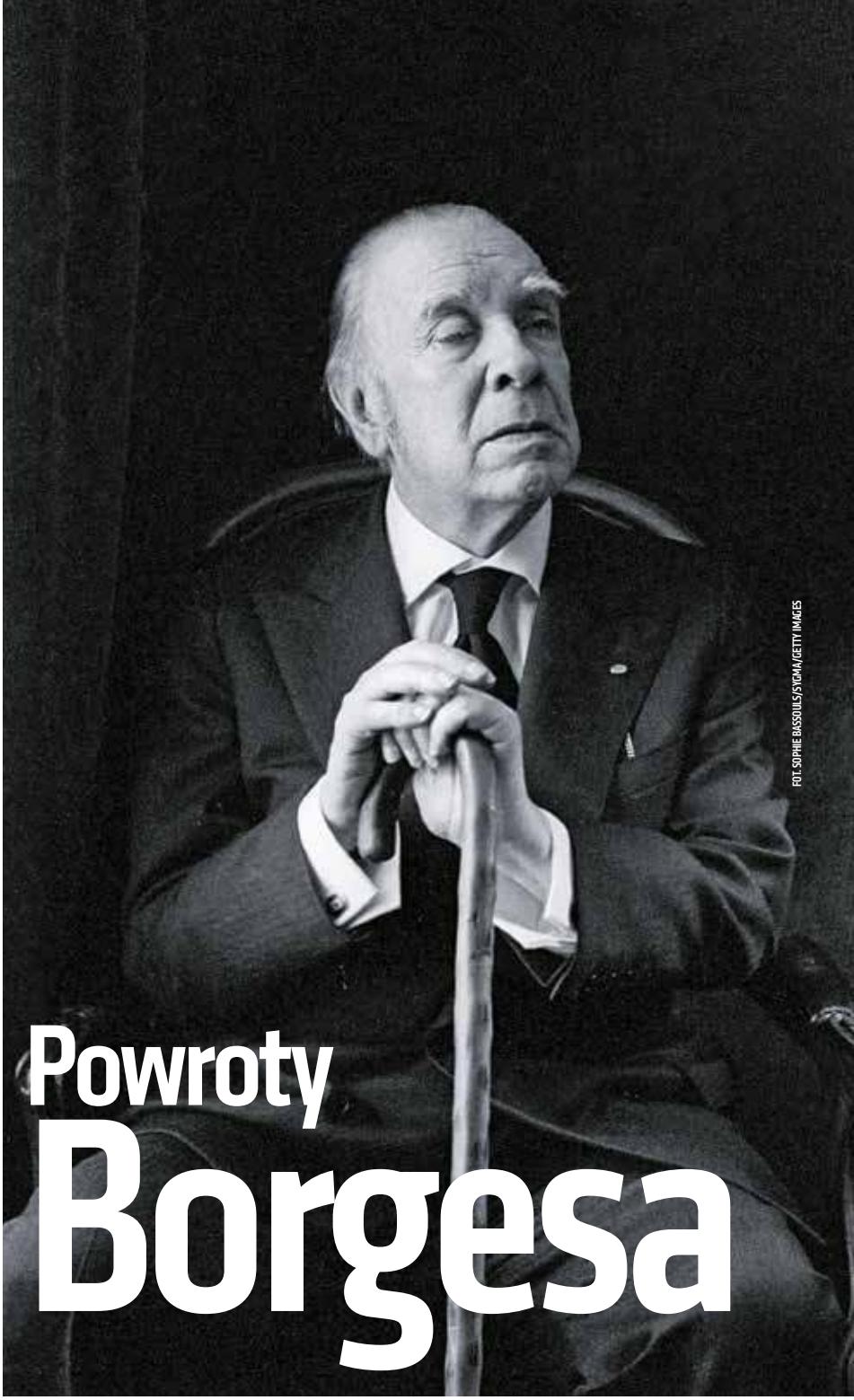

FOT. SOPHIE BASSOULS/SYGMA/GETTY IMAGES

To pisarz, którego nie znoszę" – tak o Borgesie mówił pół wieku temu Gabriel Garcia Márquez. Jednocześnie dodawał: „Czytam go co wieczór". W dyskusji dwóch przyszłych noblistów, którą znajdujemy w książce „Dialog mistrzów", problem Borgesa nieustannie powracał. Mario Vargas Llosa i wspomniany Márquez oddawali mu hołd, układając zarazem listę zarzutów: że ucieka od palących problemów współczesności, że za bardzo żyje w wymyślonym przez siebie świecie, że to esteta, a tu przecież trzeba wymierzać sprawiedliwość widzialnemu światu… „Czytam go dla jego nadzwyczajnej zdolności operowania słowem, to autor, który uczy pisania, to znaczy uczy, jak stroić instrument, żeby móc za jego pomocą wyrazić pewne myśli" – chwalił Borgesa Márquez, uzupełniając od razu pochwały twierdzeniem, że z tego idealnie nastrojonego instrumentu Jorge Luis Borges robi niewłaściwy użytek. „Większa część jego utworów dotyczy spraw, które tematycznie nie dadzą się zaklasyfikować jako specyficznie argentyńskie" – wydziwiał z kolei Llosa. „Według mnie to literatura uniku" – gderał Márquez.

Nie wiem, czy sam Borges reagował jakoś na zaczepki młodych gniewnych (tak, wszyscy, nawet siwowłosi nobliści, byli kiedyś młodymi gniewnymi – może prócz Miłosza, który od razu pisał, jakby urodził się stary), ale czas pokazał, że nie musiał. Ale wygrał i bez tego. Czytany jest dziś równie uważnie jak kiedyś, rzekłbym nawet, że jego rozważania o naturze rzeczywistości i nierzeczywistości oraz o znaczeniu w tym wszystkim literatury są w erze postprawdy i fake newsów ważniejsze i trafniejsze niż kiedykolwiek. A jednocześnie cóż stało się z dorobkiem Llosy i Márqueza? W przypadku pierwszego „Zielony dom" osobisty i magiczny, „Wojna końca świata" porażająca, metafizyczna, o ileż częściej są czytane niż polityczna „Rozmowa w »Katedrze«" i o ileż lepsze są od doraźnych powieści ostatnich – „Dzielnicy występku" i „Burzliwych czasów". Gdy ktoś pyta antykwariusza o Márqueza, to nie zaczyna rozmowy od pytania o „Na fałszywych papierach w Chile" albo o felietony na temat Fidela Castro, tylko chce znaleźć „Sto lat samotności" – niezwykłą powieść, która przetrwała, bo zamienia to, co realne, w to, co nadrealne i ponadczasowe, a nie odwrotnie.

PRZYJEMNOŚĆ POŁĄCZONA Z WYZWANIEM

Borges, wylansowany w Polsce na fali popularności literatury latynoamerykańskiej, zajmował i zajmuje w tym boomie miejsce zupełnie osobne i sądzę, że jest godzien miana nie tylko wybitnego pisarza, lecz także oryginalnego myśliciela.

eprasa.pl f469fbd7ef

Jean Baudrillard szukał u niego pomocy, próbując objaśnić fenomen współczesności w swym najsłynniejszym dziele „Symulakry i symulacja". A poza tym wszystkim nam, czytelnikom, sprawia wciąż Borges ogromną przyjemność podczas lektury. Przyjemność połączoną z wyzwaniem, bo choć jest mistrzem krótkiej formy, to wymusza na czytelniku obcowanie długie. Kto czyta uważnie Borgesa, ten wie, że nie da się tego robić szybko i po łebkach. Wracamy do poprzednich akapitów, do poprzednich opowiadań, do czytanych już raz książek.

Jesteśmy świadkami – dzięki inicjatywie Państwowego Instytutu Wydawniczego – powrotu dzieł Borgesa na księgarskie półki. Piękne edycje, dopieszczone edytorsko, opatrzone potężnym aparatem krytycznym (nareszcie!), z przypisami, posłowiami, esejami. I wspaniale dobrane – po zbiorach „Fikcje" i „Alef" teraz dostajemy do rąk tom „Raport Brodiego". W nowym, dodajmy, przekładzie; poprzednie edycje tłumaczyła Zofia Chądzyńska, za najnowszą odpowiada Andrzej Sobol-Jurczykowski, który niestety zmarł rok temu (2 listopada 2020 r.).

Wiele tu dobrych tekstów, ale najwybitniejszy to opowiadanie tytułowe, ekscentryczny i okrutny kawałek prozy stanowiący dopisek do „Podróży Guliwera" Jonathana Swifta. Borges idzie w groteskę i fantazję (oczywiście nadając swej opowieści pozór autentycznej relacji – zawsze tak czyni), a wizja dziwacznego plemienia Jahusów w istocie jest przypowieścią o gatunku ludzkim. Czy równie mizantropiczną jak u Swifta? Chyba mniej, bo choć malowany obraz jest przerażający, to przecież barbarzyńcy posiadają „pewne cechy, dzięki którym mogą to odkupić" (Co? Ano swoje barbarzyństwo właśnie).

Wiele opowiadań z „Raportu Brodiego" przypomina mi utwory, które złożyły się na pierwszy tom prozy Borgesa, czyli „Powszechną historię nikczemności". Podobny jest ton opisu: relacja, nie ocena. Próba zamknięcia ludzkiego losu – nawet postaci bardzo awanturniczej czy malowniczej – w podkreśleniu jednego, dwóch zdarzeń, cech, punktów zwrotnych stanowiących o wyjątkowości. Czasem jest to los przedmiotu – w jednym z opowiadań, choć pozornie krwawą walkę podejmują skłóceni ludzie, to w rzeczywistości zabójcze noże, które zasmakowały krwi w przeszłej waśni, tak kierują losem nowych właścicieli, by wendetę dokończyć.

PROZA DO SMAKOWANIA

To wybitna proza, to proza do smakowania, do przemyślenia – i tak, do „strojenia instrumentu", jak mówił Márquez, bo Borges opanował sztukę władania słowem w stopniu genialnym. Jeśli jednak szukacie kluczowych dla jego literackiej mitologii tekstów, to sięgnąć trzeba do wspomnianych zbiorów „Fikcje" i „Alef" – z tak fundamentalnymi utworami jak „Ogród o rozwidlających się ścieżkach" czy „Biblioteka Babel" (właściwie w przypadku pierwszego tomu musiałbym wymienić wszystkie opowiadania).

Esencjonalne krótkie opowieści Borgesa pokazują, jak zwodniczy jest podział na anegdotę i fabułę. Sam często sięgam do tego rozróżnienia, bo szczególnie przy analizie dzieł literatury popularnej jest pożyteczne. W literaturze gatunków forma krótkiego tekstu, opowiadania, to w istocie anegdota w rozmaitych dekoracjach. W anegdocie liczą się oryginalny pomysł i zaskakująca puenta, jeśli tym dysponujesz i nie jesteś analfabetą, to możesz uprawiać takie pisarstwo przez całe życie. Wydawcy (i czytelnicy) żądni są jednak bardziej tego drugiego: fabuł, rozbudowanych wątków, opisów światów, detali na temat życia wewnętrznego bohaterów. Mam wrażenie, że miniatury Borgesa wyrzucają ten podział do kosza.

Bo krótkie, ale jak pełne są to historie! „Układanie obszernych książek to pracowicie wzniesione i zubożające szaleństwo: rozwijanie na pięciuset stronach idei, której doskonały ustny wykład zajmuje kilka minut" – pisał Borges we wstępie do „Fikcji". Kult zwięzłości wyznawał przez całe życie, jeśli już łagodniejąc, to dla poezji – niektóre z jego wierszy były moim zdaniem ewidentnie przegadane. Ale nie za poezję kochamy Borgesa, lecz za niezwykłą, kompaktową prozę. Zwięzłość niczego jej nie ujmuje: oto opowiadanie „Zawada" otwierające „Raport Brodiego", ponura historia miłości dwóch braci do tej samej kobiety, nad którą to opowieścią unosi się duch Kaina, lecz akt przemocy będzie miał inną ofiarę. To materiał na poruszający film, ale wyobrażam sobie bez trudu dzieje braci Nilsenów jako opasłą powieść – też mogłaby zachwycać, gdyby wyszła spod ręki gawędziarza. Ale… po co? Osiem stron wystarcza Borgesowi. W niczym nie umniejsza to dramatu.

JORGE LUIS BORGES „RAPORT BRODIEGO" PIW 2021

JORGE LUIS BORGES „ALEF" PIW 2020

JORGE LUIS BORGES „FIKCJE" PIW 2019

„Raj wyobrażałem zawsze sobie jako Bibliotekę, nigdy jako Ogród" – wyznał kiedyś Borges. Obrazy bibliotek, labiryntów, map, sobowtórów powracają w jego twórczości nieustannie. To, co mogło być kiedyś przyczyną krytyki jako „literatura uników", okazuje się jednak doskonałą metodą opisu współczesności. Przecież najbardziej cenioną dziś cechą jest subiektywność – nie liczy się to, co się wydarzyło, ale to, kto i jak o tym opowie oraz z jakiego punktu widzenia. A czymże jest biblioteka, jeśli nie zbiorem opowieści – często sprzecznych ze sobą? I nagle Borges okazuje się nie teoretykiem zamkniętym w wieży z kości słoniowej, lecz praktykiem: świat jest dziś opowieścią, opowieścią wewnątrz innej opowieści, opowieścią przefiltrowaną po drodze przez mało wiarygodnych narratorów. Labiryntem luster i internetowym ogrodem o ścieżkach rozwidlających się w nieskończoność.

Z drugiej strony Borges jest pisarzem, którym można się zachwycać, porzuciwszy wszelkie te bagaże. Rozkoszować się dla samej przyjemności czytania. Niewielu takich pod słońcem. „Nie mam do zaoferowania żadnych objawień" – mówił Borges, rozpoczynając swój cykl wykładów „Rzemiosło poezji" dla fundacji Charlesa Eliota Nortona. „Przez całe życie czytałem i studiowałem książki, pisałem (choć może zaledwie próbowałem swoich sił w pisarstwie?) oraz czerpałem przyjemność z lektury i właśnie ową przyjemność uważam za najważniejszą".

Jak to dobrze, że Borges do nas wraca. Chociaż właściwie nigdy nas nie opuścił.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f469fbd7ef

Neron: oswajanie potwora

Wiesław Chełminiak

W British Museum triumf symetryzmu. Tydzień po wystawie dedykowanej chrześcijańskiemu męczennikowi otwarto ekspozycję poświęconą prześladowcy chrześcijan. Tomasz Becket zginął, bo przeciwstawił się królowi. Neron zabijał ze strachu, że sam zostanie zabity

Zwiedzających wita marmurowe oblicze zastygłe w obleśnym grymasie. Popiersie, na co dzień znajdujące się w Muzeum Kapitolińskim, jest najczęściej reprodukowaną podobizną ostatniego cesarza z dynastii julijsko-klaudyjskiej. Jednak tylko niewielka część rzeźby ma antyczny rodowód. W XVII w. poddano ją „renowacji", uwzględniającej czarną legendę Nerona – tłuściocha, lubieżnika i tyrana. Można ją uznać za ilustrację powiedzenia o charakterze wypisanym na twarzy.

Popiersiu towarzyszy fotos z „Quo vadis" – megaloman w wieńcu laurowym na głowie gra i śpiewa, gdy Rzym płonie. Zamysł jest oczywisty – uprzytomnić oglądającym wystawę, że postrzegają princepsa przez pryzmat narosłych od stuleci uproszczeń i uprzedzeń. Francesca Bologna, kurator wystawy, nazywa jego biografię „sfabrykowaną". Być może jest coś na rzeczy, jednak zanim rehabilitacja Nerona – jako władcy i człowieka – stanie się faktem, warto przypomnieć kilka kwestii.

Z MATKĄ W ŁÓŻKU

Prawnuk Oktawiana Augusta był skandalistą, wzgardzonym przez elity, lecz uwielbianym przez lud. Brak powagi rujnował jego autorytet bardziej niż rozrzutność i okrucieństwo. Starożytni wierzyli, że los państwa zależy od osobistych przymiotów lidera. Neron zanadto odstawał od ideału Rzymianina, by mógł uchodzić za właściwego człowieka na właściwym miejscu. Do wojaczki się nie palił. Gdy wyznaniem wiary arystokratów był stoicyzm, on hołdował hedonizmowi. Plotkowano, że sypiał z własną matką. Później kazał ją zgładzić, podobnie jak przybranego brata i pierwszą żonę. Drugą zabił niechcący. Trzecią musiał najpierw rozwieść, co uczynił, skazując na śmierć jej męża. Miewał również męskich kochanków, dwóch z nich – greckich wyzwoleńców – ponoć poślubił.

Żydzi i Brytowie nienawidzili imperatora i jego urzędników tak bardzo, że wszczęli z góry skazane na klęskę powstania. Chrześcijanie obciążali Nerona winą za kaźń tysięcy współwyznawców, w tym apostołów Piotra i Pawła. Dla ojców Kościoła był uosobieniem zła. Przepowiadano, że gdy nastąpi koniec świata, powróci jako Antychryst.

Imię piątego princepsa stało się synonimem okrutnego despoty. W tym

Marmurowe popiersie Nerona, Włochy, ok. 55 r. n.e. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl f469fbd7ef

kontekście pojawia się ono w sztukach Szekspira oraz operach Monteverdiego, Racine'a i Händla. Do utrwalenia złej sławy Nerona walnie przyczyniło się dwóch Henryków: Sienkiewicz i Siemiradzki, potwierdzając antyczne afiliacje polskiej kultury tudzież jej uniwersalizm. Z nadwiślańskiej perspektywy cesarz-artysta jawi się bowiem postacią egzotyczną, niemającą rodzimego odpowiednika. Głowa państwa, która zapominając o swoich obowiązkach, chce grać, śpiewać i tańczyć na scenie? Dobry Bóg przynajmniej takiego doświadczenia nam oszczędził.

ADWOKACI DIABŁA

Ludzie są z natury przekorni. Gdy większość mówi „czarne", zawsze znajdzie się jakiś fan bieli. Z chóru potępiających Miedzianobrodego wyłamali się ostatnio niemieccy historycy Mischa Meier i Claudia Tiersch. W zrealizowanej dla kanału Arte docudramie pod wszystko mówiącym tytułem „Neron. W obronie potwora" oświadczyli, że jest on ofiarą hejtu. Elity imperium opluskwiały cesarza za życia i po śmierci, bo nie spełnił ich oczekiwań.

Jedenaście lat temu w Ancjum (czyli Anzio) odsłonięto pomnik syna Agrypiny. Stoi nad morzem, w miejscu, gdzie znajdowała się willa, w której przyszedł na świat. Burmistrz palnął z tej okazji mowę, której nie powstydziłby się Seneka. „Po dwudziestu wiekach poważni historycy dokonują ponownej oceny postaci Nerona: wielkiego cesarza, kochanego przez swój lud za odważne reformy społeczne i za długi okres pokoju".

Rewizjoniści lubią przypominać, że jego poprzednicy i następcy też mają krew na rękach. Narzekają, że wiedzę o uczynkach imperatora czerpiemy z dzieł niechętnych mu dziejopisów (Tacyta, Swetoniusza i Kasjusza Diona), których w dodatku trudno nazwać naocznymi świadkami. Faktycznie, panegiryki nie przetrwały. Łatwo jednak wyobrazić sobie dytyramby pisane przez zastraszonych senatorów, usłużnych literatów, przepłaconych architektów i nauczycieli śpiewu, a może nawet ulubionych stajennych...

Misję ocieplania postaci cesarza skandalisty przez (świadome tym razem) ośmieszanie podjęło włoskie kino. W 1930 r. Alessandro Blasetti nakręcił film, w którym domniemany podpalacz Rzymu dzwonił po straż pożarną. W 1956 r. na ekrany weszła komedia „Mój syn Neron", znana też jako „Weekend z Neronem". W roli tytułowej wystąpił komik Alberto Sordi, który trzy lata wcześniej z sukcesem wcielił się w Juliusza Cezara. Reszta obsady też była doborowa: Agrypinę grała Gloria Swanson, Senekę – Vittorio de Sica, zaś Poppeę – Brigitte Bardot, która właśnie wtedy odkryła, że lepiej wygląda jako blondynka. Fabułę trudno nazwać wymyślną. Młody princeps – błazen i maminsynek – odkrywa straszną prawdę: nikomu w Rzymie nie podoba się jego śpiew.

1808 ZWYCIĘSTW

Podobnie jak jego wuj Kaligula Neron stał się bohaterem produkcji pornobrutalnych. Omawiać ich tu nie będziemy, odnotujmy jednak, że w jednej cesarza skandalistę zagrał nasz rodak, ukrywający się pod pseudonimem Piotr Stanislas. W „Quo vadis" Neron był zarazem śmieszny i straszny. Krytycy narzekający na hollywoodzką ekranizację oraz serial z Klausem Marią Brandauerem zamilkli, gdy na ekrany wszedł arcynudny film Kawalerowicza. Później było jeszcze gorzej. W 2004 r. powstał telewizyjny tasiemiec, w którym sympatyczny i przystojny Hans Matheson pod wpływem matki zamieniał się w krwawego tyrana.

„Wcale nie jestem zły, miałem tylko nieszczęśliwe dzieciństwo" – ile już razy słyszeliśmy ten wykręt? Lucjusz Domicjusz Ahenobarbus wychował się w rodzinie, którą śmiało można nazwać patologiczną. Choć koligacje miał znakomite, to Neronem został dopiero, gdy adoptował go princeps Klaudiusz. Agrypina otruła małżonka, zanim zdążył zmienić zdanie w kwestii następstwa.

Jej syn na czele państwa stanął, mając 16 lat. Był do tej roli intensywnie przygotowywany, jednak – nie wiedzieć czemu – nauka poszła w las. Polityka nudziła młodego imperatora, pragnął zostać celebrytą. Obawiając się reakcji Rzymian, początkowo unikał publicznych występów. Entuzjastyczne przyjęcie, którego doznał w zamieszkanym głównie przez Greków Neapolu, sprawiło, że pozbył się tremy i stracił hamulce. Zorganizował w stolicy Neronia, kulturalno-sportowe igrzyska. Zainaugurował je, grając na lirze. Hojnie opłacana gwardia pretoriańska zadbała o klakę.

Idąc za ciosem, cesarz wyruszył w artystyczne tournée do Grecji właściwej. Jego plonem było 1808 wieńców zwycięstwa. Większość zdobył w konkursach muzycznych, ale wziął też udział w wyścigu 10-konnych rydwanów. Chociaż wypadł z wozu i do mety nie dojechał, to i tak ogłoszono go triumfatorem.

Złota bransoletka w formie zwiniętego węża FOT. MATERIAŁY PRASOWE

CHLEB, KREW, IGRZYSKA

Konserwatywni Rzymianie byli zgorszeni zachowaniem princepsa, który tak dobrze się zapowiadał. Autorzy wystawy porównują go do młodego Ludwika XIV, jednak pasja do baletu nie przeszkadzała Królowi Słońce zostać monarchą absolutnym.

Tymczasem Neron, zbliżając się do trzydziestki, uciekł od trudów rządzenia imperium w krainę fantazji. Okoliczności, w których stracił władzę, świadczą o nim jak najgorzej. Na wieść o rebelii części legionów spanikował i zamiast o stawianiu oporu myślał tylko o tym, gdzie by się schronić. Zrejterował z Rzymu, chociaż nikt go nie ścigał. Nawet popełniając samobójstwo, potrzebował pomocnej dłoni wyzwoleńca.

Brytyjczyk Tom Holt sprawił frajdę fanom historii alternatywnej. W jego powieści „Pieśń dla Nerona" ginie sobowtór cesarza, on sam zaś zamierza zostać ulicznym grajkiem. Wrogowie nie dają się jednak nabrać na mistyfikację. Nonsens? Bynajmniej, wielu Greków

eprasa.pl f469fbd7ef

i Rzymian faktycznie wierzyło, że Miedzianobrody żyje i wkrótce upomni się o tron. Pojawiło się co najmniej trzech uzurpatorów podających się za cudem ocalałego Nerona.

Fachowcy z British Museum twierdzą, że przyczyn katastrofy 13-letniego panowania należy szukać głębiej. Po serii wojen domowych Rzym był republiką tylko z nazwy. Oktawian zgodnie współpracował z senatem, ale wcześniej zdecydował, kto w nim będzie zasiadał. Świadom niechęci, jaką wzbudzał w ziomkach ustrój monarchiczny, okazywał szacunek „odwiecznym" instytucjom i obyczajom. Nie była to jedynie gra pozorów, princeps – mistrz politycznego balansu – znalazł złoty środek między jedynowładztwem i republikańską tradycją. Tej finezji zabrakło jego następcom.

Wszyscy cesarze z dynastii julijsko-klaudyjskiej w walce z opozycją sięgali po środki ostateczne. Neron, podobnie jak jego wuj Kaligula, często wypadał z roli „pierwszego z równych". Represje powiększały liczbę wrogów, każdy ze straconych i zmuszonych do samobójstwa patrycjuszy miał przecież krewnych i przyjaciół. Najgorzej mieli jednak powinowaci princepsa. Miedzianobrody, lekceważąc trzeźwą uwagę Seneki, że nie ma takiego władcy, który zdołałby uśmiercić swojego następcę, dokończył, rozpoczęte przez poprzedników, dzieło eksterminacji rodu Oktawiana.

Z tezą, jakoby Neron padł ofiarą schizofrenicznego systemu, zgodzić się trudno. Jemu po prostu brakowało kompetencji. Co gorsza, stopniowo pozbył się rozsądnych doradców, zastępując ich pochlebcami. Z obowiązków władcy wzorowo wypełniał tylko jeden: dbał, by prostym Rzymianom nie zabrakło igrzysk i chleba. Zarządzanie imperium, sięgającym od Tamizy do Eufratu, w praktyce powierzył wyzwoleńcom. Dla senatorów było to jeszcze jednym kamieniem obrazy.

Princeps programowo nie ufał też wojskowym, zwłaszcza takim, którzy mieli na koncie sukcesy. Gnejusz Domicjusz Korbulon, pogromca Partów i Germanów, z polecenia cesarza musiał odebrać sobie życie. Jako że represje spadały z reguły na ludzi bogatych, zaczęto podejrzewać, że Miedzianobrody próbuje w ten sposób zapełnić pustki w skarbcu (wyrokowi śmierci z reguły towarzyszyła konfiskata majątku). Patrycjusze, których los był przesądzony, chronili bliskich, uwzględniając w testamentach cesarza i jego zauszników.

Marmurowa płaskorzeźba gwardii pretoriańskiej, Włochy, 51–52 r. n.e.
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ŚMIERĆ W PŁOMIENIACH

Ponad 200 eksponatów zgromadzonych na londyńskiej wystawie daje wyobrażenie o tym, jak żyło się za czasów Nerona. Część pochodzi z miast zniszczonych wybuchem Wezuwiusza. Do tragedii Pompejów i Herkulanum doszło 11 lat po śmierci princepsa, który zresztą bywał w tych stronach. Znalezione w Walii ciężkie kajdany, w które zakuwano niewolników, przypominają ciemną stronę rzymskiego panowania. Z Luwru sprowadzono słynną płaskorzeźbę, przedstawiającą cesarskich pretorian. Z Muzeów Kapitolińskich – wspaniały posąg Agrypiny z bazanitu, twardej skały wulkanicznej egipskiego pochodzenia. Wrażenie robią też biżuteria i garść monet odkryte pod posadzką spalonego domu w Colchester. Ich właściciele zginęli podczas rzezi zgotowanej Rzymianom przez królową Boudikę.

Za Nerona płonęła także stolica imperium. Princeps jej raczej nie podpalił, bawił wtedy w Ancjum. Poza tym pożar strawił jego ulubiony cyrk i pałac z imponującą kolekcją greckich dzieł sztuki. Odbudowa miasta była koniecznością (zrobiłby to zresztą każdy władca), lecz Neron w pierwszej kolejności pomyślał o sobie. W miejscu spopielonych wilii zaczął wznosić nową, dwuhektarową rezydencję, która miała przyćmić wszystko, co świat dotąd widział. Ósmym cudem świata była ośmiokątna sala Złotego Domu. Spod obrotowej kopuły na uczestników cesarskich orgietek i bankietów sypały się płatki róż (patrz: „Quo vadis"). Ponoć Neron, stanąwszy w drzwiach nieukończonego jeszcze pałacu, stwierdził dowcipnie: „Wreszcie będę mieszkał jak człowiek". Trzydziestopięciometrowy pomnik Miedzianobrodego był kolejnym dowodem jego megalomanii, wcześniej monumenty o takich rozmiarach dedykowano wyłącznie bogom.

Po śmierci właściciela Domus Aureus został ograbiony, zdewastowany, a w końcu zasypany ziemią. W 1506 r. wydobyto z ruin „Grupę Laokoona". Sprowadzenie tego arcydzieła z Watykanu do British Museum nie wchodziło w grę, podobnie jak marmurowego posągu Apolla Belwederskiego (być może zdobił letnią rezydencję w Ancjum). Są za to, odnalezione w Rzymie, fragmenty grobowca sekretarza Epafrodyta, który pomógł cesarzowi wbić sobie sztylet w gardło.

SKAZANY NA NIEŚMIERTELNOŚĆ

„Zdecyduj sam, czy Neron był tyranem czy ofiarą propagandy" – zachęca Francesca Bologna. No cóż, swoim życiem dostarczył aż nazbyt wielu dowodów, że nie dorósł do roli imperatora. Autorzy proponujący „nowe spojrzenie" przechodzą nad tym faktem do porządku dziennego. Skupiają się na mnożeniu wątpliwości. W porządku, przyjmijmy, że Miedzianobrody dopuścił się tylko części występków, o które go oskarżano. Ale co to zmienia?

Prawnuk Oktawiana nie był cynikiem, nękały go wyrzuty sumienia. W najwyższym stopniu przesądny, truchlał na widok komety, gdyż wedle ówczesnego przekonania zwiastowała ona zgon jakiegoś VIP-a. Wierzył w bajki: zlecił poszukiwania skarbów Dydony – legendarnej założycielki Kartaginy. Uszczęśliwiał Rzymian, naprawiając drogi, fundując akwedukty, zadaszony targ, amfiteatr, termy oraz inne budynki użyteczności publicznej. Kochał wielkie inwestycje: osobiście zainaugurował drążenie kanału korynckiego, jeszcze dłuższy szlak wodny miał połączyć Ostię z jeziorem Averno i przylądkiem Misenum. Następcy wyrzucili te pomysły do kosza.

Jeden z biografów na pytanie, kim był Neron, odpowiada: „Igraszką historii". Przed nim żaden princeps nie został uznany za wroga publicznego. Dziejopisowie zaliczyli syna Agrypiny do „złych cesarzy". Skazano go na damnatio memoriae – zapomnienie, lecz podobnie jak w wypadku Herostratesa skutek był odwrotny do zamierzonego. Neron wciąż jest z nami. Nieźle jak na kogoś, kto żył dwadzieścia wieków temu i panował przez trzynaście lat.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Nero. The Man behind the Mask" w British Museum była otwarta do 24 października.

eprasa.pl f469fbd7ef

#włączprawdę

REPUBLIKA

DZISIAJ

GŁÓWNE WYDANIE INFORMACJI

oglądaj również na www.tvrepublika.pl

eprasa.pl f469fbd7ef

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Żarty się skończyły

★★★★★☆
REŻ. STAN LATHAN
„DAVE CHAPPELLE: THE CLOSER"
USA 2021

„W moim kraju możesz zastrzelić czarnucha, ale spróbuj tylko urazić uczucia jakiegoś geja" – zakpił ponuro Dave Chappelle w programie komediowym „The Closer". Żartował sobie także z transseksualistów i w ogóle z tych, którzy – jak kiedyś w innym programie mówił Chappelle – „ukradli nam część alfabetu" (LGBTQ i tak dalej). Nietrudno się domyślić, że komik znalazł się natychmiast pod ciężkim ostrzałem; zaczęły się też mnożyć żądania, by program wycofać z dystrybucji. Specjalne pismo w tej sprawie musiał wystosować jeden z szefów Netflixa, Ted Sarandos. „The Closer" ocalał. Na razie, więc oglądajcie szybko. Nigdy nie wiadomo, co przyniesie przyszłość. Na razie komika bronią wyniki oglądalności, bo jego najnowszy występ bije rekordy popularności. A nawet Netflix musi liczyć pieniądze.

Chappelle nie pierwszy raz naraża się hunwejbinom z armii postępu – nie zrozumcie mnie źle, żaden z niego konserwatysta czy republikanin. Jest pupilkiem nowojorskich liberałów, był gwiazdą „Saturday Night Live", nie cierpi Trumpa. W odróżnieniu od innych liberałów pamięta jednak o rzeczy podstawowej: wolność słowa, którą zaczyna się reglamentować, nie jest już wolnością. „Nie zgadzam się z tym, co mówisz, ale oddam życie, abyś miał prawo to powiedzieć" – tak Evelyn Beatrice Hall streszczała poglądy Woltera. Chappelle życiem jeszcze nie zapłacił, ale karierą już tak, bo jakiś czas temu ogłosił, że nie będzie występował publicznie.

Kiedy kilkanaście dni temu demonstracja osób trans (ok. 150 uczestników) zebrała się pod siedzibą Netflixa w Kalifornii, na miejscu pojawili się także zwolennicy komika, podkreślający, że czas przeciwstawić się cancel culture. Chappelle bronił zresztą z tego samego powodu pisarki J.K. Rowling, która także stała się obiektem nagonki ze strony środowisk LGBT+. „Płeć jest faktem" – przypomina tymczasem Chappelle w „The Closer". „Każdy tu obecny, każdy człowiek na Ziemi, aby się narodzić, musiał najpierw przejść między nogami kobiety. To jest fakt". Smutne to czasy, kiedy nie tylko sprawy oczywiste muszą być powtarzane przez komików, ale jeszcze oni sami za mówienie kwestii oczywistych mają być kneblowani. ©℗

NOWE SERIALE: „ACAPULCO"

Komediowy serial „Acapulco" jest tym wszystkim, czym nie był „Biały Lotos". HBO zainwestowało w ponury dramat o społecznych nierównościach, z kolei Apple TV+ wychodząc od tego samego pomysłu – życie w luksusowym hotelu wakacyjnym – proponuje nam coś w rodzaju „Teda Lasso", czyli ciepłą historyjkę o tym, że warto ciężko pracować, marzyć o prawdziwej miłości i nie zwracać uwagi na przeciwności losu. Inna sprawa, że ironii też tu sporo. Wiele wdzięku serial zawdzięcza obsadzie: Enrique Arrizon jako młody Maximo zaczynający pracę w „Las Colinas" jest uroczy i sympatyczny. Camila Perez jako obiekt jego westchnień – również. ©℗

Piotr Gociek

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. Matthias Schweighöfer* ***„Armia złodziei"****, Niemcy/USA 2021*
- *reż. Mark Landsman* ***„Skandal na sprzedaż" („Scandalous: The Untold Story of the National Enquirer")****, USA 2019, dokumentalny*
- *reż. Sean Durkin* ***„Gniazdo" („The Nest")****, Wielka Brytania 2020*

eprasa.pl f469fbd7ef

Zawstydzić Angola

KINO

Wojciech Mecwaldowski zapomina o „Last minute", zjawiskowa Karolina Gruszka wyłania się z londyńskiej mgły, Jack Roth próbuje wyjść z cienia ojca. Mimo zapewnień reżysera „Śmierć Zygielbojma" dramatem psychologicznym nie jest. Pomysł na odkrywanie sekretów człowieka, który serce nosił na dłoni, metodą rodem z „Obywatela Kane'a" wpisano bowiem w dyskurs historyczno-polityczny. Bohater, a wraz z nim widzowie, zyskuje bolesną świadomość, że los narodów wschodniej Europy mało Brytyjczyków obchodzi, w BBC zaś panuje (auto)cenzura.

Na początku okupacji Polska została oklejona plakatami krzyczącymi: „Anglio! To twoje dzieło". Niemcy chcieli zasiać ziarno nieufności wobec aliantów. Propaganda PRL też często dawała do zrozumienia, że demokraci z Paryża, Londynu i Waszyngtonu są takimi samymi złoczyńcami jak Hitler i (w domyśle) Stalin. Czy wałkowanie „zdrady Zachodu" (ze Wschodu – jak wiadomo – zaznaliśmy samych dobrodziejstw) sprawi, że pokolenie wnuków i prawnuków zacznie bić się w piersi za egoizm Churchilla i Roosevelta? Czy powołując się na autorytet Ciołkoszów i Jana Karskiego (których o antysemityzm oskarżyć się nie da), przekonamy ich, że Polacy zrobili, co mogli, a sojusznicy zawiedli na całej linii? I jak sprawić, by świat wreszcie przyjął nasz punkt widzenia? Oto są pytania. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. RYSZARD BRYLSKI
„ŚMIERĆ ZYGIELBOJMA"
POLSKA 2021

wyst. Wojciech Mecwaldowski, Jack Roth, Karolina Gruszka

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GEM KRÓLOWEJ

Na budynku stołecznego kina Apollo, na długo przed premierą „Jadzi", wywieszono wielki transparent z jednym tylko słowem: „Smosarska". Królowa przedwojennego kina w latach 20. wzruszała Polaków, potem równie skutecznie zaczęła ich rozśmieszać. Komedia omyłek, nawiązująca do tenisowych sukcesów innej Jadwigi – Jędrzejewskiej – była skazana na sukces, zwłaszcza że gwieździe partnerował ówczesny amant numer jeden: Aleksander Żabczyński. Drugi plan w składzie: Michał Znicz, Stanisław Sielański, Józef Orwid i Mieczysława Ćwiklińska („Po co ja zemdlałam?") też błyszczy. Znicz i Orwid nie przeżyli wojny, podobnie jak reżyser, szefujący ekipie operatorów filmujących powstanie warszawskie. Emanuela Schlechtera, który napisał scenariusz „Jadzi" oraz tekst przeboju „Jak drogie są wspomnienia", zamordowano w rodzinnym Lwowie. Smosarska zmarła rok po powrocie z emigracji, dokładnie 50 lat temu.

★★★★☆☆

REŻ. MIECZYSŁAW KRAWICZ
„JADZIA"
POLSKA 1936

wyst. Jadwiga Smosarska, Aleksander Żabczyński, Józef Orwid, Michał Znicz

PAMIĘĆ ABSOLUTNA

KINO

Niewiarygodne, choć ponoć zdarzyło się naprawdę. Belgijski Żyd, by zwiększyć swoje szanse na przeżycie, podaje się za Persa. Oficer nadzorujący kuchnię obozu przejściowego chce po wojnie otworzyć restaurację w Teheranie. Gilles uczy go farsi, choć jest on dla niego językiem zupełnie obcym. Wymyśla słowa i całe zwroty. Zdaje się, że miał to być hymn na cześć potęgi ludzkiej kreatywności, motywowanej wolą przetrwania. Główny bohater jest jednak tak wycofany, że cały show kradną esesmani, na czele z łatwowiernym hauptsturmführerem Kochem. W próbach uczłowieczenia niemieckich zbrodniarzy twórcy filmu posunęli się, jak na mój gust, trochę za daleko. Trudno zaprzeczyć, że „wszyscy jesteśmy zdolni do miłości", ale na współczucie też trzeba sobie zasłużyć. Patologie XX w. często bywają pretekstem do łatwych wzruszeń. Jeśli ktoś wolałby poważną refleksję nad złem, to polecam kino z Iranu. ©℗

recenzuje Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. VADIM PERELMAN
„POUFNE LEKCJE PERSKIEGO" („PERSISCHSTUNDEN")
NIEMCY/BIAŁORUŚ/ROSJA 2020

wyst. Nahuel Pérez Biscayart, Lars Eidinger, Jonas Nay

GRA TYGODNIA: „AGE OF EMPIRES IV"

★★★★★☆

„Age of Empires IV" wraca do najlepszych tradycji serii, do czasów, gdy nikt nie miał wątpliwości, który tytuł jest królem RTS-ów. Fani legendarnej dwójki poczują się jak na wizycie u dawno niewidzianego przyjaciela. No jasne, że przez lata się zmienił, ale w głębi duszy to ten sam gość, którego towarzystwo sprawiało, że czas zaczynał płynąć szybciej. Siłą „AoE" były potyczki multi i zdaje się, że najnowsza odsłona też ma w tej materii duży potencjał, ale pochwalić muszę kampanię dla jednego gracza z filmami wprowadzającymi zrealizowanymi niczym minidokumenty. Powrót na tron? Być może, być może... ©℗

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *Strategia, RTS*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent:*** *Relic Entertainment/ World's Edge*
- ***Wydawca:*** *Xbox Game Studios*

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl f469fbd7ef

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Frak dla bohatera

Ta książka wzięła się z radia. Powstała na podstawie cyklu audycji „Historia żywa" zapoczątkowanych pięć lat temu w Programie 1 Polskiego Radia. Profesor Andrzej Nowak z pomocą redaktor Doroty Truszczak przedstawia w nich słuchaczom opowieści o Polakach wielkich, wyjątkowych, ale nie wyłącznie pomnikowych. Wybór tych audycji, w postaci żywotów ułożonych w 21 par, złożył się teraz na książkę opublikowaną nakładem Wydawnictwa Literackiego.

Książkę, powiedzmy od razu, czytającą się świetnie zapewne i dlatego, że Andrzej Nowak, nie tylko wybitny naukowiec, lecz także świetny popularyzator historii, biorąc pod uwagę wielkość swojego audytorium i zróżnicowany stopień jego wiedzy, jeszcze mocniej niż w innych pracach odwołał się tu do emocji, a swoje sądy przedstawił bardziej zdecydowanie, choć – rzecz jasna – nikomu ich nie narzucając. Część z zaprezentowanych w „Żywotach równoległych" par wydaje się oczywista: Piłsudski i Dmowski, Grabski i Kwiatkowski, Sendlerowa i Pilecki czy takie literackie tandemy jak: Prus i Sienkiewicz, Orzeszkowa i Konopnicka, Lechoń i Iwaszkiewicz. Ale już zaskakuje tworzący parę z gen. Władysławem Andersem – Karol Świerczewski, z Janem Pawłem II – Czesław Miłosz czy z prymasem Wyszyńskim – Edward Gierek. Nawiasem mówiąc, zestawienie tych nieoczywistych duetów doskonale sprawdza się w lekturze.

Z najwyższym zainteresowaniem przeczytałem jednak opowieść o dwóch ludziach, którzy w czasie najtrudniejszym dla świata nie tylko marzyli o tym, by go uratować, lecz także podjęli stosowne po temu wysiłki. Mowa tutaj o Janie Karskim i Łukaszu Cieplińskim. O ile temu pierwszemu świat oddał sprawiedliwość, choćby cząstkową, jako świadkowi Holokaustu (i tylko Holokaustu), o tyle nazwisko Łukasza Cieplińskiego wciąż jest – podejrzewam – nieznane nie tylko w świecie, lecz także w Polsce, dla której żył i oddał życie. A nawet szczątków zabitego przez komunistów w 1951 r. strzałem w tył głowy podpułkownika, jednego z przywódców Polski Podziemnej, kawalera Orderu Virtuti Militari, prezesa IV Komendy Zrzeszenia „Wolność i Niepodległość" nigdy nie odnaleziono. Jego symboliczny grób znajduje się na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie. Tym samym, gdzie w monumentalnym grobowcu spoczywa sowiecki agent Bolesław Bierut, który jako prezydent Polski odmówił Cieplińskiemu prawa łaski.

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

Naturalnie wśród postaci przywołanych w „Żywotach równoległych" przeważają sławni Polacy z lat nam bliższych, z wieku XX, ale zdarzają się i dawniejsi, jak książę Adam Czartoryski zestawiony w tym miejscu z Adamem Mickiewiczem, który zresztą swoją edukację w pewnym sensie zawdzięczał właśnie księciu, w latach jego nauki kuratorowi wileńskiego okręgu szkolnego, twórcy wspaniałego systemu edukacyjnego, który w proch obrócić miał rusyfikator Nowosilcow. A książę Adam Jerzy w swoim ponad 90-letnim życiu był i ministrem spraw zagranicznych Rosji, i prezesem Rządu Narodowego w powstaniu listopadowym, a na emigracji w Paryżu nie tylko przywódcą konserwatywnego stronnictwa Hotel Lambert, lecz także kimś w rodzaju polskiego władcy na wygnaniu. A już o tym, że być może sam był biologicznym synem ambasadora rosyjskiego w Warszawie Mikołaja Repnina i że wdał się w romans z żoną carewicza Aleksandra i z kolei był naturalnym ojcem ich dziecka, tylko wspomnę.

Redaktor Dorota Truszczak niekiedy wyraźnie prowokuje swojego rozmówcę, jak wtedy, gdy np. w opowieść o autorze „Chłopów" wtrąca zdanie o jego mało ambitnych wyborach „jak na przyszłego noblistę". Zdał bowiem Reymont „egzamin czeladniczy na krawca. Był też aktorem, dozorcą, robotnikiem kolejowym". „Wiemy od niego – odpowiada Andrzej Nowak – że zakończył swoją krawiecką naukę pracą czeladniczą: doskonale uszytym frakiem. Nie nazwałbym tego mało ambitnym zadaniem… Ja na pewno bym nie potrafił doskonale uszyć fraka, a pani?". Pani redaktor ze skruchą przyznaje, że i ona nie podołałaby temu zadaniu. Cóż, dziś powieść napisać może każdy, czego dowodzą pękające w szwach półki z księgarskimi nowościami, ale z frakiem – zgodzić się trzeba z prof. Nowakiem – „jest chyba trudniej".

„Cała ta seria »żywotów« – powiada autor książki – została pomyślana jako cząstka stałej pracy, by owa sfera polskiej pamięci i refleksji nad tym, co (i kto) jest dla nas obrazem ojczyzny, trwała. A trwać może w sporach o nasz kanon bohaterów – ale bez szyderstwa. W rozmowach o naszej historii, prowadzonych tonem żywym, niewolnym od emocji – ale bez nienawiści".

Ech, rozmarzył się człowiek… ©℗

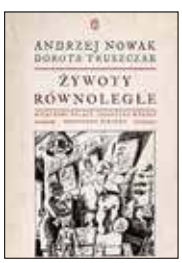

★★★★★☆

ANDRZEJ NOWAK, DOROTA TRUSZCZAK „ŻYWOTY RÓWNOLEGŁE" WYDAWNICTWO LITERACKIE, KRAKÓW 2021

eprasa.pl f469fbd7ef

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Nierealnie realne

A gdyby nie zważać na tradycję, gdyby państwo Izrael powstało nie w Palestynie, lecz w głębi Afryki (były takie plany)? Jak wyglądałaby historia świata, jak wyglądałaby takiego państwa i świata współczesność? Lavie Tidhar, autor ciekawych literacko, nietypowych książek fantastycznych, przekonuje, że bardziej znajomo, niż moglibyśmy się tego spodziewać. Gdy główny bohater „Ziemi nieświętej" ląduje w ojczyźnie, dobiegają właśnie końca prace nad wielkim murem oddzielającym Żydów od afrykańskich tubylców, którzy samobójczymi zamachami walczą o odzyskanie odebranego domu. To zagrożenie (i nie tylko to) sprawia, że opisywana przez Tidhara historia alternatywna wygląda zadziwiająco znajomo. Żydzi uniknęli Holokaustu, ale sami uwikłali się w inny.

Można patrzeć na tę przypowieść z kilku punktów widzenia. Może autor ma zbyt wąską wyobraźnię? Nie sądzę, pokazał w wielu książkach, że tka swe fantastyczne obrazy po mistrzowsku. Może dotknięty jest fatalizmem, może przekonany jest, że nawet gdy unikniemy jednego w wyroków losu, kolejny szybko nas ukarze? A może interesuje go tylko polityczna metafora? Wszak wrogowie państwa Izrael nie od dziś próbują narzucić narrację, wedle której Żydzi w Palestynie robią to samo, co kiedyś robił z nimi Hitler. O takie przekonanie też Tidhara nie podejrzewam. Nie sądzę też, by był wrogiem Izraela. Natomiast jego rozważania na temat żydowskiego losu są intrygujące do momentu, w którym stają się zanadto rozwichrzone.

Fikcja wewnątrz fikcji, metafikcja – tak jak w „Człowieku z wysokiego zamku" Dicka bohaterowie mają przeczucie, że może sami tkwią w „niewłaściwej" rzeczywistości, a ta prawdziwa, bardziej ponura, znajduje drogi, by zamanifestować swą obecność. Tidhar jest znakomitym stylistą, jego pisanie przypomina mi trochę to, co robi China Miéville (zwłaszcza w książce „Miasto i miasto"), ale izraelski twórca przyjmuje perspektywę bardziej intymną.

Powieść, która w początkowych partiach jest wspaniałą panoramą fikcyjnego kraju, a jednocześnie pasjonującym kryminałem, w drugiej połowie rozpada się w eksperyment nieudany, bo o wszystkim. Materia rwie się czasem w rękach nawet najlepszym krawcom. „Ziemię nieświętą" zaczynałem czytać z zachwytem, czytałem z uwagą, odłożyłem z lekkim rozczarowaniem, ale przekonany, że to piękna porażka. Zatem nie żałuję. ©℗

★★★★☆

LAVIE TIDHAR „ZIEMIA NIEŚWIĘTA" ZYSK I S-KA 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Autor „Limonowa" i „Królestwa", jeden z bardziej cenionych współczesnych prozaików francuskich, słynie z miksowania fikcji i prawdy; tym razem dokłada do tej mieszanki dzieje własnych zmagań z chorobą dwubiegunową.

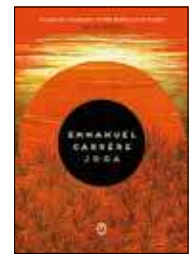

EMMANUEL CARRÈRE „JOGA" WYDAWNICTWO LITERACKIE

Jak zajść w ciążę, jak tego uniknąć, jak zwrócić uwagę mężczyzny i jak go zniechęcić (koper i wilczomlecz, podpowiadam), o kłopotach z garderobą i nagością: w istocie jest to wsparty przykładami z epoki traktat o obyczajach.

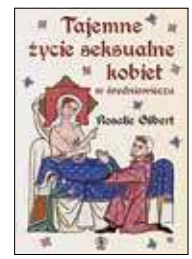

ROSALIE GILBERT „TAJEMNE ŻYCIE SEKSUALNE KOBIET W ŚREDNIOWIECZU" REBIS

Klasyk angielskiego naturalizmu początku XX stulecia ma w dorobku także kilka opowiadań i dwie powieści grozy. Jedną z nich jest „Duch" (1907), historia, w której nadprzyrodzone objawia się we współczesnej aglomeracji.

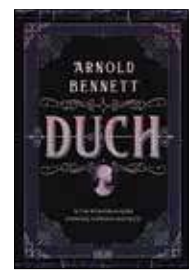

ARNOLD BENNETT „DUCH" ZYSK I S-KA

Mistrz thrillera prawniczego powraca do korzeni – i do jednego z dobrze znanych bohaterów, ponieważ obroną oskarżonego o morderstwo 16-latka jest tu Jake Brigance, znany z „Czasu zabijania". ©℗

recenzuje Piotr Gociek

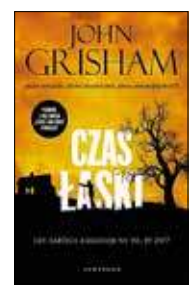

JOHN GRISHAM „CZAS ŁASKI" ALBATROS

KOMIKS TYGODNIA: „ALDOBRANDO"

Gianni Pacinotti (pseudonim Gipi) to jeden z największych współczesnych twórców włoskiego komiksu. A „Adobrando" to przepięknie narysowana przypowieść filozoficzna w formie komiksu fantasy. W krainie lubieżnego króla, podłych baronów, zdradzieckich rycerzy i krzywdzonych kobiet główny bohater, prostaczek, który o świecie nie wie nic, okaże się człowiekiem kluczowym dla nadejścia wielkiej zmiany. Przemocą i kłamstwem się brzydzi, wiernością i uczciwością odpłaca za oszustwo, śpieszy niewinnym z pomocą, drugi policzek nadstawia. Dlatego wygra i innych ocali – prawdziwie chrześcijańskie to przesłanie. ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

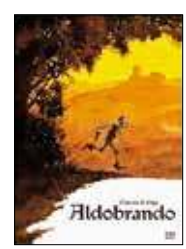

GIPI, LUIGI CRITONE „ALDOBRANDO" KULTURA GNIEWU 2021

eprasa.pl f469fbd7ef

FOT. PODLASKIE MUZEUM KULTURY LUDOWEJ/YOUTUBE

Lament prababek

Ten numer „Do Rzeczy" trafia w ręce Czytelników w Dzień Zaduszny, trudno o lepszy moment, by napisać o projekcie Podlaskiego Muzeum Etnograficznego. Projekcie próbującym zachować tradycje związane z ostatnim pożegnaniem. Pracownicy muzeum ruszyli w teren, by wykorzystać wspomnienia tych, którzy pamiętają zwyczaje pogrzebowe, teksty i melodie pieśni żałobnych. Tak zrodził się projekt „Pogrzebowe Pieśni Podlaskiej Prababki".

Składał się z kilku etapów. Pierwszym były wspomniane działania w terenie. W wybranych wioskach dzisiejszego powiatu monieckiego szukano osób, które pamiętają jeszcze zwyczaje z czasów, gdy ostatnie pożegnanie trwało kilka dni, gdy mieszkańcy, rodzina i sąsiedzi zbierali się w domu zmarłego, czuwali przy nim, modlili się, śpiewali. Szukano mieszkańców, którzy do dziś pamiętają słowa i melodie tych poruszających pieśni.

Kolejnym etapem było spisanie treści i nut, a potem na ich podstawie przeprowadzono warsztaty, w których wzięło udział 12 osób. Efektem ich spotkań i zwieńczeniem całego projektu jest płyta, na której nagrano pogrzebowe pieśni i która jest częścią wydawnictwa, w którego skład wchodzi jeszcze książka z tekstami i zapisem nutowym pieśni. Oraz zawierająca opis wspomnień osób prowadzących warsztaty dotyczące dawnej obrzędowości pogrzebowej. „Nad opanowaniem dwudziestu dwóch pieśni pogrzebowych uczestnicy warsztatów śpiewaczych pracowali przez pięć sierpniowych dni. Ich mistrzami byli Halina Waszkiewicz, Irena Kobeszko i Jan Szklarzewski. Wszyscy troje pochodzą z powiatu monieckiego, są liderami zespołów ludowych, a pieśni pogrzebowe znają od swoich rodziców czy dziadków i wciąż je śpiewają w swoich miejscowościach, kiedy ktoś ze znajomych umiera" – informuje muzeum. Koordynatorką całego projektu jest Agnieszka Skarżyńska-Szerszenowicz. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Można inaczej

Poznański Bibobit przełożył teksty Agnieszki Osieckiej na język współczesnego jazzu opartego na elektronice oraz hiphopowych bitach. Płyta ukazała się w 85. rocznicę urodzin poetki.

Album jest efektem pracy nad spektaklem teatralnym „Stan podgorączkowy". „Miałem wiele różnych kluczy. Jednym z nich było to, żeby ten tekst brzmiał wiarygodnie w ustach 40-latka" – wyjaśnia wokalista Daniel Moszczyński. Materiał zrealizowany przy współpracy z producentem Jackiem Piskorzem oraz aktorkami poznańskiego Teatru Nowego, które pojawiają się w chórkach, otwiera nowe drzwi do interpretacji twórczości poetki. Wprawdzie na płycie znajdziemy wielkie przeboje (m.in. „Zielono mi", „Niech żyje bal", „Gaj" czy „Małgośka"), lecz trudno mówić o klasycznych coverach. Od pierwszego, tytułowego utworu Bibobit narzuca własną stylistykę, dekonstruując oryginały. Moszczyński odrzuciwszy znane linie melodyczne wokali, śpiewa „po swojemu". Instrumentaliści śmiało improwizują, wznosząc się na fali nowoczesnych pulsacji, które płynnie przechodzą w nastrojowe dźwiękowe pejzaże (rewelacyjny „Księżyc"). Utwory zostały tak ułożone, że album stanowi frapującą opowieść o rozterkach autorki. Jednocześnie możemy w utworach znaleźć odniesienia do pandemicznej współczesności, ponieważ na płycie wykorzystano poza tekstami piosenek również archiwalne wypowiedzi Osieckiej. ©℗

★★★★★☆
BIBOBIT/OSIECKA
„CO TO ZA CZAS"
MYSTIC

★★★★★☆
JOHN COLTRANE
„A LOVE SUPREME (LIVE IN SEATTLE)"
IMPULSE!

Taśmy z koncertowym wykonaniem arcydzieła „A Love Supreme" odkryto po 55 latach. Nagrania septetu Coltrane'a, mimo rejestracji na dwa mikrofony, brzmią nieźle. Oprócz czterech części suity usłyszymy cztery improwizowane interludia.

★★★☆☆☆
COLDPLAY
„MUSIC OF THE SPHERES"
PARLOPHONE

W popcentrycznej podróży przez kosmos Coldplay szerzą miłość za pomocą błogich pioseneczek. Zaprosili koreański boysband BTS, Selenę Gomez i Jacoba Colliera. W 10-minutowym utworze „Coloratura" Chris Martin proklamuje: „Razem. Tak to przetrwamy". Ja z trudem dotrwałem do końca. ©℗

eprasa.pl f469fbd7ef

Magdalena Różczka jako sierżant Anna Jass w „Rojst '97" FOT. ROBERT PALKA

Love me gender

Krzysztof Masłoń

Aktywiści LGBT i ich stronnicy za złe mają naszemu narodowi nienowoczesność, nietolerancję, jak również niezrozumienie piękna i prawdy, które niesie ze sobą homoseksualizm. Oczywiście prostactwu temu winien jest nade wszystko brak edukacji seksualnej i wpływ kleru katolickiego. Niestety, ludzie kultury, w tym wybitni artyści, których nam na przestrzeni lat przecież nie brakowało, nie uczynili dla promocji gejostwa tego, co nawet w okowach PRL-owskiej cenzury mogli uczynić. Owszem, ten czy ów pisarz lub reżyser filmowy starał się, ale – bądźmy sprawiedliwi – przynosiło to mizerny skutek.

W końcowym efekcie za najbardziej otwarty pod względem seksu jak najsłuszniej uchodzi, nieprzypadkowo powtarzany na okrągło na różnych antenach, epokowy serial „Czterej pancerni i pies", odważnie stawiający kwestie – jak kiedyś mawiano – pederastii i sodomii. Stosowny esej na ten temat napisał przed laty Wojciech Tomczyk, nie będę więc teraz wdawał się w szczegóły stosunku Janka Kosa do Szarika ani rozbierał na czynniki pierwsze wzajemnych relacji pancerniaków przebywających ze sobą w mocno ograniczonej przestrzeni czołgu T-34, wyróżniającego się, nomen omen, długą lufą.

Zanim skończył się w Polsce komunizm, przywędrował do nas AIDS i niebawem także nad Wisłą zaroiło się od filmów ukazujących, najczęściej w melodramatycznej formie, cierpienia homoerotycznych kochanków. Bodaj największą karierę spośród nich zrobiła amerykańska „Filadelfia". I w ten sposób oczyszczone zostało przedpole do prawdziwego wysypu podobnych książek, filmów, seriali i programów telewizyjnych. W zacofanej, jako się rzekło, Polsce za pierwszy w pełni gejowski film uznano „Płynące wieżowce" z 2013 r., skądinąd obejrzane, jak się zdaje, śladowo. Początki są jednak zawsze trudne i dziś pokazywany w telewizji film o tradycyjnej miłości kobiety i mężczyzny uznać należy za rzadkość.

Jeden z lepszych seriali kryminalnych ostatnich lat – „Rojst '97" Jana Holoubka w gwiazdorskiej obsadzie z Andrzejem Sewerynem, Piotrem Fronczewskim i świetną w roli policyjnej sierżant Magdaleną Różczką – został doprawiony zgodnie z obowiązującą recepturą, bo nie dość, że owej policjantce kazano być z pochodzenia Cyganką, to na dodatek lesbijką. No bo musiało być po linii i na bazie, jak to w Netflixie czy Canal+. Zadziwiające jest tylko to, że tym razem krytyce i obśmianiu poddano nie katolików, ale świadków Jehowy. Zawsze to jakaś odmiana.

Nie bardzo rozumiem przeciwników anonsowanego już od jakiegoś czasu gejowskiego kanału telewizyjnego OUTtv, „dedykowanego" (uwielbiam ten robiący błyskawiczną karierę przymiotnik!) społeczności LGBTQ+, ale – proszę, jacy łaskawcy – skierowanego również do osób „otwartych na innych". Ależ niech sobie kochający i myślący inaczej oglądają, co chcą, niestety, obawiam się, że ich ekspansja w pozostałe, rzekomo niepromujące homoseksualizmu programy, nie zniknie ani nie ulegnie ograniczeniu.

Pomińmy już, że jakoś w świecie gejowskie programy telewizyjne w przyspieszonym tempie przekształcają się w klasyczne kanały porno. To w końcu sprawa widzów, co chcą oglądać. Gorzej, gdy w telewizji śniadaniowej czy w popularnym teleturnieju jakiś nawiedzony działacz wyciąga schowaną pod ubraniem tęczową flagę, znaczek czy proporczyk i robi z siebie bojownika o prawa krzywdzonej mniejszości seksualnej. Mniejszości? Wolne żarty.

Już wiele lat temu Tadeusz Konwicki podkreślał, że gdy czyta tzw. męską prozę, ma wrażenie, że autorem jest półciota lub półimpotent. Autor „Kalendarza i klepsydry" radził też kolegom po piórze, by nie skupiali uwagi wyłącznie na erotyce, która jest wprawdzie ważną, ale jedną z wielu stron naszego życia. Naturalnie – przyznawał – są istoty stale skoncentrowane na seksie – psy na przykład. Porównanie to jednak niekoniecznie przynosi zaszczyt twórcom kultury.

To, że do telewizji publicznej treści propagujące LGBT są niedopuszczane, jest słabą pociechą. Wszelkie sita są nieszczelne, a zrozumiałe zresztą gumkowanie wulgaryzmów sprawia, że np. nie zobaczymy w TVP koncertu zespołu o nazwie Łydka Grubasa. A szkoda, bo przypadł mi do gustu refren przeboju tej grupy: „Choćbym prącie wsadził w blender, nie zrozumiem, co to gender".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f469fbd7ef

Z Nicolasem Bayem, francuskim europosłem, członkiem komitetu wykonawczego partii RN Marine Le Pen, wiceprzewodniczącym grupy Tożsamość i Demokracja
rozmawia Olivier Bault

Jak UE bada praworządność

FOT. PHILIPPE STIRN/WESS/EP/EU

OLIVIER BAULT: Jak odebrał pan debatę w Parlamencie Europejskim poświęconą Polsce?

NICOLAS BAY: Jest kolejną tego rodzaju. Regularnie, prawie na każdej sesji plenarnej Parlamentu Europejskiego mają miejsce debaty na temat Węgier, Polski, a teraz także na temat Słowenii czy Bułgarii, podczas których oskarża się te kraje, ich rządy o nieprzestrzeganie zasad praworządności. Praworządność stała się pojęciem wytrychem i pretekstem do kontestowania polityki prowadzonej w tych krajach. Typ zarzutów zmienia się w zależności od okresu. Węgrom i Polsce wytykano odrzucenie obowiązkowych kwot migrantów do przyjęcia, następnie krytykowano za zmianę systemu sądownictwa. Tymczasem kraje te zreformowały wymiar sprawiedliwości raczej w celu zapewnienia jego prawdziwej niezależności, aby nie dopuścić do jego upolitycznienia, ale także by umożliwić przejście niektórych sędziów, którzy sprawowali swoje funkcje w okresie komunizmu, na zasłużoną emeryturę. Są to całkowicie uzasadnione decyzje podejmowane w ramach polityki wewnętrznej. Decyzje te zostały zresztą usankcjonowane przy urnach. Chodzi bowiem o rządy, które mają w Europie najsilniejszą legitymację demokratyczną i które w ostatnich wyborach europejskich uzyskały najlepsze wyniki w całej Unii Europejskiej.

Teraz zarzuca się tym krajom, że odrzucają postulaty środowisk LGBT. I tym razem chodzi o decyzje należące do polityki wewnętrznej, nieleżące w kompetencjach Unii Europejskiej. Bruksela nie ma prawa ingerować w tego rodzaju decyzje z zakresu polityki wewnętrznej.

Mateusz Morawiecki był obecny w Parlamencie, ponieważ doszło do kolejnego ataku na Polskę po wyroku polskiego Trybunału Konstytucyjnego, który przypomniał o nadrzędności polskiej konstytucji nad niektórymi postanowieniami traktatów. Tymczasem podobne wyroki zostały wydane przez trybunały konstytucyjne w innych krajach członkowskich, takich jak Włochy czy niedawno w Niemczech przez sąd w Karlsruhe, we Francji czy w Rumunii. Tak naprawdę to dość klasyczne rozwiązanie, które pozwala przywołać Brukselę do porządku i nie pozwolić, aby UE mieszała się w sprawy, które nie należą do jej kompetencji.

W przeciwieństwie do tego, co powiedziała Ursula von der Leyen, nie chodzi o podważanie traktatów, ale o odrzucenie daleko idącej interpretacji traktatowych zapisów dokonywanej przez TSUE.

Dokładnie o to chodzi. Sformułowania zawarte w traktatach podlegają interpretacji, a interpretacje TSUE coraz bardziej wpisują się w logikę ingerencji instytucji unijnych. Tymczasem niektóre państwa, opierając się na swoich trybunałach konstytucyjnych, sprzeciwiają się temu nadużyciu i jest to całkiem normalne. Kraje Europy Wschodniej w sposób szczególny doświadczyły rządów dyktatur w niedawnej historii i nie mają ochoty przyglądać się, jak Unia powoli przyjmuje tę coraz bardziej dyktatorską logikę. Polski premier bronił swojego stanowiska, używając bardzo mocnych argumentów, odnosząc się do wszystkich kwestii. Miał przed sobą większość grup obecnych w Parlamencie Europejskim, które ponawiały ataki w sposób często bardzo agresywny i bardzo słabo uzasadniany.

Wraz z moimi kolegami z grupy Tożsamość i Demokracja oraz z posłami z grupy Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy byłem tam, by rzeczywiście usłyszeć inny głos, głos Europy wolnych narodów, a przede wszystkim Europy opartej na suwerenności narodowej, na tożsamości narodowej i na naszych cywilizacyjnych wartościach. Ci, którzy mówią o praworządności, przywołują często wartości UE w sposób zupełnie abstrakcyjny, odwołując się do ich własnej, nieco dogmatycznej koncepcji praw człowieka, a przecież Europa to nie

eprasa.pl f469fbd7ef

tylko instytucje, parlament czy Komisja Europejska. To przede wszystkim rzeczywistość cywilizacyjna, to wspólna historia. Grecka filozofia, rzymskie prawo i chrześcijaństwo ukształtowały naszą cywilizację, która jest chyba cywilizacją najpiękniejszą i miała największy wpływ na cały świat.

Niedawno był pan w Budapeszcie z delegacją Komisji Wolności Obywatelskich, Sprawiedliwości i Spraw Wewnętrznych (Komisja LIBE) w sprawie śledztwa na temat przestrzegania zasad praworządności na Węgrzech. Czy zatem Parlament Europejski, mimo że inicjatywa jest teraz po stronie Rady Europejskiej, kontynuuje swoje prace w ramach procedury z artykułu 7?

Procedura z artykułu 7 przeciwko Węgrom i Polsce jest w Radzie zablokowana, ponieważ uznała ona, że nie ma podstaw do jej kontynuowania i że jest w stosunku do Węgier i Polski bardzo agresywna. Jej celem byłoby bowiem in fine pozbawienie obu krajów prawa głosu w Radzie, a zatem uniemożliwienie im obrony własnych interesów w Unii. Tym niemniej parlament mnoży ataki i misja, w której brałem udział w Budapeszcie, była tak naprawdę inicjatywą Komisji Wolności Parlamentu Europejskiego, która nosi niewłaściwą nazwę, ponieważ systematycznie usiłuje ograniczyć wolność Polski i Węgier. Była to bardzo pouczająca wizyta. Brało w niej udział siedmiu posłów reprezentujących różne grupy w Parlamencie Europejskim, w tym pięciu zdecydowanie przeciwnych Węgrom oraz mój kolega z hiszpańskiej partii VOX Jorge Buxadé i ja, aby nieco zrównoważyć układ sił. Pracowaliśmy przez trzy dni, przesłuchanych zostało 85 osób, w większości przeciwników Orbána i rządu, choć byli i tacy, którzy są im przychylni.

Po 30 godzinach przesłuchań nie znaleźliśmy żadnego udokumentowanego przypadku złamania zasad praworządności. Słyszeliśmy różnego rodzaju słowa krytyki, wciąż te same. Zarzuca się Orbánowi, że chroni zewnętrzną granicę Schengen, co jest dość zdumiewające. Krytykuje się go za ustawy odrzucające postulaty aktywistów LGBT, za prowadzanie polityki pronatalistycznej, za reformę węgierskiego wymiaru sprawiedliwości zgodnie z życzeniem wyborców, gdyż jest to program, na podstawie którego doszedł do władzy. Nie ma natomiast żadnego udokumentowanego przypadku naruszenia zasad praworządności, nie ma winnego, nie ma ofiary i nie ma konkretnego zdarzenia. To dość symptomatyczne i dowodzi, że postępowanie prowadzone wyłącznie przeciwko tym krajom Europy Środkowej i Wschodniej ma charakter stalinowski.

Polska i Węgry zdecydowały się stawiać opór, który będzie się odbijał coraz większym echem w innych państwach członkowskich

W 2018 r. konserwatywny poseł z Polski – Marek Jurek – został wykluczony z udziału w delegacji udającej się do Warszawy, ponieważ Komisja LIBE uznała, że nie powinien brać udziału w wizytacji w swoim własnym kraju, gdyż nie byłby w stanie dochować bezstronności. Taka zasada zastosowana została wówczas po raz pierwszy. Czy wciąż obowiązuje? W składzie delegacji nie znalazł się żaden Węgier?

Rzeczywiście, trzy lata temu większość Komisji LIBE sprzeciwiła się udziałowi Marka Jurka w delegacji, ponieważ jest Polakiem i – jak mówiono – aby zachować pewien obiektywizm, w delegacji nie powinno być posłów z kraju, którego dotyczy spór. Natomiast w misji sprzed dwóch tygodni w Budapeszcie wzięła udział węgierska posłanka Anna Donáth, zdecydowana oponentka Victora Orbána, należąca do grupy Renew związanej z Macronem w Parlamencie Europejskim. Jak zwykle zasady zmieniają się nie tyle na podstawie obiektywnych, prawnych kryteriów, ile są motywowane względami ideologicznymi i skrywanymi motywami politycznymi.

Rozmawialiście także z ludźmi przychylnymi Viktorowi Orbánowi. Czy byli wśród nich zaproszeni przedstawiciele społeczeństwa obywatelskiego czy też wyłącznie członkowie rządu? Pamiętam, że trzy lata temu w Polsce Komisja LIBE zaprosiła prawie wyłącznie organizacje pozarządowe bardzo wrogo nastawione do PiS.

Wraz z moim hiszpańskim kolegą z grupy ECR wnioskowałem o przesłuchanie pracowników organizacji pozarządowych i stowarzyszeń, które nie są wrogo nastawione do rządu. Moja prośba została częściowo uwzględniona przez Parlament Europejski prawdopodobnie po to, by zachować pozory bezstronności. Tym niemniej panel osób, z którymi przeprowadzono rozmowy, był dość mocno niezrównoważony: 70–75 proc. stanowili zdecydowani krytycy Viktora Orbána, a tylko 25–30 proc. osoby raczej przychylnie do niego nastawione lub neutralne w tej kwestii. Ten brak równowagi został w części zniwelowany jakością, powagą i wiarygodnością słów ministrów i parlamentarzystów z obozu Orbána, którzy potrafili odpowiedzieć w bardzo precyzyjny sposób na wszystkie oskarżenia. Po drugiej stronie widziałem bardzo słaby poziom, by nie powiedzieć – ubóstwo argumentów jego przeciwników. Mnożyli zarzuty polityczne zupełnie nie na temat, których nasza delegacja nie powinna wysłuchiwać.

Czy w sytuacji, gdy KE potwierdza, że zamierza użyć szantażu za pomocą funduszy europejskich w stosunku do Polski i Węgier, do czego zachęca ją Parlament Europejski, te kraje mają jakiś inny wybór niż podporządkować się Unii lub ją opuścić?

Polska i Węgry zdecydowały się stawiać opór, który będzie się odbijał coraz szerszym echem w innych państwach członkowskich. Oczywiście odczuwają siłę ohydnego finansowego szantażu praktykowanego przez Komisję Europejską, choć przecież plan odbudowy nigdy nie mógłby zostać zatwierdzony bez poparcia Węgier i Polski w Radzie. Węgry zasygnalizowały już, że ten szantaż nie zadziała, ponieważ utworzyły odpowiednie rezerwy na wypadek, gdyby musiały obejść się bez funduszów europejskich, co jest zarazem działaniem rozsądnym oraz całkowicie uzasadnioną formą prowokacji. Instytucje europejskie powinny zachowywać się w sposób bardziej ostrożny i unikać agresywnych wypowiedzi i gróźb, ponieważ Polska i Węgry dysponują prawem weta zgodnie z zasadą jednomyślności w odniesieniu do decyzji podejmowanych w Radzie Europejskiej i są w stanie zablokować wiele inicjatyw. Mogłoby to doprowadzić do całkowitej blokady funkcjonowania instytucji europejskich. Byłoby dobrze, gdyby Ursula von der Leyen i inni mówiący w podobnym duchu, jak przewodnicząca Komisji Europejskiej, zachowali wstrzemięźliwość w swoich atakach, ponieważ może to mieć bardzo poważne skutki dla Unii Europejskiej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Przełożyła na język polski Agnieszka Golańska-Bault.

eprasa.pl f469fbd7ef

Jan Bogatko

Europa, Europa

Przysłuchiwałem się wystąpieniom na forum Parlamentu Europejskiego po przemówieniu premiera Mateusza Morawieckiego. Wystąpieniom, nie debacie! Debaty nie było

FOT. FRED MARVAUX/EP/EU

Sztampowe wystąpienia posłów rządzącej na parkiecie politycznym Unii Europejskiej partii EPL (Europejska Partia Ludowa) nie zaskoczyły mnie. Były z całą pewnością przygotowane (by nie powiedzieć: napisane) przed przemówieniem premiera Mateusza Morawieckiego. Podziwiam jego odwagę, bo przecież najpóźniej od chwili wystąpienia premier Beaty Szydło na tym forum na pewno wiedział, co go czeka. Polityczny lincz był zaprogramowany – zarówno wtedy, jak i dziś. Żadna wypowiedź ze strony partii rządzącej w UE nie była spontaniczna, nie była przypadkowa, nie korespondowała w najmniejszym stopniu z przemówieniem polskiego premiera. Natomiast całkiem przypadkowo, lecz w tym wypadku niezwykle trafnie, wtorek w Parlamencie Europejskim spointował unijny polityk, Donald Tusk: „Dziś byliśmy świadkami zderzenia PiS-owskiego rządu ze ścianą. Nikt chyba do końca nie jest przekonany co do rzetelności argumentów premiera Mateusza Morawieckiego i europosłów Prawa i Sprawiedliwości". Tak, posłowie i funkcjonariusze Unii byli, są i – śmiem się założyć – będą głusi na jakiekolwiek racjonalne argumenty politycznych przeciwników. To zakłada ich polityczny regulamin. To ich ściana.

WRZÓD NA CIELE „EUROPY"

Uważam, że rząd w Polsce opiera się na naiwnym założeniu, że jest postrzegany przez liberalnych demokratów, rządzących niepodzielnie Unią Europejską, jako równy partner. Nic bardziej mylącego! Rząd polski (jak i każdy inny konserwatywny i nielewicowy) jest przez liberalnych demokratów ledwie tolerowany. To przecież dla lewicowej EPL wrzód na ciele „Europy", którego należy się jak najszybciej pozbyć wszelkimi metodami – wyciąć lub wypalić. Rząd polski (konserwatywny) czy jak premiera Morawieckiego, chrześcijańsko-socjalny, to dla eurokratów poważne wyzwanie. Eurokraci jednak tak naprawdę istnieją tylko dzięki niemu: zamiast zajmować się realnymi zagrożeniami dla państw (nie krajów! – Unia to, na razie, mimo rozmaitych wysiłków, niesuperpaństwo!), takimi jak zależność energetyczna od Rosji, wędrówka ludów, eufemistycznie zwana migracją, pandemia, globalizacja czy inflacja, za pomocą swych organów propagandowych, telewizji na jedno kopyto, radia bez informacji czy „wolnej" (czyli lewicowej) prasy, knebluje wolność słowa, jak na liberałów przystało. W Niemczech na przykład zdecydowana większość dziennikarzy tygodników i dzienników wybiera SPD, Zielonych czy zgoła Die Linke, jak dziś wolą się nazywać po liftingu NRD-owscy komuniści. Tytuły, uważane kiedyś za konserwatywne („FAZ", „Die Welt", „Bild-Zeitung"), dokonały ostrego skrętu w lewo, pogubiwszy się całkowicie co do wyznawanych wczoraj i dziś wartości. Indeks wolności mediów prowadzi w Niemczech lewicowa organizacja Reporter ohne Grenzen. To tak, jakby swego czasu taki ranking zestawiała kremlowska „Prawda".

ŚMIESZNE NIEMIECKIE APELE

Słusznie premier Morawiecki wskazał na forum Parlamentu Europejskiego (jakaż to myląca nazwa!) na polską tradycję demokratyczną. W nowych państwach europejskich, takich jak Niemcy odgrywające dziś bez wątpienia pierwszorzędną rolę w UE, demokrację kojarzono raczej z totalitarnym tworem o nazwie Niemiecka Republika Demokratyczna. Nie, nie pomyliłem się – Niemcy to państwo nowe, powstałe w 1871 r. w oparciu o totalitarną tradycję pruską. Demokracja w Niemczech przyszła wraz z wojskami amerykańskimi, które pokonały tu III Rzeszę. Niemcy (zachodnie) okazały się nader pojętnym uczniem, ale to jednak za mało, by odgrywać w Europie (a nawet na świecie!) rolę żandarma demokracji. Apele ze strony niemieckich polityków, zwłaszcza pod adresem Polski i Węgier, „o przestrzeganie zasad demokracji" są zatem śmieszne aż do bólu. Oczywiście demokracja to dla nich tylko

eprasa.pl f469fbd7ef

„demokracja liberalna", czyli żadna, jak każda opatrzona przymiotnikiem. Jej wartość etyczna i moralna równa się osławionej „demokracji socjalistycznej", którą Polaków karmili sowiecki okupant i jego kolaboranci przez dziesiątki lat. To cud, że mimo niemal całkowitej eksterminacji polskiej elity podczas drugiej wojny światowej i w latach pożogi, która dotknęła Polskę, zrozumienie demokracji nie skarlało, ba, nawet wzrosło. Obywatele państwa, których ducha kształtowała walka o wolność w latach kolonizacji (1795–1918) i z okupacyjnymi reżimami 1939–1993 (do wymarszu ostatniego sowieckiego żołnierza z Polski), wykazują się nadal jego wielkim hartem.

Wracam na salę Parlamentu Europejskiego. Przemawia Manfred Weber, szef klubu poselskiego EPL. Z jego ust usłyszałem potwierdzenie nieładnego podejrzenia, że to on, a nie Tusk, stał za zwołaniem (i zapewne także sfinansowaniem) niedawnych antyrządowych protestów w Warszawie. „Chcę podziękować wielu Polkom i Polakom, którzy wyszli na ulice i pokazali, że jest inna Polska. Setki tysięcy pokazały swoje twarze na ulicach Warszawy i nie tylko. Chcę podziękować Donaldowi Tuskowi za to, że nawoływał do tych demonstracji. To byli prawdziwi patrioci pod dumną polską flagą, ale również z barwami europejskimi. Patriota nie musi być nacjonalistą. Jest przekonanym Europejczykiem, jeśli jest patriotą" – mówił polityk bawarskiej CSU w Strasburgu. Nie nawiązując żadnym słowem do wystąpienia Mateusza Morawieckiego, eurokrata nacierał na rząd podobno zaprzyjaźnionego państwa: „Musimy sobie jedną sprawę wyjaśnić: dziś nie mówimy o Polsce. Polska jako kraj, obywatelki i obywatele tego kraju, wywalczyli sobie wolność. Jan Paweł II otworzył drzwi do wolności Europy, a sukces gospodarczy ostatnich 30 lat to coś, co naprawdę zapiera dech. Polacy są równouprawnionym, dumnym krajem w rodzinie krajów europejskich. Jesteśmy wdzięczni i zadowoleni, że w takiej Europie żyjemy. Nie chodzi o Polskę. Chodzi o polską politykę. O polski rząd".

A więc trzeba obalić ten rząd? W Unii Europejskiej, zdaniem Manfreda Webera, już nie ma państw, są tylko kraje. Ot, takie landy. Nie wiem, czy Weber pamięta dyskusję o tzw. konstytucji europejskiej. O, był taki projekt! Z tą słynną preambułą, wspominającą starożytnych Greków i Woltera, lecz pomijającą skrzętnie dwa tysiące lat chrześcijaństwa, bez którego Europy politycznej by nie było. Ja pamiętam nie tylko debatę wokół tego gniota (inaczej nie mogę nazwać owego aktu), lecz także to, że w referendach odrzucili ją… Francuzi i Holendrzy. Bubel prawa międzynarodowego nie zyskał poparcia społeczeństw nieżyczących sobie utworzenia europejskiego policyjnego superpaństwa i przepadł na szczęście bez śladu. Ale od czego są kuchenne drzwi? Od czego instytucje, takie jak TSUE? Dlaczego nie można wmawiać, że „Osteuropa" zrezygnowała z suwerenności, z jakiej nie zrezygnowała? Zachodnie, głównie niemieckie media piszą niemal zawsze o Polsce jako „kraju we wschodniej Europie". Po prostu sowieckim. To świadomie obraźliwe określenie. Jednak Rosja to już dla nich sąsiad.

POD TĘCZOWĄ FLAGĄ

W mantrze eurokratów powtarza się ostatnio nieustannie pojęcie „polexit", sugerujące, że rząd polski pragnie opuścić Unię Europejską. Jest to oczywiście nieprawda, ale powoływanie się na rzekomą wolę opuszczenia Unii przez rząd Polski należy do repertuaru polithaseł zarówno totalnej opozycji w Polsce, jak i unijnych eurokratów. To nieważne, że Warszawa nie chce opuścić Unii i naiwnie wierzy w dzień, w którym konserwatyści wieść będą prym we Wspólnocie, podkreślając suwerenność państw (nie krajów!) członkowskich wielkiego projektu. A przecież flaga Unii Europejskiej powstała z inspiracji chrześcijańskiej! Sam Arsène Heitz (jej autor) przed śmiercią wyznał, że inspiracją dla niego był wizerunek Matki Boskiej, która według jednej z interpretacji jest przedstawiona w Apokalipsie św. Jana na lazurowym tle, a jej głowę okala 12 gwiazd. Teraz mamy inne czasy. Prawdziwą flagą UE jest dzisiaj bakerowska fałszywa tęcza. Ważne jest, że Unia chce, by Polacy – w celu rzekomego „zażegnania" niebezpieczeństwa opuszczenia Wspólnoty przez rząd – obalili go czy to na ulicy, czy to w wyborach. Do tego wręcz nawoływał Manfred Weber na wtorkowej sesji Parlamentu Europejskiego po wystąpieniu premiera Mateusza Morawieckiego. Dla niego rzekome kwestionowanie nadrzędności prawa europejskiego, wyroków TSUE (niemającego legitymacji demokratycznej trybunału), niezawisłości wymiaru sprawiedliwości to wyrażenie woli wystąpienia ze wspólnoty. Czy orzeczenie polskiego Trybunału Konstytucyjnego o wyższości Konstytucji RP nad prawem UE dowodzi niezawisłości sądów w Polsce, o którą to „liberałowie wszystkich krajów łączcie się" jakoby niestrudzenie walczą, czy jej przeczy? A może niezawiśli są w Polsce jedynie sędziowie o określonej orientacji politycznej, a nawet tylko ci o konkretnych imionach i nazwiskach? Tu Weber winien jest nam odpowiedź. Na razie Weber grozi, po raz kolejny przyznając rację swemu sojusznikowi w Warszawie: „Jeśli nie dojdzie do rewizji wyroku, to będziemy bliscy polexitu". I wzywa chyba do przewrotu nad Wisłą, mówiąc, że trzeba temu polexitowi zapobiec. Nie wiem, jak formalnie mogłaby zostać przeprowadzona rewizja wyroku Trybunału Konstytucyjnego. Drogą zmiany konstytucji?

Liberalni demokraci w Parlamencie Europejskim spotkali się z poparciem szefa frakcji Die Linke (nowotwór po upadku NRD-owskiej SED). Komunista apeluje o błyskawiczne działanie: „Minął czas pięknych słów, niech pani działa – krzyczał stalinowiec do von der Leyen. To, co Morawiecki przedstawia jako reformę wymiaru sprawiedliwości, jest tylko próbą pogrzebania niezależności wymiaru sprawiedliwości i wprowadzenia politycznego wymiaru sprawiedliwości. Tym samym stawia się pod znakiem zapytania państwo prawa i demokrację. W końcu trzeba mu wierzyć – w NRD partia SED zapewniła przecież niezależny (od obywateli) wymiar sprawiedliwości. Ponieważ niebawem w Niemczech utworzony zostanie nowy rząd (SPD, Zieloni, FDP), warto posłuchać głosu posłanki niemieckich Zielonych do Parlamentu Europejskiego, Ski Keller, która jest zarazem szefową klubu poselskiego Zielonych w PE. Jak czytam we „Frankfurter Allgemeine Zeitung", przestrzegła ona Mateusza Morawieckiego, że wprowadza swój kraj na niebezpieczną drogę: „Pański rząd odwraca się od państwa prawa, niezależności wymiaru sprawiedliwości, mniejszości i niemal od wszystkiego, co nie pasuje do jego reakcyjnej ideologii". To, co robi polski rząd, stanowi atak na egzystencję UE. Ska Keller wezwała Komisję UE i Ursulę von der Leyen do szybkiej reakcji.

Jak to było? „Seit 5:45 Uhr wird jetzt zurückgeschossen" (Od 5.45 odpowiadamy ogniem).

Polska odrzuciła wyciągniętą dłoń, czytam dalej w wypowiedzi Keller na łamach „FAZ". Powinno być raczej „wyciągniętą pięść". Po utworzeniu nowego rządu w Berlinie poznamy nowe metody sąsiada i sojusznika w NATO. Nie będziemy zaskoczeni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f469fbd7ef

Z ks. prof. Robertem Skrzypczakiem
rozmawia Paweł Chmielewski

Antychryst chce nas przekonać, że istnieje tylko świat doczesny

PAWEŁ CHMIELEWSKI: Można odnieść wrażenie, że wszystko, o czym pisał Władimir Sołowjow w „Krótkiej opowieści o Antychryście”, rzeczywiście się spełniło; zupełnie tak, jakby Antychryst z jego powieści faktycznie objął nad światem władzę, nawet jeżeli nie możemy wskazać jednej konkretnej osoby, która by go reprezentowała. Kim więc byłby dziś Antychryst?

KS. PROF. ROBERT SKRZYPCZAK: Arcybiskup Fulton Sheen mówił, że Kościół i świat będą na nowo przeżywać pokusę Antychrysta. Zapowiadał, że Antychryst nie ukaże się ludziom w swej prawdziwej postaci, bo wtedy nie miałby zwolenników. Jest taka intuicja wyrażona w miniserialu pod tytułem „Królestwo” nakręconym przez Larsa von Triera. To historia szpitala, w którym ludzie zaczynają się w pewnym momencie dziwnie zachowywać. Coś wydobywa się z podziemi, zaczyna przenikać sale, ogarniać ludzi, pacjentów, personel, niepostrzeżenie ich zmieniać. Tak rozumiem wyobrażenie Włodzimierza Sołowjowa i abp. Fultona Sheena dotyczące Antychrysta.

To, powtórzę, nie jest konkretna postać, ale rozpowszechniona mentalność. Można by ją porównać do bomby drobinkowej. Taka bomba wybucha w postaci drobnego pyłu, którym zaczynamy wszyscy oddychać. Zaczyna przenikać do naszej wyobraźni, do sposobu widzenia, rozumienia świata. Arcybiskup Fulton Sheen mówił, że pokusa Antychrysta w Kościele będzie polegała na tym, że wystąpi on pod postacią antyewangelii, która będzie rozprzestrzeniać się w środowiskach katolickich. Będzie to propozycja religii bez krzyża. Antychryst będzie próbował nas przekonać, że nie potrzeba się przejmować żadnym życiem wiecznym. Skłoni nas do zajęcia się wyłącznie tym światem, matką Ziemią, naszym domem. Przekona nas, że powinniśmy zadbać o jakość żywienia, o segregację śmieci, fotowoltaikę, walczyć z globalnym ociepleniem.

To będzie religijność nowego humanizmu, humanizmu podniesionego do rangi absolutu. Uwierzymy, że nie ma ani nieba, ani piekła, a w takim razie nie ma też grzechu ani sędziego. Wtedy zło może jawić się jako dobro, a dobro jako zło. Absolutny chaos, całkowite odwrócenie wartości, zmiana paradygmatu. Słynny brazylijski myśliciel Plinio Corrêa de Oliveira nazwał proces, o którym mówimy, nieuświadomionym przeładunkiem duchowym. To znaczy, że dokonuje się w nas, bez naszej zgody i kontroli, pewna zmiana rozumienia pojęć i reguł. Tak się przecież dzieje. Parlament

FOT. MONDADORI PORTFOLIO/GETTY IMAGES

eprasa.pl f469fbd7ef

Europejski nazywa aborcję prawem człowieka. ONZ określa mianem prawa człowieka zrównanie związków homoseksualnych z małżeństwem. Organizacje, które się temu sprzeciwiają, mają zostać wpisane na czarną listę. Oczywiście obejmuje to także Kościół katolicki. Arcybiskup Fulton Sheen, który był w USA uznawany za jednego z najlepszych znawców komunizmu, pod koniec lat 40. napisał genialną profetyczną książkę pod tytułem „Komunizm i sumienie Zachodu”. Uważał, że komunizm jest tylko jedną z historycznych postaci wirusa marksizmu. Nawet gdy się on załamie jako system, wirus przetrwa. Mało tego: powróci w zmutowanej postaci, będzie niszczył w ludziach eschatologiczną wiarę w Boga. Na tym polega działanie Antychrysta.

O Antychryście mówił też niedawno Benedykt XVI, przez co trafił na czołówki nawet świeckich gazet, tak jakby to rozpoznanie szczególnie dziś przyciągało, jakby nawet media pogańskie, świeckie odczuwały w nim obecność czegoś prawdziwego.

W wywiadzie dołączonym do najnowszej biografii Benedykta XVI, napisanej przez Petera Seewalda, papież został zapytany o powody swej abdykacji. Seewald chciał wiedzieć, czy wpłynęły na to afery typu Vatileaks albo Bank Watykański. Papież Benedykt odpowiedział, że te rzeczy, oczywiście, były przykre, ale nie miały tak wielkiego znaczenia. Ojciec Święty wskazał natomiast na niebezpieczeństwo odradzającej się dyktatury Antychrysta. Powiedział nawet, że współczesne społeczeństwo jest w trakcie tworzenia nowego credo Antychrysta. Jeszcze sto lat temu, jak zauważył, nikt nie potraktowałby poważnie propozycji tzw. małżeństw homoseksualnych albo produkowania ludzkiego życia w laboratoriach. Tymczasem dzisiaj ci, którzy usiłują się temu sprzeciwić, doznają społecznego wykluczenia. Powiedział, że żeby przeciwstawiać się owej dyktaturze, potrzeba bardzo intensywnej modlitwy Kościoła powszechnego.

Jeżeli Antychryst próbuje dziś zniszczyć Kościół tak, jak widzi to Benedykt XVI czy jak wcześniej proroczo zapowiedział to Sołowjow, to częste interwencje Matki Bożej nie powinny nas chyba dziwić...

Maryja z wielką siłą staje po stronie ludzi wierzących w Chrystusa. Wzmaga swe działanie w kierunku przebudzenia Kościoła, aby podjął swoją misję. Są tacy, którzy mówią, że trzecia tajemnica fatimska mogła zawierać także pewne fragmenty dotyczące przyszłości Kościoła i tego, że Kościół w wielu miejscach dopuści się zbiorowej apostazji. Przypomnę tylko krótko, że apostazja to jeden z trzech grzechów, obok zabójstwa i cudzołóstwa, które w Kościele pierwotnym były traktowane jako największe nieszczęście chrześcijanina, bo zabijały w nim życie wieczne. To budziło łzy. Apostazji dokonywano najczęściej w obliczu prześladowań, z powodu strachu albo pod presją. Dzisiaj natomiast mamy do czynienia z powszechnym zjawiskiem cichej apostazji. Przestrzegał przed tym już św. o. Pio. Pisał o tym też św. Jan Paweł II w adhortacji „Ecclesia in Europa”. Religijność stała się dla ludzi czymś opcjonalnym: jeden lubi gonitwy koni, inny piłkę nożną, jeszcze inny muzykę rockową, a ktoś może akurat lubić religijność.

Antychryst jest w stanie zrobić wszystko, byle nas przekonać, że istnieje tylko ten świat, że nie ma innego, nie ma żadnej obietnicy ani żadnego misterium. Przekonuje nas, że w życiu najważniejsze jest być szczęśliwym tutaj, na ziemi, a w związku z tym walczmy o jak najwięcej wygody dla siebie i dla swoich najbliższych! Właściwie nie potrzeba już systemu policyjnego ani aparatu przemocy, by zmusić nas do uległości. Michel Houellebecq, autor francuskich powieści, które w lekturze są bardzo nieprzyjemne, pełne moralnej degrengolady i pustki, napisał w pewnym momencie książkę natchnioną, odmienną od poprzednich, pod tytułem „Uległość”. To powieść profetyczna. Houellebecq wyobraził sobie, że współcześni Francuzi zgodzą się przyjąć islam oraz szariat, przekształcą nawet Sorbonę w uniwersytet islamistyczny, o ile tylko nie stracą dostępu do przyjemności i nabytej wygody życia. Antychryst przychodzi w postaci miękkiego totalitaryzmu, nie tylko we Francji. [...]

Najbardziej niepokojący jest fakt, że wielu ludzi Kościoła, zamiast przestrzegać przed nadchodzącą dyktaturą i nawoływać do powrotu do Chrystusa, wpada w pułapkę świętego spokoju i martwi się tym, czy w epoce niepokojów nie straci zbyt wiele z uzyskanych przywilejów. Pozwalamy, by fale brudnej wody Antychrysta wypłukiwały z nas katolicką tożsamość. Nieraz zastanawiałem się, czy dzisiaj my, księża, potrafilibyśmy stanąć na wysokości zadania i przejść, dajmy na to, przez próbę obozu Dachau, przez próbę więzień i gułagów, jaką przechodzili nasi poprzednicy żyjący pod nazistowską i sowiecką tyranią. Byli bici, przypalani, brudni, wychłodzeni, chorzy... Czy potrafilibyśmy wytrzymać tak, jak wytrzymywał przesłuchania abp Baraniak, na którym gaszono papierosy i którego podtapiano, chcąc zmusić go do złożenia fałszywych zeznań, pogrążających prymasa Wyszyńskiego? To, czy jutro będziemy gotowi cierpieć dla prawdy, zależy od tego, jak żyjemy dziś.

Matka Boża zapowiedziała jednak w Fatimie, że Jej Niepokalane Serce zatriumfuje. Nie wiemy oczywiście, jak ani kiedy to nastąpi, ale możemy chyba – ba, powinniśmy – trzymać się tej nadziei na ostateczne zwycięstwo nad bezwładem i upadkiem, o których ksiądz mówi.

Przestrogi Matki Bożej są zawsze warunkowe. Ona proponuje rozwiązania, ale ich nie narzuca. Obiecuje, że przyjdzie nam z pomocą, jeżeli Jej zaufamy, jeżeli odwołamy się do Jej Niepokalanego Serca. Niepokalane Serce Maryi jest tajemnicą człowieka otwartego na Boga, człowieka ogarniętego łaską, który przeżywa swój kairos wiary, daje się wprowadzić w tajemnicę przychodzącego Pana.

Możemy porównać naszą sytuację z sytuacją Izraelitów pod pręgierzem niewoli egipskiej. Bóg posłał do nich Mojżesza. Mojżesz mówił: „Miejcie biodra przepasane i zapalone pochodnie, bądźcie gotowi do wyjścia. Przejdzie anioł śmierci; tam, gdzie zobaczy krew baranka, ludzie doznają ocalenia”. Tak samo i my dzisiaj musimy mieć biodra przepasane i zapalone pochodnie. Musimy na nowo odkryć siłę wiary. Chrześcijaństwo to nie ideologia ani światopogląd filozoficzny. To Bóg, który przechodzi, to pascha. Przeprowadzenie ze śmierci do życia. Pan pociągnie za sobą tych, którzy będą czuwać. W Egipcie nie wszyscy Izraelici poszli za Mojżeszem, nie wszyscy przygotowali się do podróży. Już im nie zależało. Pozostali w Egipcie, bo przywykli do niewoli. Interesowały ich tylko wygoda oraz święty spokój. Mimo że byli Izraelitami, ich serca stały się egipskie. Jeśli i my damy się przekonać do wystarczalności tego świata i nie będziemy oczekiwać innego, to znaczy, że jesteśmy w ręku Antychrysta.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f469fbd7ef

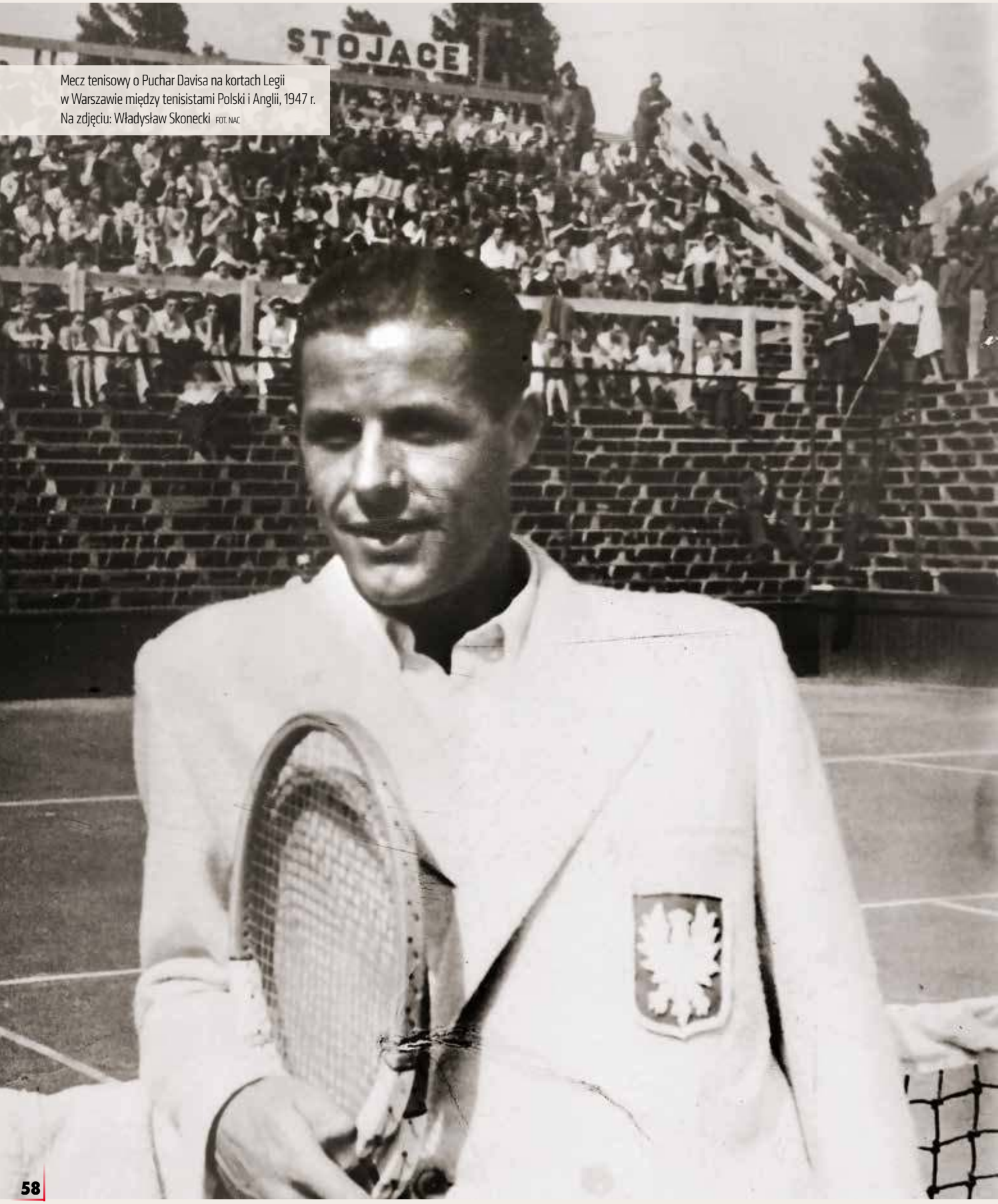

Mecz tenisowy o Puchar Davisa na kortach Legii w Warszawie między tenisistami Polski i Anglii, 1947 r. Na zdjęciu: Władysław Skonecki FOT. NAC

eprasa.pl f469fbd7ef

Z Andrzejem Fąfarą, dziennikarzem sportowym, autorem książek
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Gem, set, mecz

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Najbardziej charyzmatyczny polski tenisista wszech czasów urodził się na Syberii?

ANDRZEJ FĄFARA: Przyszedł na świat w roku 1920 w Tomsku, mieście średniej wielkości, położonym w połowie drogi między Moskwą a Władywostokiem. Nie wiadomo do końca, jak jego rodzice się tam znaleźli. Najprostszym wytłumaczeniem byłaby zsyłka, ale krążyły też pogłoski, że jego ojciec trafił do Tomska jako jeniec podczas pierwszej wojny światowej, będąc żołnierzem pruskim. Najdziwniejsze jest to, że nikt nigdy nie próbował tych znaków zapytania wyjaśnić w rozmowie z samym Skoneckim. Przecież był on w swoim czasie jednym z najwybitniejszych polskich sportowców. Podejrzewam, że wątek rosyjsko-sowiecki w życiorysie Skoneckiego był z oczywistych powodów niewygodny dla prasy komunistycznej i dlatego dziennikarze nie pytali o Tomsk i Syberię.

Kiedy, gdzie i w jakich okolicznościach zainteresował się tenisem? Kto pokrywał niemałe sportowe wydatki Władka?

Serio zaczął grać w tenisa, gdy miał 16 lat. Wcześniej, jak większość rówieśników, kopał piłkę. Próbował zresztą rozmaitych sportów, był wybitnie uzdolniony ruchowo, nadrabiał tym niedostatki wynikające z mikrej budowy ciała. Gdy klub WiMa, finansowany przez Widzewską Manufakturę, zorganizował tzw. pierwszy krok tenisowy, Władek oczywiście się zgłosił. Jak raz chwycił rakietę, to już jej nie chciał wypuścić. Tak bardzo mu się ten sport spodobał. Klub WiMa pokrywał wszelkie wydatki młodego tenisisty. Wkrótce ten obowiązek przejęła Pogoń Katowice, gdzie 18-letni Skonecki się przeniósł. W ramach transferu otrzymał elegancki garnitur i buty. Zapewne dostał też fikcyjny etat w koksowni sponsorującej katowicki klub. Przyszłość w tym momencie wyglądała nie najgorzej. Miał z czego żyć, mógł swobodnie rozwijać swój talent. Niestety, wkrótce wybuchła wojna.

Był bardziej utalentowany niż pracowity?

Na początku widoczny był przede wszystkim jego wielki talent. To zresztą normalne przy ocenie młodych sportowców. Mało kto zwraca uwagę na ich pracowitość, patrzy się raczej, czy junior ma smykałkę do sportu. Skonecki miał. Zazdrościł mu tego legendarny dziennikarz Bohdan Tomaszewski, który był rok młodszy od Skoneckiego i podobnie jak on marzył o wielkich sukcesach w tenisie. Grali przeciw sobie kilka razy i pan Bohdan stwierdził w pewnym momencie z bezradną szczerością: „To on, a nie ja, będzie mistrzem Wimbledonu". Pytanie o pracowitość staje się zasadne później, gdy trzeba doskonalić swoje naturalne umiejętności. Skonecki na pewno nie był tytanem pracy, ale też nie można powiedzieć, że zaniedbywał treningi. To prawda, zdarzało mu się późno chodzić spać. Miał przez całe życie nadmierną skłonność do płci pięknej oraz do hazardu. Udawało mu się jednak utrzymywać odpowiedni balans między życiowymi uciechami a obowiązkami.

Jak przetrwał okupację?

To też był drażliwy wątek w jego życiorysie, nie do końca opisany. Gdy w 1950 r. otrzymał tytuł zasłużonego mistrza sportu, udzielił jedynego dłuższego wywiadu, który ukazał się w polskiej prasie. Konkretnie w „Przeglądzie Sportowym". Opowiedział o swoich losach wojennych, o tym, jak został zatrzymany w łapance, o ucieczce z obozu i ponownym aresztowaniu, a także o śmierci najbliższych – rodziców i rodzeństwa. Niewiele było w tej jego relacji szczegółów. Więcej zdradził po wielu latach jego syn Jan, który unikał dziennikarzy jak ognia, bo czymś mu się narazili, ale raz się złamał i wspomniał między innymi o tym, że jego ojciec w obozie pracy przewoził ciężarówką zwłoki. Pewnego razu przejeżdżał koło kortów, zatrzymał się i zauważył, że gracze zrobili sobie przerwę. Wziął do ręki rakietę i zaczął podbijać piłkę. Filmowa scena.

Wczesna „władza ludowa" w Polsce białego sportu, mówiąc eufemistycznie, nie hołubiła...

Tenis w okresie dominacji ludu pracującego miast i wsi rzeczywiście miał etykietkę sportu elitarnego, uprawianego przez ludzi bogatych. Z drugiej strony najlepsi polscy tenisiści tamtego okresu, Jadwiga Jędrzejowska i sam Skonecki, pochodzili z rodzin robotniczych. Niechęć władzy ludowej do tenisa to po trosze mit. Wszak prezesem Polskiego Związku Tenisowego pod koniec lat 40. został ówczesny wiceminister obrony narodowej, gen. Piotr Jaroszewicz, który zaczynał robić wielką karierę w partii i rządzie. Ta decyzja personalna przeczy zdecydowanie marginalizacji tenisa. W prasie teksty tenisowe zajmowały bardzo dużo miejsca. Może mniej niż piłka nożna, ale tyle samo co lekkoatletyka, boks czy kolarstwo. Tak było do momentu ucieczki Skoneckiego. Jego zwycięstwa nad Węgrem Jozsefem Asbothem czy nad Szwedem Svenem Davidsonem były bardzo szeroko opisywane. Gdzie więc ta niechęć?

W pierwszych latach powojennych był sportowym bożyszczem i opływał w dostatki. Czemu więc zadecydował się „wybrać wolność?

Z jednej strony powodziło mu się znakomicie, z drugiej przeszkadzały rozmaite ograniczenia, które, jak sądził, hamują mu rozwój. Grał przeważnie w bratnich krajach, głównie w Czechosłowacji, na Węgrzech i w Rumunii. Doskonale wiedział, że centrum światowego życia tenisowego znajduje się gdzie indziej. Chciał się sprawdzić z najlepszymi, zagrać z Amerykanami i Australijczykami. Tymczasem ani razu nie wysłano go na Roland Garros. Zadebiutował w Paryżu dopiero po ucieczce. To rodziło na pewno frustrację, której oczywiście nie okazywał. Na pozór był

eprasa.pl f469fbd7ef

lojalny wobec władzy. Jak trzeba było wystosować apel w obronie pokoju, to wystosował. Jak trzeba było potępić uciekiniera z Czechosłowacji, Jaroslava Drobnego, to potępiał. Gdy jednak nadarzyła się okazja, postanowił odejść w siną dal. To musiało władzę ludową mocno zaboleć.

Pieczołowicie zrekonstruował pan jego ucieczkę...

Ten fragment życiorysu zawodnika najbardziej podziałał mi na wyobraźnię. Zamykam oczy i widzę kolejne sceny, które rozegrały się w maju 1951 r. w Zurychu. Trwa mecz o Puchar Davisa Szwajcaria–Polska. Skonecki spotyka na kortach klubu Grasshoppers osiadłego w Szwajcarii byłego tenisistę z Bydgoszczy, Zygmunta Zornego. Rozmawiają. Dużo bym dał za zapis tej rozmowy. Albo Skonecki pyta Zornego, czy pomoże mu w ucieczce, albo Zorny mówi Skoneckiemu: „Zostań. Po co ci ta cała Polska Ludowa?". W każdym razie dochodzą do porozumienia. Tenisista wykrada jakimś cudem swój paszport z pokoju kierownika ekipy, inżyniera Jerzego Olszowskiego. Do hotelu na noc nie wraca, zostawia działaczowi karteczkę z informacją, że pojawi się następnego dnia na lotnisku. Jednak się nie pojawia. Dzwoni do Olszowskiego i powiadamia go, że nie zamierza wracać do kraju. Kierownik zamawia rozmowę z Warszawą. Pyta, co ma w tej sytuacji robić. Każą mu zostać w Szwajcarii i gonić zbiega. Olszowski domyśla się, że tenisista będzie zmierzał do Francji, gdzie rozpoczyna się turniej Roland Garros. Ciąg dalszy tej sensacyjnej opowieści można znaleźć w mojej książce...

„Wybrawszy wolność", stał się w PRL sportowcem wyklętym?

Został odsądzony od czci i wiary, potępiony przez całe środowisko tenisowe. Jest takie zdjęcie, które przedstawia długą kolejkę tenisistów chcących zaprotestować przeciwko ucieczce. W prasie przez jakiś czas obrzucano go inwektywami, że renegat, że zdrajca, że sprzedawczyk, po czym nagle przestano. Zniknął, rozpłynął się w powietrzu. O jego sukcesach na Zachodzie nikt w Polsce nie mógł się dowiedzieć. Chyba że słuchał Radia Wolna Europa. Największe osiągnięcia gracza w tamtym czasie to dwukrotne zwycięstwo w prestiżowym turnieju w Monte Carlo oraz wygrana z najlepszym wtedy tenisistą świata, Australijczykiem Kenem Rosewallem. To był wspaniały, pięciosetowy mecz, rozegrany przy pełnych trybunach w Lugano.

Do PRL wrócił z tarczą czy na tarczy?

Trudno powiedzieć. Jeśli to prawda, że miał duże długi i że działacz, który przyjechał po niego do Francji, przywiózł walizkę pieniędzy, to należałoby uznać, że wrócił na tarczy. Ale to była plotka, której nikt nigdy nie potwierdził. Oficjalnym i być może prawdziwym powodem powrotu była tęsknota za rodziną i krajem. W Polsce był początek politycznej odwilży. Wkrótce władzę miał przejąć wypuszczony z aresztu Władysław Gomułka. Partia znacznie poluzowała więzy obywatelom. Skonecki jednak się zawiódł, jeśli liczył na bramę triumfalną. Tydzień po powrocie wystąpił w meczu o Puchar Davisa przeciw Austrii. Chociaż zdobył dwa punkty, to mecze z jego udziałem nie zostały w ogóle opisane w „Przeglądzie Sportowym". Gazeta podała tylko suche wyniki obu zwycięskich pojedynków Skoneckiego. Jednocześnie w prasie ukazały się rzekome listy od czytelników, którzy stanowczo domagali się pokajania ze strony uciekiniera. Na zebraniu członków Legii tenisista przeprosił za swój niecny postępek w 1951 r. i dopiero wtedy ponownie przyjęto go do klubu. Zadziwiające było to, że żadna gazeta nie zrobiła z nim wywiadu po powrocie. A przecież zjeździł kawał świata, grał z najlepszymi. Nie ulega wątpliwości, że istniał odgórny zakaz fetowania powrotu Skoneckiego. Władza wciąż nie mogła mu wybaczyć ucieczki.

Konikiem Skoneckiego był hazard czy też życie towarzyskie?

Hazard był bez wątpienia bardzo mocno wpisany w jego życie. Uwielbiał wszelakie gry, potrzebował tego rodzaju emocji. Gdy mieszkał w Polsce, grywał w karty i na wyścigach konnych, choć na Służewcu bywał rzadko. Obstawiał gonitwy u nielegalnych bukmacherów, z którymi spotykał się w warszawskiej kawiarni Parana. Za granicą dochodziły kasyna. Krążyły słuchy o jego wielkich wygranych. Mówiło się na przykład, że w 1974 r. odwiedził polskich piłkarzy uczestniczących w mistrzostwach świata, spotkał się z Kazimierzem Górskim, po czym postawił, że Grzegorz Lato zostanie królem strzelców. Jeśli to prawda, to musiał wygrać olbrzymie pieniądze. A życie towarzyskie? Na pewno nie był lwem salonowym. Był raczej typem samotnego wilka. Miał wielu znajomych w świecie artystycznym, ale trudno byłoby powiedzieć, że z kimś się przyjaźnił. Nikomu się nie zwierzał, nie skarżył. Stąd tak dużo białych plam w jego życiorysie.

Miał pomysł na życie po odłożeniu rakiety?

Grał bardzo długo, miał prawie 45 lat, gdy zdobył tytuł halowego mistrza Polski. Pomysł na życie po zakończeniu kariery nie był w jego przypadku zbyt skomplikowany. Wiedział, że musi zostać przy tenisie, bo nic innego nie potrafił robić. Mógł być trenerem w każdym polskim klubie, wszędzie przyjęto by go z pocałowaniem ręki. Ale on wolał zarabiać na Zachodzie. Polski Związek Tenisowy załatwił mu oficjalny kontrakt w Austrii. Skonecki trafił do sztabu szkoleniowego tamtejszej reprezentacji. Po jakimś czasie zmienił pracodawcę i wylądował w jednym z wiedeńskich klubów. Utrzymywał wciąż kontakty z Polską, gdzie zostawił przecież żonę i syna. Żona przysyłała mu nawet przez znajomych rozmaite przetwory w słoikach. Sytuacja się zmieniła, gdy poznał wdowę po producencie guzików, Margareth Fuhrmann. Zamieszkał z nią i wtedy stało się jasne, że do Polski raczej nie wróci. Okazała się lojalną partnerką i zaopiekowała się nim w ciężkiej chorobie nowotworowej. Zmarł w wieku 63 lat.

Gdyby nie Klio osiągnąłby więcej?

Gdy rozpoczęła się druga wojna światowa, miał lat 19, a gdy się kończyła – 25. W tym wieku po raz wtóry musiał zaczynać karierę. Jednak to nie dlatego nie osiągnął sukcesów, na jakie niewątpliwie było go stać. Grywał stanowczo za dużo, startował tydzień po tygodniu w turniejach nie najwyższej rangi i potem na Roland Garros czy w Wimbledonie był w słabszej formie. Dla niego nie istniało coś takiego jak polityka startowa. Jeśli był zdrowy, to grał. Hazard i liczne romanse na pewno nie pozwalały mu skupić się na celach sportowych. Za to miał barwne życie, takie jak chciał. Czy było warto? Sam jestem ciekaw, co by odpowiedział na to pytanie...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Andrzej Fąfara – dziennikarz sportowy, publikował m.in. w „Życiu Warszawy", „Rzeczpospolitej", „Polsce Zbrojnej", „Focusie". Autor encyklopedii „Cały ten tenis" oraz monografii „Cicho, Władek gra!".

eprasa.pl f469fbd7ef

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Człowiek wśród skorpionów

18 maja 1944 r. w szpitalu wojskowym we Włoszech skonał mjr Jan Henryk Żychoń. Dzień wcześniej oficer ten został ciężko ranny odłamkiem, gdy prowadził żołnierzy do szturmu na Monte Cassino. Według jednej z wersji, tracąc przytomność, Żychoń miał powiedzieć: „Za Polskę i dla Polski".

W krwawych zmaganiach na Monte Cassino poległo 900 polskich żołnierzy. Dlaczego Andrzej Brzeziecki swoją nową książkę poświęcił akurat Żychoniowi? Bo Żychoń był legendą polskiego wywiadu. Jednym z najbardziej skutecznych oficerów Oddziału II pracujących przed wojną „na odcinku niemieckim".

Żychoń słynął z niekonwencjonalnych metod. Porywał niemieckich szpiegów z Wolnego Miasta Gdańska, przeprowadzał brawurowe operacje. Jedną z nich była akcja „Wózek", polegająca na włamywaniu się do pociągów kursujących między Rzeszą a Prusami. Ludzie Żychonia fotografowali w nich tajne niemieckie dokumenty. Z drugiej strony słynął z zamiłowania do alkoholu i kobiet oraz trudnego charakteru. Tylko niewielką przesadą byłoby nazwanie go Jamesem Bondem II RP.

Żychoń w trakcie wojny współpracował z wywiadem francuskim, cieszył się osobistym zaufaniem Sikorskiego. Był jednym z szefów polskich tajnych służb. Dlaczego oficer posiadający takie kwalifikacje i wiedzę trafił do linii na Monte Cassino?

Tu docieramy do najciekawszej części książki. Otóż Żychoń został oskarżony przez dwóch oficerów wywiadu – Jerzego Niezbrzyckiego i Tadeusza Nowińskiego – o to, że był narzędziem w rękach Abwehry. Sugerowali oni, że Żychoń współpracował z Niemcami.

Oburzony Żychoń wytoczył im proces, Niezbrzycki i Nowiński nie byli w stanie przedstawić dowodów. Zostali skazani za oszczerstwo, ale na śmiesznie niskie kary. Żychoń poczuł się dotknięty i podał się do dymisji. Chciał skakać do kraju, ale skierowano go pod Cassino. Według niektórych badaczy w trakcie bitwy szukał śmierci… Tymczasem jego oskarżyciel Tadeusz Nowiński po wojnie przeszedł na stronę komunistów i poszedł na służbę PRL.

Andrzej Brzeziecki napisał pasjonującą książkę o jednej z najciekawszych – a jednocześnie najbardziej tragicznych – figur polskiego wywiadu. ©℗

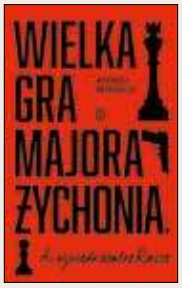

★★★★★★

ANDRZEJ BRZEZIECKI „WIELKA GRA MAJORA ŻYCHONIA" WYDAWNICTWO LITERACKIE

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Debiut Mazowsza

Znakomity kompozytor i dyrygent, Tadeusz Sygietyński, zawsze przejawiał upodobanie do folkloru. Gdy nastały czasy PRL, dostrzegł szansę dla siebie, komuniści popierali bowiem sztukę ludową. Tym bardziej że w Polsce nie było dotychczas profesjonalnych zespołów propagujących rodzimy folklor.

Zapatrzeni w sowieckie wzorce dygnitarze nie mogli nie dostrzegać święcących triumfy za wschodnią granicą zespołu imienia Piatnickiego czy Chóru Aleksandrowa. Zapadła decyzja o stworzeniu w Polsce podobnej grupy, a właściwym człowiekiem okazał się Sygietyński.

Zespół zdobył sławę, a zdobycie biletów na jego koncerty graniczyło z cudem

Mazowsze miało być autentycznym zespołem ludowym i Sygietyński wraz ze swoją żoną, Mirą Zimińską (dawną gwiazdą kabaretu i kina II RP), zadbali o szczegóły. Jednym z najważniejszych elementów scenicznego wizerunku miały stać się kostiumy wykonawców, dzięki czemu skupowano po wsiach dawne ubiory, „przełamując nieufność wiejskich babin, by zechciały wydobyć z różnych skrzyń, kufrów, schowków i poddaszy różne kiecki, które nosiły ich mamy, babcie i prababcie". Stosowano przy tym sprawdzone metody, dawano ogłoszenia w kościołach, licząc, że resztę zrobi szeptana propaganda. I faktycznie, niebawem plotkowano na mazowieckich wsiach, że za stare ubrania można uzyskać całkiem niezłe pieniądze. A to znacznie ułatwiało pracę wysłannikom Mazowsza.

Pierwszy raz zespół zaprezentował się publiczności 6 listopada 1950 r. w Teatrze Polskim w Warszawie. Występ zespołu był jednym z punktów programu uroczystej akademii na cześć rocznicy rewolucji październikowej, a imprezę zaszczycili swoją obecnością najważniejsi dygnitarze partyjni. Bierut był zachwycony, a w prasie pojawiły się entuzjastyczne recenzje. Zgodnie z obyczajami epoki nie zachowywano umiaru w pochwałach, „Trybuna Ludu" porównywała występ zespołu do „mazurków Chopina i ballad Mickiewicza". Zespół szybko zdobył sławę, a zdobycie biletów na jego koncerty graniczyło z cudem. Doświadczyła tego osobiście Maria Dąbrowska i zdesperowana napisała do Sygietyńskich:

Pomimo największych w tym kierunku wysiłków nie zdołałam kupić biletu na żaden z 3 występów »Mazowsza«. Bardzo chciałabym to widzieć i błagam, zechciejcie mi przysłać jakąś kartkę, za którą wpuściliby mnie, abym chociaż gdzieś w kącie, na stojąco, mogła to obejrzeć. Za prawo wejścia chętnie zapłacę – to mi nie robi różnicy. Podpisano: Maria Dąbrowska (na wypadek, jeśliście zapomnieli, kto to – autorka »Nocy i dni«)". ©℗

eprasa.pl f469fbd7ef

Hipersoniczny koszmar

Piotr Włoczyk

Chińczycy wyprzedzili Amerykanów w badaniach nad bronią hipersoniczną. Co to oznacza dla Waszyngtonu?

W październiku 1957 r. miliony Amerykanów z przerażeniem śledziły doniesienia prasowe na temat wielkiego triumfu Sowietów – wystrzelenia w kosmos „Sputnika", który stał się tym samym pierwszym sztucznym satelitą Ziemi. Panikę podsycał m.in. ówczesny senator Lyndon B. Johnson, który przestrzegał, że Związek Sowiecki będzie mógł zrzucać z kosmosu „bomby na nasze głowy, zupełnie tak jak dzieci zrzucają z kładek nad autostradami kamienie na samochody". Do tej atmosfery sprzed ponad 60 lat nawiązał w zeszłym tygodniu gen. Mark Milley, przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, odnosząc się w wywiadzie z „Bloomberg News" do ustaleń prestiżowego „Financial Times".

„Nie wiem, czy mamy obecnie do czynienia z dokładnie tak samo dużym szokiem, jakim było wystrzelenie »Sputnika«, ale uważam, że jest to wydarzenie bardzo podobnej rangi. Skupiamy na nim całą naszą uwagę" – powiedział bez ogródek najważniejszy amerykański żołnierz.

Doniesienia, które komentował gen. Milley, faktycznie brzmią mocno niepokojąco. „Chiny dokonały w sierpniu testu pocisku hipersonicznego zdolnego przenosić ładunki nuklearne, który okrążył glob, zanim uderzył w swój cel. Zademonstrowano w ten sposób zaawansowane zdolności kosmiczne, które zaskoczyły amerykański wywiad" – ujawnił w połowie października „Financial Times". Mowa o hipersonicznym pojeździe szybującym, który wynoszony jest na pokładzie rakiety „Długi Marsz".

ORBITALNE MANEWRY

Raport „FT" wygląda tym samym na potwierdzenie enigmatycznych słów Franka Kendalla, amerykańskiego sekretarza sił powietrznych, który we wrześniu ostrzegł Amerykanów, że Chińczycy dokonali „olbrzymiego przełomu", dzięki któremu mogą zyskać „możliwość uderzenia z kosmosu w dowolne miejsce globu". Z kolei miesiąc wcześniej, w sierpniu, gen. Glen D. VanHerck z US Air Force, nadzorujący obronę przeciwlotniczą Ameryki Północnej, powiedział, że Chińczycy opracowują broń, która „będzie oznaczała poważne wyzwania dla mojego potencjału NORAD [North American Aerospace Defense

eprasa.pl f469fbd7ef

Pojazdy wojskowe z pociskami hipersonicznymi na paradzie wojskowej w Pekinie
FOT. ANNA RATKOGLO/SPUTNIK/EAST NEWS

Command – Dowództwo Obrony Północnoamerykańskiej Przestrzeni Powietrznej i Kosmicznej – przyp. P.W.], wykrywającego zagrożenia i oceniającego ryzyko ataku".

Ministerstwo obrony ChRL natychmiast wydało oświadczenie dementujące rewelacje „FT", podkreślając, że był to jedynie zupełnie „rutynowy test statku kosmicznego". Szczegóły, które podał brytyjski dziennik, opierając się na rozmowach z pięcioma anonimowymi, wysoko postawionymi amerykańskimi źródłami, sprawiają jednak, że opowieść o „rutynowym teście" nie brzmi zbyt przekonująco.

„Pocisk minął się ze swoim celem o kilkadziesiąt mil, jak twierdzą trzy osoby, które są zaznajomione z ustaleniami wywiadu [amerykańskiego] – czytamy w »FT«. – Dwie osoby stwierdziły jednak, że test pokazał, iż Chiny poczyniły zapierający dech w piersiach postęp w dziedzinie broni hipersonicznej i że kraj ten jest w tym kontekście dużo bardziej zaawansowany, niż podejrzewały to amerykańskie władze. Test każe zadać pytanie, dlaczego USA tak często nie doceniają modernizującej się chińskiej armii. »Nie mamy pojęcia, jak tego dokonali« – powiedziała czwarta osoba".

Był to kolejny w ostatnim czasie niepokojący raport na temat Chin. Latem światowe agencje prasowe obiegły doniesienia o budowie przez Chińczyków ponad 200 silosów na rakiety międzykontynentalne, co może świadczyć o tym, że Chińczycy zamierzają rozbudować swój arsenał atomowy. Wprawdzie jeżeli chodzi o aktywne głowice (gotowe do użycia w każdym momencie), to Waszyngton ma w tej kwestii nad Pekinem ponad dziesięciokrotną przewagę, ale znając potencjał chińskiego przemysłu zbrojeniowego, może się to szybko zmienić na niekorzyść Amerykanów.

Prędkość hipersoniczna zaczyna się od MACH 5, czyli od 6150 km/h (ponad 1,5 km na sekundę). Największe potęgi wojskowe rozwijają swoje programy hipersoniczne, ponieważ ten typ broni ma w niektórych aspektach dużą przewagę nad pociskami balistycznymi. Te drugie, choć osiągają prędkość o wiele większą od broni hipersonicznej, to mając wysoką trajektorię lotu, dysponują bardzo ograniczonymi możliwościami manewrowania. Pociski hipersoniczne poruszają się na niższym pułapie i są w stanie wykonywać dynamiczne manewry, które stanowią dużo większe wyzwanie dla obrony przeciwrakietowej przeciwnika.

Amerykańska obrona przeciwrakietowa siłą rzeczy kieruje swój potencjał na północ, ponieważ to z tego kierunku nadchodzi największe zagrożenie dla USA. Jak tłumaczą eksperci, udoskonalenie broni hipersonicznej, szczególnie tej zdolnej przenosić ładunki jądrowe, otwiera przed Chinami możliwość zaatakowania USA od strony południowej, która do tej pory nie była tak „obstawiona" przez amerykańskie systemy obronne jak północ.

HIPERSONICZNY GAME CHANGER?

Cytowany przez „FT" republikański kongresmen Michael Gallagher, który zasiada w Komisji ds. Sił Zbrojnych, podkreśla, że chiński test powinien być dla Amerykanów „wezwaniem do działania".

„Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza ma obecnie coraz bardziej skuteczne możliwości podkopywania naszej obrony przeciwrakietowej i zagrażania kontynentowi amerykańskiemu uderzeniami zarówno konwencjonalnymi, jak i nuklearnymi. Co szczególnie powinno nas niepokoić, to fakt, że amerykańskie technologie przyczyniły się do rozwoju chińskiego programu pocisków hipersonicznych" – przestrzega Gallagher.

Jeszcze ostrzej wypowiada się w tej sprawie Angus King, niezależny senator ze stanu Maine, będący członkiem senackiej Komisji ds. Sił Zbrojnych. King nazywa pociski hipersoniczne „koszmarną bronią". „Konsekwencje budowy tej broni przez Chiny lub Rosję mogą być katastrofalne – przestrzega King. – Broń hipersoniczna to strategiczny game changer, który ma potencjał, by gruntownie wywrócić dobrze nam znaną strategiczną stabilność. USA nie mogą dłużej pozostawać w tyle w badaniach nad tym rodzajem broni. Nie możemy też nie monitorować blisko postępów, jakie czynią nasi rywale".

Jak zwracają uwagę eksperci, Chińczycy bardzo mocno wysunęli się w tym nowym wyścigu zbrojeń przed Amerykanami. Niemal równolegle do testu chińskiego hipersonicznego pocisku Amerykanie przyznali, że nie udał się test ich hipersonicznego szybowca z uwagi na awarię rakiety. Porażką zakończył się również hipersoniczny test, który Amerykanie przeprowadzili wiosną tego roku.

Sam pomysł używania przez wojsko hipersonicznych pocisków nie jest niczym nowym. W czasach zimnej wojny miliardy inwestowali w tę technologię Sowieci. W latach 60. Moskwa zaczęła rozwijać system, który Amerykanie nazwali FOBS (Fractional Orbital Bombardment System – Metoda Rażenia z Orbity Szczątkowej). Jednak w wyniku rozmów rozbrojeniowych z USA Sowieci zrezygnowali pod koniec lat 70. z dalszego rozwijania FOBS, opierając swoją doktrynę nuklearną na sprawdzonych „zwykłych" pociskach balistycznych. Jak wskazują eksperci, Chińczycy garściami czerpią dziś z doświadczeń Sowietów, opracowując własne hipersoniczne pociski, które mogą również przenosić głowice atomowe. Sam Joe Biden nie wydawał do tej pory dłuższych oświadczeń na temat tego nowego wyścigu zbrojeń, ograniczając się jedynie do krótkiego „tak" na pytanie dziennikarza, czy bardzo niepokoi go chiński program broni hipersonicznej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f469fbd7ef

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2021

STRAŻNIK PAMIĘCI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

eprasa.pl f469fbd7ef

DLA MĘŻCZYZN KAWA MUSI BYĆ DROŻSZA

W Holandii średnie zarobki mężczyzn są o ok. 14 proc. wyższe niż kobiet. Firma sprzedająca kawę w Holandii – De Koffiejongens – uznała więc, że spróbuje to nadrobić na innym polu. Proponuje, by przy zamówieniach ich „biodegradowalnych kapsułek" kawy mężczyźni płacili cenę o 14 proc. wyższą od normalnej. Te dodatkowe zyski zamierza przeznaczać na program, w ramach którego prowadzone są wśród dziewczynek działania, które mają „budować ich pewność siebie" oraz „przełamywać stereotypy".

FOT. ADOBE STOCK

PASZPORT X

Departament Stanu USA ogłosił w ubiegłym tygodniu, że Stany Zjednoczone wydały pierwszy w historii paszport zawierający dodatkowe oznaczenie płci dla „osób niebinarnych". Trzecia „płeć" oznaczona została symbolem „X". Ma to być rozwiązanie dla osób, które uważają, że nie są ani mężczyzną, ani kobietą. Od przyszłego roku w USA przy składaniu wniosku o paszport dostępna będzie możliwość wyboru trzech płci.

NAZISTOWSKI GEST CHRONIONY PRZEZ KONSTYTUCJĘ

Ciekawe słowa padły w amerykańskim senacie. Sprawa dotyczyła protestów rodziców i potencjalnego zagrażania pracownikom szkół – chodziło o tych, którzy protestują przeciw obowiązkowi noszenia maseczek przez dzieci itd. Otóż jednym z gestów protestu, jaki odnotowano, był nazistowski salut wykonany przez jednego wściekłego rodzica. Prokurator generalny USA Merrick Garland w tej kwestii przyznał w amerykańskim senacie, że… nazistowskie pozdrowienie jest chronione na mocy pierwszej poprawki do Konstytucji Stanów Zjednoczonych, zakazującej ograniczania wolności religii, prasy, słowa, petycji i zgromadzeń.

EKSMISJA ZA GŁOŚNE DZIECI

Sąd w Niemczech uznał, że właściciel budynku wielorodzinnego mógł eksmitować z niego rodzinę. Powód? Dzieci zachowywały się zbyt głośno. Sędziowie sądu krajowego w Berlinie – bo tam po odwołaniu lokatorów trafiła sprawa – zaznaczyli, że owszem, dzieciom nie można całkiem zakazać hałasować, ale ta rodzina miała przesadzać i zakłócać nawet ciszę nocną.

ZABILI ZA DUŻO I WYRZUCAJĄ MIĘSO

Gdy tę historię usłyszy Sylwia Spurek, to Norwegowie będą mieć kłopoty. Otóż norwescy wielorybnicy w tym roku złowili aż 575 płetwali karłowatych. No i jest problem. Bo nie udało im się całego mięsa sprzedać. Zatem – jak przyznali prasie – zmuszeni byli czasem wyrzucać je do morza. Część mięsa w pośpiechu przekazują też do przerabiania na karmę dla psów. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Samobójstwo Europy

Ceny gazu, węgla, ropy etc. rosną na Starym Kontynencie w tak gigantycznym tempie, że energia staje się towarem luksusowym, a kolejne kraje w UE zastanawiają się, ile należy dopłacać najbiedniejszym, aby i oni mogli choć trochę ogrzać się w swoich domach.

Te drastyczne podwyżki, pogarszające jakość życia milionów Europejczyków, nie są dziełem przypadku. To efekt klimatycznego dyktatu Brukseli, narzucanego przez takich polityków jak wiceszef KE Frans Timmermans. To forsowana przez eurokratów zbyt radykalna i zbyt kosztowna polityka klimatyczna sprawia, że ceny za megawatogodzinę biją rekord za rekordem, a mieszkańcy Europy pierwszy raz od wielu dekad zaczęli z niepokojem patrzeć na prognozy, bojąc się, czy będzie ich stać na ogrzewanie, gdy nadejdą siarczyste mrozy.

Główną przyczyną podwyżek na rynku energii jest źle prowadzona przez Brukselę energetyczna transformacja, w tym fatalnie skonstruowany system sprzedaży uprawnień do emisji dwutlenku węgla (ETS), który umożliwia spekulowanie nimi. Zielony Ład jest zaś forsowany w UE podobnie jak inne pomysły socjalistów w historii, czyli bez zwracania uwagi na koszty czy sens rewolucji. Tak jak Moskwa sztucznie wywołała wielki głód na Ukrainie, tak eksperyment Brukseli może wywołać czasy długiego zimna, upadku europejskiego przemysłu i europejskiej klasy średniej.

Podczas gdy eurokraci śrubują cele OZE na rok 2030, w Chinach – głównym trucicielu świata – o polityce klimatycznej wciąż głównie się mówi. I choć Pekin deklaruje, że w 2060 r. rozwinie gospodarkę zeroemisyjną, to oficjalnie przyznaje, że do 2030 r. emisja dwutlenku węgla będzie rosła, bo tego wymagają gospodarka, dobro kraju i ludzi. Niestety, socjaliści w UE są od komunistów chińskich o wiele głupsi. ©℗

eprasa.pl f469fbd7ef

Z prof. Mariuszem Orionem Jędryskiem, byłym głównym geologiem kraju i posłem na Sejm
rozmawia Ryszard Gromadzki

Surowcowy rozbiór Polski

RYSZARD GROMADZKI: Czy wyrzeczenie się przez Polskę węgla kamiennego i brunatnego jest posunięciem roztropnym z punktu widzenia bezpieczeństwa surowcowego państwa?

PROF. MARIUSZ ORION JĘDRYSEK: Jest absolutnie kluczową kwestią budowa bezpieczeństwa surowcowego o jak najmniejszym ryzyku podaży, czyli opartego o zasoby własne. Mamy ponad 80 proc. udokumentowanych zasobów węgla kamiennego krajów Unii Europejskiej. Rezygnacja z tego bogactwa, bez substytucji innymi nośnikami, o niższym ryzyku podaży, byłaby samobójczo nieracjonalna.

Sprawa druga: węgiel brunatny. Węgla brunatnego nie mamy już tak dużo procentowo, ale jest go podobna ilość jak węgla kamiennego, co stanowi może około jednej piątej zasobów węgla brunatnego Unii Europejskiej. Z chyba największym złożem Legnica w tej chwili – ono będzie bardzo trudne do uruchomienia bez nowych bezodkrywkowych technologii. To m.in. miało być rozwijane przez Polską Agencję Geologiczną. Od lat zwracam uwagę, że to Niemcy są największym emitentem CO_2 w Unii Europejskiej, właśnie z węgla brunatnego, a Polska nie jest nawet numerem dwa w Europie.

Czyli jesteśmy ofiarą czarnej propagandy?

Wręcz hipokryzji. Można odnieść wrażenie, że Niemcy realizują długofalowo rozwój technologii i to pod te technologie ukierunkowują regulacje unijne. Potem pod te technologie rozwijają gałęzie gospodarki, zmieniając pozostałych członków Unii w klientów bez wyboru, skrajnie uzależnionych, bo tradycyjne technologie i surowce tych członków Unii, choć są ekonomicznie bardziej konkurencyjne, są wyeliminowane. Nie dotyczy to tylko surowców.

Model, o którym pan mówi, ma wręcz wkalkulowaną zagładę polskiej gospodarki.

Patrząc nawet tylko na źródła surowców energetycznych, trudno temu zaprzeczyć. Jasne jest, że Niemcom chodzi o to, by kwitła gospodarka niemiecka czy czasami inna, ale niezbędna interesom Niemiec. Trudno się temu dziwić – nam też zależy, aby kwitła gospodarka Polski. Kwestia doboru i przestrzegania reguł. W polityce regułą bywa to, że nie ma reguł, a jeśli są, to ustawiane przez silniejszych do przestrzegania przez słabszych, którzy są dyscyplinowani przez tych silniejszych. Nikt tego nie ukrywa, że to Niemcy uznają się za liderów Unii Europejskiej i nimi są. Jeśli jednak liderem można stać się w oparciu o przemoc gospodarczą czy polityczną, to od tego nie jest daleko do sytuacji, gdy lider może być przez kogoś odbierany jako swego rodzaju „okupant". W ocenach zalecałbym wstrzemięźliwość, ale nastroje np. w Grecji chyba są dość jednoznaczne.

Grecja jest zaś w pierwszej piątce pod względem zasobów węgla brunatnego w Europie. Tymczasem Niemcy zużywają blisko połowę węgla brunatnego UE. Są dwa sposoby uzyskania przewagi konkurencyjnej: albo być lepszym, albo spowodować, żeby inni byli gorsi, a najlepiej stosować jedno i drugie jednocześnie. Skoro ktoś nie jest w stanie być w niektórych elementach lepszym, to coraz brutalniej powoduje, by inni byli gorsi. Hybrydowe konflikty na wschodzie są tego przykładem. Narzędzia mogą być różne, ale jeśli ma się kluczowy wpływ na funkcjonowanie UE, to wszystko jest gemütlich, co oznacza po niem. miłe, przyjemne – choć tylko powierzchownie – w języku polskim nie ma chyba odpowiednika. Sterowanie zbiorem reguł i jednocześnie kluczowy wpływ na interpretowanie czy ocenę przestrzegania tych reguł prowadzą do arogancji i w istocie takiej „gemütlichowej" przemocy. Czymże jak nie tym była zmiana tzw. roku bazowego dla limitowania wielkości emisji CO_2. Kiedy się okazało, że w latach 90. Polska stała się liderem obniżania emisji CO_2 w UE, to stwierdzono, że to się już nie liczy i zaczynamy od nowa.

Proszę się przyjrzeć archiwalnym wystąpieniom prof. Jana Szyszko np. w TV Trwam. Brutalne zmiany reguł gry,

eprasa.pl f469fbd7ef

FOT. ADOBE STOCK

hipokryzja, różne prędkości, czytaj: różne wysokości poprzeczek... To się stało cechą UE. Ostatnie wystąpienie premiera Morawieckiego w PE świetnie to udokumentowało. Ale co tam fakty, ważniejsze są interpretacje. Polska ma trudne zadanie przywrócenia UE na jej pierwotne tory, co ma szczególne znaczenie surowcowe, skoro UE rozpoczęła się jako Wspólnota Węgla i Stali, a bez węgla nie ma stali. I tu znowu problem, bo w Polsce są w zasadzie jedyne w UE złoża niezbędnego do produkcji stali węgla koksującego – i to dużo, bardzo dużo.

A co z Polską energetyką, która przecież jest oparta na węglu kamiennym i węglu brunatnym? Jesteśmy w stanie w przewidywalnej perspektywie skutecznie zastąpić te paliwa?

W warunkach polskich nie ma alternatywy w rozumieniu pełnej podmiany i nie ma sensu – stąd katastrofalne regulacje i opłaty za emisję CO_2. Pozostaje albo budowa elektrowni jądrowych, albo OZE, w tym ciepło Ziemi. Podkreślam od 20 lat, że Polsce potrzebne są co najmniej trzy reaktory jądrowe. Może niezbyt duże, z tym że cele energetyczne nie są tutaj pierwszoplanowe. Musimy w oparciu o te reaktory wykształcić profesjonalną kadrę, rozwijać własne know-how – jeżeli bowiem będziemy importować od początku do końca całe technologie, łącznie z wybudowaniem i kadrą, to jest to dywersyfikacja źródeł energii, ale nie suwerenność energetyczna. Nadal będzie gdzieś poza Polską potencjalny guzik, którym będzie można włączyć i wyłączyć system.

W przyszłym roku po uruchomieniu gazociągu Baltic Pipe mamy szansę uniezależnić się od dostaw gazu z Rosji. Czy to jest rzeczywista alternatywa?

To jest krytycznie istotny element dywersyfikacji źródeł, ale ja bym go nie przeceniał, ponieważ on nie może być jedynym elementem dywersyfikacji, byłaby to raczej suplementacja. Uważam, że Polska powinna po prostu mieć albo rabat, albo wrócić do pierwotnego roku bazowego. Jeśli liderzy Unii Europejskiej bardzo chcą coraz bardziej restrykcyjnych zapisów o ograniczeniu emisji CO_2, to należy zrównać limity emisji per capita, uwzględnić specyfikę surowcową krajów i zapóźnienia technologiczne tych państw, które były pod okupacją ZSRS, a wcześniej Niemiec. Współpraca gazowa w istocie tych samych krajów w kontekście polityki klimatycznej jest to skrajnie niepokojąca rzecz. Polski rabat np. na 40 lat z bardzo stopniowym zmniejszaniem emisji dałby czas na własne technologie, nowe źródła z minimalnym ryzykiem podaży. Naszym obowiązkiem jest sięgać po to, na czym po prostu stoimy, mieszkamy, o co walczyli nasi dziadowie, oddawali życie. Nie wyobrażam sobie, żeby teraz mówić nad grobami milionów naszych obrońców, którzy walczyli także o nasze zasoby, naszą niezależność, samodzielność, suwerenność: „A wiecie, to żeśmy zaniechali – tak po prostu, a wy... frajerzy". Tak się nie robi, ja się na to nie zgadzam i myślę, że większość Polaków, mając podobną świadomość, zdecydowanie się na to nie zgadza. To jest nieracjonalne, nierozsądne i antypatriotyczne.

Mówi pan o rabacie związanym z transformacją, który powinna wynegocjować Polska z Unią Europejską. Jednak na razie, zamiast negocjować ten rabat, przyjmujemy radykalną agendę energetyczną Unii dość bezkrytycznie. Tymczasem maksymalizacja celu klimatycznego przez Unię prawdopodobnie jeszcze bardziej uderzy w polską gospodarkę, w polskie interesy gospodarcze. Wyobraźmy sobie sytuację, że pod pretekstem np. ochrony praworządności do tego chóru unijnego dołączy Norwegia i będzie chciała posłużyć się tym argumentem czy zostanie zmuszona do jego wykorzystania. Czy realizacja takiego scenariusza nie zagrozi płynności dostaw gazu przez Baltic Pipe?

Można rzeczywiście wyobrazić sobie taką sytuację – nie takie niemożliwe scenariusze miały miejsce – ba, były starannie zaplanowane i realizowane. A narzędzia mogą być różne. Cały czas są jakieś spory pomiędzy Norwegią a Rosją, dotyczące chociażby Spitsbergenu, ale nie tylko. Jest spór o szelf arktyczny z potężnymi zasobami węglowodorów i metali (pisałem już o tym w 2008 r.) pomiędzy Norwegią, Rosją, Danią, USA i Kanadą. Wyobraźmy sobie, że Rosja idzie na jakieś drobne ustępstwa wobec Norwegii, warunkując to uderzeniem w interesy Polski na Morzu Północnym. To co wybierze Norwegia? A co wybrała Dania, kiedy nagle okazało się, że trzeba chronić siedlisko jakiejś myszki i gazociąg nie może przejść przez terytorium lądowe Danii, które wcześniej ustalono. Nie wierzę w żadne długotrwałe sojusze, tylko we wspólne interesy – słowa dotrzymuje się silniejszym.

Z takimi historycznymi wyjątkami oczywiście mamy do czynienia, np. w przypadku Węgrów, ten sojusz nie musi być podpisany, on trwa tysiąc lat prawie i jest ugruntowany. Sojusze są okazjonalne: dzisiaj jest tak, jutro jest tak; dlatego rezygnację z tego, żeby Polska miała co najmniej 60–80 proc. energii z węgla kamiennego i brunatnego przez najbliższe 40 lat, uważam za bardzo niebezpieczną. Nie znam uwarunkowań, w jakich obecnie rząd funkcjonuje, jak przebiegają negocjacje z Unią, ale w żadnym wypadku nie możemy zejść poniżej 60 proc. udziału węgla kamiennego i brunatnego w produkcji energii elektrycznej w Polsce.

Ten pułap jest granicą naszego strategicznego bezpieczeństwa?

To jest według mnie granica jakiejkolwiek szansy przeżycia Polaków, polskiego przemysłu i polskiej gospodarki. Tu nie ma o czym mówić.

Czyli gra toczy się o kwestie fundamentalne?

Absolutnie fundamentalne, takie jak obrona granic, podstawowa opieka medyczna, żywność, język itd. Ludzie nie są w stanie funkcjonować dzisiaj bez energii elektrycznej, paliw. Absolutnie w pierwszej trójce musi się to mieścić – inaczej godzimy się dobrowolnie na rozbiór. A jak uczy nasza historia, politycy Rzeczypospolitej mają rozbiory na sumieniu. Jeśli tacy byli, to mogą teraz też być – pewnie łatwo ich wymienić, ale też nazwiska wielu byłyby dużym zaskoczeniem.

Z jakiego powodu pana zdaniem konflikt z Czechami wokół kopalni Turów jest w tak ostrej fazie?

Na przełomie lat 2015 i 2016 przyjechał do Warszawy ten sam co obecnie

eprasa.pl f469fbd7ef

minister środowiska Republiki Czech, Richard Brabenec, ze swoimi zastępcami. Rozmawiał z nimi minister Szyszko. Pamiętajmy – koncesja turoszowska wygasała za kilka lat, ale węgla jeszcze sporo zostało, także w granicach tej koncesji. Były wspólne notatki, ustalenia, wnioski. Uznaliśmy wspólnie, że w zasadzie przedłużenie tej koncesji na dobrych kilka lat w tych samych granicach nie będzie stanowiło żadnego problemu, a resztę będzie już trzeba negocjować, na to był czas. Stąd potem ten projekt ustawy zmiany prawa geologicznego i górniczego z 2018 r., który prowadziłem w Sejmie RP, że można przedłużyć koncesję o sześć lat (w istocie siedem) pod warunkiem, że obszar i teren górniczy nie ulegną zmianie. W tym czasie prowadziliśmy rozmowy, co zakończyło się pozytywnym dla nas protokołem uzgodnień wspólnej komisji. Stąd przedłużenie koncesji o sześć lat przez mojego następcę (4 czerwca 2019 r. opuściłem rząd i za „chwilę" przestałem być posłem) nie budziło niepokojów. Nie wiem, co się działo po 4 czerwca 2019 r., ale musiało być coś istotnego, skoro pojawiły się konflikt i ostra zmiana stanowiska Republiki Czeskiej – warunki późniejszego przedłużenia koncesji do 2044 r. i przyczyny konfliktu nie są mi znane. Dla mnie czeskie roszczenia są zaskakujące, bardzo ostre i niezwykle dotkliwe dla nas.

Skoro grunt negocjacyjny był dobry, to dlaczego Czesi teraz grają tak twardo w sprawie Turowa?

Nie wiem, co się stało, że nagle udzielono koncesji do 2044 r. O to trzeba pytać ministra klimatu i środowiska, bo ponoć to on podpisał to drugie przedłużenie, a nie Główny Geolog Kraju. Byłem dwukrotnie GGK i zastępcą ministra Jana Szyszko (2005–2007 i 2015–2019), ale nigdy minister nie podpisał żadnej koncesji za mnie, chyba że byłby spór i musiałby podpisać w drugiej instancji – takiej sytuacji jednak sobie nie przypominam.

Był pan pierwszym pełnomocnikiem rządu ds. polityki surowcowej. Jakie skarby zalegają w polskiej ziemi?

W Polityce Surowcowej Państwa na pierwszym miejscu stawiałem metale, choć nie ma to faktycznego znaczenia praktycznego, tym bardziej że PSP nie weszła w życie, bo po przesłaniu do Rady Ministrów odszedłem z rządu – a do dziś nie ma nowej. Metale mają w wielu przypadkach bardzo ograniczoną podaż na świecie, a co za tym idzie – podaż jest obciążona czasem bardzo dużym ryzykiem. Tymczasem celem mojej PSP było obniżenie ryzyka podaży surowców na cele gospodarcze i społeczne. Surowce energetyczne możemy pozyskiwać z różnych miejsc, możemy w różny sposób pozyskiwać energię i łatwo jest nośniki energii transportować, np. ropę, gaz czy węgiel kamienny. Gorzej z metalami, nie z transportem, ale z podażą – a szczególnie z tymi metalami, które warunkują rozwój wysokich technologii, ich dostępność jest czasem warunkowana pozarynkowo – wzrost zapotrzebowania zwielokrotnia się z upływem lat, a od recyklingu ilości towaru na rynku nie przybywa. Dziś kryzys covidowy mocno pokazuje deficyt metali – stąd m.in. większość producentów limituje lub w ogóle zatrzymuje produkcję np. samochodów, komputerów itd. Nabierają znaczenia metale inwestycyjne, takie jak złoto czy platyna, które mają jednak także duże znaczenie w rozwoju technologii.

Chaos na rynku OZE to kwestia czasu, dla nich ważne są neodym, dysproz, holm… Lit niezbędny do baterii elektrycznych, elektromobilności itd. jest oczywiście powszechny, ale jego wadą jest to, że jest geologicznie bardzo rozproszony – więc poszukiwania są ważne. Odsyłam do PSP z 2019 r. Polska Agencja Geologiczna (PAG), której powołanie przygotowałem dwukrotnie, wśród swoich pięciu priorytetów miała rozwój technologii, np. pozyskiwania litu. A niedawno odkryto złoża litu w Czechach, a w konkurencyjnych krajach ruszają z niekonwencjonalnymi technologiami pozyskiwania litu – takimi, jakie były planowane dla PAG.

Ale niestety agencji nie ma…

Nie wiem, czy rząd się na to zdecyduje – ja tego nie zrobię – ale ktoś powinien. Sprawa jej powołania dotarła już do sejmowej Komisji Ochrony Środowiska jako projekt rządowy. To nie było łatwe, ale przeszło, a potem po moim odejściu 4 czerwca 2019 r. sprawa upadła.

Wracając do tych rzadkich pierwiastków i metali. Ile ich kryje się w polskiej ziemi?

Mamy słabe rozpoznanie, bo nie ma kto tego zrobić. Polska nie ma gospodarza geologiczno-surowcowego. Pod względem prowadzenia poszukiwań geologicznych leżymy na łopatkach, nie ma kto zrobić właściwego ruchu na długofalową skalę.

To znaczy, że o polskim gazie z łupków też powinniśmy zapomnieć?

On jest, tak jak był od kilkudziesięciu czy nawet kilkuset milionów lat. W 2005 r. zacząłem szukać inwestorów, bo wcześniejsze moje badania naukowe dowodziły, że w tych osadach, gdzie mamy dużo minerałów ilastych i materii organicznej, musi pozostać sporo powstałego tam gazu. Udało się takiego inwestora pozyskać. Udzieliłem pierwszych koncesji, żeby rozpoznać w różnych obszarach zasoby tego gazu. Niestety, rząd Prawa i Sprawiedliwości szybko zakończył swoją działalność (2007 r.), a miało być zmienione prawo, miała zostać powołana wtedy polska służba geologiczna (agencja rządowa). To się wtedy nie udało, technologie polskie nie były rozwijane.

Można powiedzieć, że właściwie bez tej agencji geologicznej i służących jej zmian prawa te zasoby nie będą eksploatowane. Oczywiście ten gaz tam jest, według mnie w ilości ok. 1,9 bln m sześc., tylko trzeba go wydobyć. Jakieś nakłady będą się z tym wiązały, a także czas. Nie znam ani jednego odwiertu w Polsce, który byłby wykonany poprawnie – a odwiertów „łupkowych" wykonano ponad 70.

Jeśli nie będą rozwijane adekwatne technologie koordynowane przez agencję rządową, we współpracy z Amerykanami, to nie ma żadnej wątpliwości, że tego gazu nie będzie. Już w 2011 czy 2012 r. pisałem bodaj w „Naszym Dzienniku", że już nikomu na świecie nie zależy na tym, żeby w Polsce wydobywany był gaz z łupków A wręcz przeciwnie, raczej w interesie wielkich koncernów jest to, żeby tego gazu w Polsce nie było. No i nie jest wydobywany, nie są rozwijane technologie. Powołanie agencji musiało być pierwszym krokiem do rozwoju polskich technologii – i te łupkowe były jednymi z tych pięciu wspomnianych. Nikt tego nie może realnie zrobić, np. dużo pieniędzy wydano z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. Jakie są tego efekty? Bito pianę, robiono rzeczy, które były zbędne albo takie, które były wcześniej zrobione, a technologii nie rozwijano.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Mariusz Orion Jędrysek
– były główny geolog kraju i poseł na Sejm.

eprasa.pl f469fbd7ef

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Sen o unii energetycznej

Czas na unię energetyczną" – obwieściła na pierwszej stronie „Rzeczpospolita", kolejny raz wracając do pomysłu, którego jednym z promotorów był i – jak się okazuje – nadal jest Jerzy Buzek. Wracając do pomysłu, który Buzek – były premier Polski i szef Parlamentu Europejskiego – 11 lat temu zgłosił wraz z byłym szefem Komisji Europejskiej Jakiem Delorsem – budowy w ramach UE Europejskiej Wspólnoty Energetycznej. Inicjatywa zakładała wspólne zakupy gazu, wspólny rynek energii i „wspólne badania w celu walki ze zmianą klimatu". Według Buzka właśnie teraz „nastał czas na dokończenie budowy" tej Wspólnoty.

Cóż, być może – choć myślę, że wątpię, a właściwie nie – nie wątpię, po prostu jestem pewien, że nie. Nie czas teraz w Europie i nie czas w dającej się przewidzieć przyszłości na jakąkolwiek tak rozumianą Wspólnotę. Utwierdzają mnie w tym oczywistym przekonaniu właśnie ostatnie lata – niech będzie, że owe ostatnie 11 lat. Jedenaście lat, które nijak nie kojarzą mi się z sukcesami w umacnianiu unijnej solidarności energetycznej, czyli budową owej mitycznej Wspólnoty Energetycznej. Chyba że uznać za nie istotnie szybkie postępy we współpracy Niemiec (i kilku innych państw UE) z Rosją (która jako żywo w UE jednak nie jest) w sprawie dokończenia budowy najpierw gazociągu Nord Stream 1, a teraz Nord Stream 2 albo też tak szybkie zawiązanie sobie przez „Unię Europejską" na własnej szyi (nie tylko bez zgody Polski, Litwy, Łotwy i Estonii, lecz po prostu wbrew ich stanowczym sprzeciwom) kremlowskiej gazowej pętli, że dziś aż przykro patrzeć, jak Putin steruje cenami gazu już w całej Europie. A może za sukces unijnej solidarności energetycznej uznać solidarne dorzynanie polskiego systemu energetycznego i wpędzanie Polaków w energetyczną biedę przez bogate kraje UE?

A zatem uważam, że tak jak nie ma sensu tracić czasu i pieniędzy na zajmowanie się fantasmagoriami o wspólnej unijnej armii, tak szkoda ich też na konstruowanie równie pozbawionych sensu konceptów Wspólnoty Energetycznej. Jak bowiem miałaby ona funkcjonować? Kto – kto konkretnie (człowiek jakiej narodowości) – miałby decydować o tym, od kogo i po ile owa Wspólnota ów gaz i prąd kupuje, w jaki sposób „składa się" na ich zakup, a potem któremu z państw owej Wspólnoty ile i po ile oraz w jakim czasie te dobra sprzedaje? Miałoby o tym decydować głosowanie? „Unijne głosowanie", w którym i tak decyduje głos Berlina?

Przy tak sprzecznych – nie tylko w sprawach energetycznych interesach państw UE, jak – żeby daleko nie szukać – interesy Polski i Niemiec to jest po prostu nie do pogodzenia, a więc i nie do pomyślenia, chyba że ktoś w Polsce życzy sobie zaprowadzenia w Polsce niemiecko-rosyjskich porządków – zapewne nie tylko w sprawie polityki zakupu gazu, lecz także pewnie prądu. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Zagranie czysto taktyczne

Coroczny kontredans rozgrywa się nie tylko pomiędzy Marszem Niepodległości a wywodzącymi się z Platformy Obywatelskiej władzami Warszawy (tradycję zapoczątkowała jeszcze Hanna Gronkiewicz-Waltz), lecz także między organizatorami tej imprezy a PiS. Przez całe lata PiS spoglądał na marsz z dystansem i z lekko tylko skrywaną niechęcią. Przyczyn tego było kilka.

Po pierwsze – MN był polityczną konkurencją. Partii Jarosława Kaczyńskiego nigdy nie udało się zorganizować imprezy porównywalnej, gdy idzie o skalę, a do tego regularnie powtarzanej co roku. Pan prezes zaś, jak wiadomo, szczególnie nie znosi konkurencji po prawej stronie.

Być może rządzący, w związku ze swoim konfliktem z Brukselą, będą próbowali jakoś nęcić organizatorów i uczestników MN

Po drugie – Jarosław Kaczyński nie cierpi tradycji endeckiej, a MN do niej przede wszystkim nawiązywał, choć i portrety Marszałka w nim niesiono. Ta antyendecka fobia przesłania mu czasem nawet bieżący polityczny interes.

Po trzecie – z powodu faktycznie pojawiających się na marszu nieciekawych haseł albo reprezentacji wątpliwych środowisk (na marginesie, ale jednak) można by zbyt łatwo atakować PiS, gdyby zdecydowało się pod tą imprezą podpisywać.

Dlatego politycy PiS z pierwszego szeregu w MN tradycyjnie udziału nie brali, a nawet demonstracyjnie objawiali się w tym samym czasie w innych miastach, składając tam wieńce i wygłaszając mowy. W ubiegłym roku kierowana przez PiS policja zachowywała się nagannie wobec części spokojnych uczestników MN, a nawet obserwujących go dziennikarzy, a minister Mariusz Kamiński natychmiast potem się chwalił, że podlegająca mu służba działała wzorowo – choć jako żywo podstaw do takiego stwierdzenia nie było.

Można jednak odnieść wrażenie, że od tamtego czasu coś się zmieniło. Być może rządzący, szczególnie w związku ze swoim konfliktem z Brukselą, będą próbowali w jakiś sposób nęcić i czarować organizatorów oraz uczestników MN. Niektórzy wysnuwają taki wniosek z ostatnich wydarzeń na placu Zamkowym w Warszawie z udziałem Stowarzyszenia Marsz Niepodległości i jego szefa Roberta Bąkiewicza. Nawet gdyby tak to wyglądało, to będzie to zagranie czysto taktyczne, a nie nowo odkryta miłość. ©℗

eprasa.pl f469fbd7ef

Aaa... auta

Jacek Przybylski

Przez pandemię oraz globalne problemy z dostępem do półprzewodników na całym świecie brakuje nowych samochodów. Ceny szybko rosną, a na niektóre modele trzeba czekać ponad pół roku. Eksperci ostrzegają, że na przełomie roku nie będzie tradycyjnej przeceny, a od stycznia auta spalinowe klasy premium mogą zdrożeć nawet o jedną czwartą

Parkingi pełne nowych, niesprzedanych samochodów, które dilerzy byli gotowi odsprzedać często z dużymi rabatami, ale w salonach mało było kupujących. Podczas pandemii takie zdjęcia co i rusz trafiały na pierwsze strony światowych mediów. Od kilkunastu tygodni można zaobserwować odwrotną tendencję. Nowych samochodów brakuje, ponieważ w 2020 r. wprowadzane przez rządy kolejne lockdowny sprawiły, że wiele międzynarodowych koncernów musiało na wiele tygodni wstrzymać produkcję.

Gdy na początku obecnego roku wydawało się już, że odradzający się skokowo popyt pozwoli sektorowi motoryzacyjnemu szybko wyjechać na prostą, rynek otrzymał dwa potężne ciosy. Pierwszy przyszedł z USA. Najsurowszy od 30 lat atak zimy w Teksasie pozbawił prądu i ogrzewania nie tylko miliony osób, lecz także zamroził produkcję półprzewodników w kilku różnych fabrykach. Teksańska zima tylko w pierwszym kwartale obecnego roku miała spowodować kłopoty z dostawami, które opóźniły produkcję jednego miliona aut. Pod koniec kwartału doszło do kolejnego fatalnego w skutkach wydarzenia. W marcu wybuchł pożar w japońskiej fabryce Renesas Electronics. Wznowienie produkcji przez firmę, która kontrolowała mniej więcej jedną trzecią globalnego rynku mikroukładów jednostek sterujących stosowanych w nowych samochodach, zajęło kilka tygodni, co jeszcze bardziej wydłużyło listę producentów aut oczekujących na nowe dostawy. Szacuje się, że tylko przez opóźnienia w produkcji półprzewodników w drugim kwartale 2021 r. do salonów nie trafiło na czas 1,5 mln samochodów.

BRAK PÓŁPRZEWODNIKÓW ZATRZYMAŁ MOTORYZACJĘ

Jednocześnie na dostawy tych samych półprzewodników czekały inne sektory, takie jak telekomunikacja czy producenci komputerów, konsol do gier, robotów odkurzających oraz różnego rodzaju sprzętów z półki elektroniki konsumenckiej etc. Tymczasem w jednym nowym aucie znajduje się przeważnie co najmniej kilkadziesiąt półprzewodników, a niekiedy ich liczba sięga nawet kilku tysięcy (zwłaszcza w przypadku samochodów elektrycznych). Są one bowiem wykorzystywane zarówno w systemach wspomagania hamowania, jak i w poduszkach powietrznych czy w asystentach ułatwiających parkowanie.

Do tych problemów doszły przerwane łańcuchy dostaw, ograniczona podaż stali, plastiku oraz litu, a także skokowy wzrost popytu. Różnego rodzaju braki wymusiły na producentach niekiedy nawet kilkumiesięczne przestoje. Ta sytuacja sprawiła zaś, że wiele koncernów motoryzacyjnych zamiast cieszyć się

eprasa.pl f469fbd7ef

brak

FOT. ADOBE STOCK

z postpandemicznego odbicia popytu, musiało podjąć decyzję o wstrzymaniu lub ograniczeniu produkcji niektórych modeli lub wprowadzać plany racjonalizacji posiadanych materiałów do produkcji. Problemy dotyczą więc niemal wszystkich marek od Cadillaca do Toyoty, która – jak podał w październiku portal ConsumerReports – tylko w październiku wyprodukuje o 60–80 tys. pojazdów mniej. Nie jest to tylko problem USA czy UE. W Wielkiej Brytanii wolumen produkcji nowych samochodów spadł w lipcu do poziomu najniższego od 1956 r. Według niektórych analityków rynku samochodowego w sumie na całym świecie do salonów z powodu braku komponentów trafi w tym roku nawet o 8 mln samochodów mniej niż zakładano.

Globalne kłopoty widoczne są również w Polsce. – Sytuacja zmienia się bardzo dynamicznie. Problem dotyczy wszystkich naszych modeli, ale w zależności od wersji kłopoty są mniejsze lub większe – przyznaje w rozmowie z „Do Rzeczy" Dorota Pajączkowska, communication manager Nissan w regionie Europy Środkowo-Wschodniej.

– Ze względu na ograniczoną dostępność komponentów opartych na półprzewodnikach BMW Group wprowadziła w pojedynczych przypadkach korekty programu produkcyjnego. Wyzwania związane z zaopatrzeniem w półprzewodniki w pierwszym półroczu zostały w dużej mierze zrekompensowane. Sytuacja dotycząca zaopatrzenia w komponenty oparte na półprzewodnikach pozostanie jednak nadal napięta. Również w drugiej połowie roku spodziewamy się ograniczeń w produkcji. Zamówiliśmy w terminie wymaganą liczbę komponentów na rok 2021 i oczekujemy od naszych dostawców dostaw zgodnie z zamówieniami oraz umowami. Uważnie monitorujemy ten temat i jesteśmy w stałym kontakcie z naszymi dostawcami – informuje „Do Rzeczy" Katarzyna Gospodarek, zarządzająca działaniami public relations dla BMW Group Polska.

Aby móc produkować najdroższe i najbardziej naszpikowane elektroniką modele, koncerny ograniczają montaż najtańszych aut lub zamiast montować nowoczesne elektroniczne wyświetlacze, w najtańszych modelach wracają wręcz do wersji analogowych. Chociaż firmy dwoją się i troją, by uniknąć kolejnego kryzysu, i tak na niektóre modele takich marek jak Audi, Volvo, Mercedes, Porsche, Seat czy Toyota trzeba czekać od kilku do kilkunastu miesięcy. Problemów z realizacją bieżących zamówień nie ma za to np. Mitsubishi. – Nas te problemy w zasadzie nie dotyczą. Mamy pełną dostępność w ofercie i dostawy na takim poziomie, jaki oczekujemy – mówi „Do Rzeczy" Kinga Ossowska, menedżer ds. public relations Mitsubishi.

Kłopoty z dostępnością wielu marek przekładają się na niższą sprzedaż. W USA sprzedaż spadła o 26 proc. Według danych Europejskiego Stowarzyszenia Producentów Pojazdów (ACEA) na Starym Kontynencie we wrześniu tego roku liczba zarejestrowanych nowych samochodów spadła do poziomu najniższego od roku 1995, czyli do zaledwie 718,6 tys. egzemplarzy – to aż o 23,1 proc. mniej niż rok wcześniej. Sprzedaż Grupy VW spadła rok do roku o 29,7 proc., koncernu Stellantis o 30,4 proc., Grupy BMW o 24,4 proc., Renault o 24,2 proc., a Daimlera aż o 48,1 proc. Ten trend wyraźnie widać również nad Wisłą. Według statystyk PZPM we wrześniu 2021 r. zarejestrowano w naszym kraju 33 tys. nowych samochodów osobowych, czyli o 13 proc. mniej niż rok wcześniej.

NIŻSZA SPRZEDAŻ, WYŻSZE CENY

Zaburzony łańcuch dostaw i rosnąca inflacja sprawiają jednak, że ceny nowych samochodów szybko rosną. Z opublikowanych 26 października wyników badania „MotoBarometr 2021.

eprasa.pl f469fbd7ef

Nastroje w automotive w Polsce i Europie" – przeprowadzonego przez firmę Exact Systems na próbie 776 przedstawicieli firm z sektora motoryzacyjnego z 11 państw – wynika, że w ośmiu na 11 krajów najczęściej wskazywanym długotrwałym skutkiem pandemii COVID-19 jest właśnie wzrost cen samochodów oraz droższe części do nich. W Polsce takiej odpowiedzi udzieliło aż 54 proc. pytanych. Kupując nowe auto, nie ma więc co liczyć na udane negocjacje w sprawie dużej obniżki ceny. Dilerzy doskonale wiedzą, że brakuje samochodów, a popyt na nie jest wysoki, nie mają więc powodu, aby dawać jakieś rabaty. To sprawia, że rynek jest pełen absurdów rodem z PRL. Niektóre samochody jeżdżące w salonach jako auta testowe – tradycyjnie sprzedawane z istotnym rabatem – tym razem znajdują klientów po cenie wyższej niż auta prosto z fabryki tylko dlatego, że są do odebrania natychmiast.

Niektóre marki kilkakrotnie od początku roku wprowadzały już podwyżki cen katalogowych. Według IBRM Samar, w 2020 r. średnie ważone ceny nowych samochodów osobowych wzrosły o 10 proc., podczas gdy rok czy dwa lata wcześniej wzrosty nie przekraczały 6 proc.

– Obecny kryzys tylko przyspiesza tempo wzrostu cen samochodów, z którym mamy do czynienia już od ubiegłego roku. Na podwyżki cen aut wpływ mają także regulacje Unii Europejskiej w zakresie emisji spalin, którym muszą sprostać producenci. Do tego należy dodać rosnące oczekiwania samych klientów w zakresie bezpieczeństwa pojazdu czy zaawansowania technologicznego. A to tylko wierzchołek góry lodowej, bo przecież są jeszcze czynniki rynkowe i makroekonomiczne, jak choćby inflacja czy problem z dostępnością surowców – mówi Jacek Opala, członek zarządu Exact Systems. Koszty produkcji zwiększają unijne regulacje, które dotyczą nie tylko wyśrubowanych norm emisji spalin – pakiet „Fit for 55" wprowadza wymóg obniżenia średnich emisji z nowych samochodów o 55 proc. od 2030 r. – lecz także konieczności seryjnego stosowania coraz bardziej zaawansowanych rozwiązań technologicznych z zakresu bezpieczeństwa czy łączności ze światem. Od połowy przyszłego roku wszystkie nowe samochody wprowadzane na rynek Unii Europejskiej będą musiały być wyposażone w zaawansowane systemy bezpieczeństwa, m.in. w systemy utrzymania auta w pasie ruchu, monitorujący senność kierowcy i wykrywający obiekty przy cofaniu. Koszty produkcji zwiększają też szybko rosnące ceny energii. To wszystko sprawia, że Jacek Opala z Exact Systems spodziewa się, że samochody marek popularnych w 2022 r. zdrożeją o ok. 15 proc. rok do roku, w segmencie premium przyszłoroczne podwyżki mogą zaś sięgnąć nawet 25 proc. – Tanieć będą auta elektryczne, co w konsekwencji pomoże w przesiadaniu się między innymi polskich kierowców na zeroemisyjne pojazdy – prognozuje Jacek Opala.

Problemem jest nie tylko zakup auta w salonie. Brak nowych samochodów winduje również ceny aut używanych

DROŻEJĄ AUTA UŻYWANE

Niecodzienna sytuacja na rynku motoryzacyjnym wpływa również na przedsiębiorców prowadzących wypożyczalnie aut oraz tzw. car sharing, czyli wypożyczanie aut na krótki czas, często z godziny na godzinę. – Branża motoryzacyjna jest na tę chwilę w fazie całkowitego zaburzenia dotychczasowych schematów dotyczących zakupu samochodów dla branży rent a car i car sharing. Do tej pory hasło „Potrzebujemy nowej floty" w rozmowach z dostawcami kończyło się tylko określeniem wolumenu oraz wysokości odpowiedniego rabatu.

Obecnie, przez ogólnoświatowe problemy z dostępnością surowców, dostępność nowych samochodów jest znikoma, a terminy dostaw (realizacji zamówień) bliżej nieokreślone. Utrudnia to rozwój i planowanie biznesu na kolejny rok, a kilkukrotny wzrost cen samochodów w trakcie ostatniego roku, jak również ograniczanie rabatów na zakup aut powodują wzrost kosztów prowadzenia działalności rent a car i car sharing – tłumaczy „Do Rzeczy" Piotr Więcek, dyrektor floty w firmie Panek RAC. – Informacje płynące od producentów odnośnie do dostępności samochodów w przyszłym roku niestety nie są optymistyczne. Mając niepewną przyszłość dotyczącą dostępności nowych samochodów na kolejny rok, takie firmy jak nasza stoją przed wyborem – sprzedawać teraz obecną flotę za wysoką cenę ze względu na wysokie notowania wartości rezydualnej (RV) czy przetrzymać samochody na kolejny rok, narażając się na wyższe koszty eksploatacyjne ze względu na kolejny okres użytkowania w usłudze. Podsumowując, sytuacja nie jest łatwa dla nas, jak również dla innych firm z branży. Wymaga to wdrażania innowacyjnych i elastycznych rozwiązań dotyczących zaopatrzenia firmy w główne narzędzia, jakimi są samochody. Zdecydowanie czeka nas sporo wyzwań w powyższym temacie – dodaje.

Problemem jest nie tylko zakup auta w salonie. Brak nowych samochodów automatycznie winduje również ceny i zmniejsza dostępność aut używanych. Według danych Cox Automotive na całym świecie ceny aut z drugiej ręki wzrosły średnio o 19 proc. W samej Danii w ciągu jednego roku używane samochody podrożały o ok. 30 proc. Według raportu Auto Trader w Wielkiej Brytanii już teraz samochody z drugiej ręki, mające mniej niż rok, są sprzedawane drożej, niż kosztowały w momencie zakupu.

Jednocześnie w wielu krajach widać wzrost popytu na zabezpieczenia antykradzieżowe. Pieniądze z polisy ubezpieczeniowej niewiele bowiem dadzą w sytuacji, gdy nowego pojazdu nie da kupić się od ręki, a auto potrzebne jest np. do prowadzenia biznesu.

POWRÓT DO NORMALNOŚCI

Kiedy sytuacja się poprawi? Patrick Gelsinger, prezes Intela, jednego z największych producentów półprzewodników na świecie, w nocie do inwestorów prognozował, że potrzebny będzie rok, a być może nawet dwa lata, aby podaż mogła dorównać popytowi. Wspomniany raport MotoBarometr 2021 pokazuje, że prognozy dotyczące powrotu do sytuacji sprzed kryzysu są niejednoznaczne. W opinii 32 proc. pytanych wolumeny produkcyjne zostaną odbudowane za dwa–trzy lata, w opinii 31 proc. – do końca przyszłego roku, a 22 proc. twierdzi, że stanie się to jeszcze na koniec tego roku. Polacy są w tej kwestii większymi optymistami niż mieszkańcy Europy Zachodniej. Sytuacja jest jednak bardzo dynamiczna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f469fbd7ef

TEST „DO RZECZY": SŁUCHAWKI JABRA ELITE 3

Niewielka waga, nowoczesne wzornictwo, niezła bateria i świetny stosunek ceny do jakości – to największe zalety budżetowego modelu słuchawek dokanałowych znanego duńskiego producenta.

Dzięki niewielkim rozmiarom testowane słuchawki są lekkie (obie ważą razem 9,2 g), pewnie leżą w uszach i są komfortowe nawet przy dłuższym użytkowaniu. Za dopasowanie do uszu odpowiadają silikonowe wkładki, które w zestawie są dołączone w trzech rozmiarach. W pudełku znajduje się również niewielkie etui, które pełni jednocześnie funkcje ładowarki i przenośnego powerbanka. Jego jakość mogłaby być zdecydowanie lepsza, ale w modelu budżetowym można przymknąć na to oko.

A jak brzmią? W przypadku modelu budżetowego nie ma co liczyć na rewelacyjną jakość, ale trzeba przyznać, że jak na swoją półkę cenową te słuchawki brzmią więcej niż poprawnie i lepiej niż wielu tanich konkurentów. Dźwięk jest czysty i wyrazisty. Słuchawki oferują wsparcie kodeka aptX (choć brakuje kodeka AAC). Za pomocą aplikacji Sound+ można również nieco lepiej dostosować brzmienie do swoich osobistych upodobań, choć zakres regulacji charakterystyki dźwięku jest mocno ograniczony.

Dzięki wbudowanym mikrofonom Jabra Elite 3 sprawdzi się też jako model do długich rozmów telefonicznych. Za pomocą przycisku można też wywołać asystenta głosowego (Siri, Asystent Google, Alexa).

Bardzo przydatna jest też funkcja HearThrough, która pozwala bez wyjmowania słuchawek z uszu przeprowadzić krótką rozmowę ze sprzedawcą

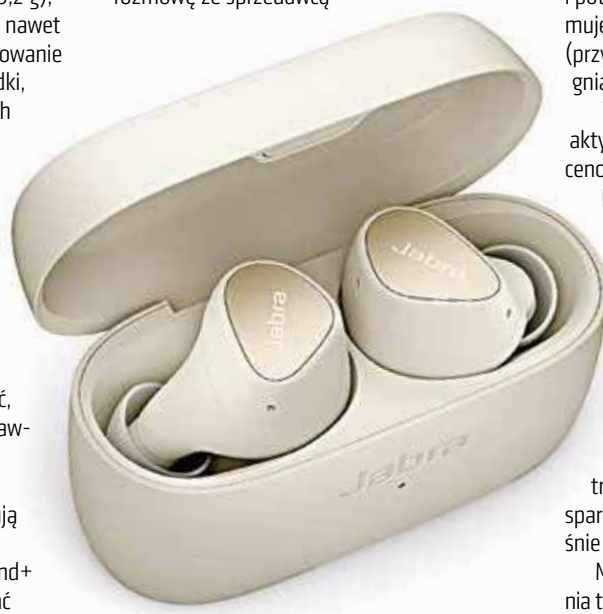

czy współpasażerem w autobusie. Funkcja ta przyda się również tym, którzy biegają lub jeżdżą rowerem po ruchliwej okolicy – w takim otoczeniu zawsze bezpieczniej jest bowiem oprócz muzyki słyszeć również to, co się dzieje dookoła. Zastosowanie Bluetooth 5.2 sprawia z kolei, że bezprzewodowe połączenie ze smartfonem jest stabilne i pewne.

Po stronie plusów można też wpisać stosunkowo wysoką odporność na kurz, deszcz i pot (IP55) oraz niezłą baterię, która wytrzymuje aż siedem godzin na jednym ładowaniu (przy użyciu etui czas bez konieczności szukania gniazdka elektrycznego wzrasta do 28 godzin).

Wady? Model pozbawiony jest systemu aktywnego tłumienia hałasu (ANC). W tej półce cenowej nie jest to jednak zaskoczenie. Model Elite 3 oferuje na szczęście dość skuteczną pasywną izolację od hałasu, choć osoby, które dużo czasu spędzają, np. podróżując pociągami lub samolotami, powinny postawić na droższy model wyposażony już w system ANC.

Drugi minus Elite 3 to brak czujnika obecności słuchawek w uszach, przez co po wyjęciu słuchawki z ucha muzyka nie jest automatycznie zatrzymywana. Po trzecie, testowane słuchawki nie mogą być sparowane z kilkoma urządzeniami jednocześnie (np. z laptopem i ze smartfonem).

Mimo tych wad Jabra Elite 3 są godne polecenia tym, którzy szukają niezbyt drogich, przyzwoicie brzmiących słuchawek z dobrą baterią. Stosunek ceny do jakości jest bowiem w przypadku tego modelu naprawdę bardzo dobry. Za testowany model trzeba zapłacić 319 zł. ©℗

Jacek Przybylski

KANAPA Z WBUDOWANYM DŹWIĘKIEM

Lovesac StealthTech Sound+ to gadżet, który pozwala na łatwe ukrycie w salonie nie tylko ładowarek do smartfonów, lecz także systemu nagłośnienia. W kanapę wbudowane są bowiem zarówno elementy do ładowania indukcyjnego, jak i ukryte głośniki Harman Kardon – łącznie z umieszczonym pod siedziskiem subwooferem – co umożliwia łatwe uzyskanie efektu dźwięku przestrzennego. Dokładne ustawienie brzmienia wydobywającego się spod, sprzed i zza sofy jest możliwe dzięki odpowiedniej aplikacji. Hasło reklamowe gadżetu brzmi „Niewidzialne jest piękne". Zakup kanapy w bardzo widoczny sposób uszczupli jednak stan konta. Podstawowy zestaw kosztuje bowiem niecałe 3 tys. dol., czyli równowartość 12 tys. zł.

SYGNET Z EKG

Firma Bodimetrics wprowadziła na rynek drugą generację pierścieni z wbudowanymi funkcjami zaawansowanego monitorowania czynności serca. Urządzenie Circul+ jest wyposażone w optyczne czujniki PPG. Dzięki temu pierścień może nie tylko sprawdzać temperaturę oraz nasycenie krwi tlenem (co jest szczególnie przydatne w czasach pandemii COVID-19), lecz także nieustannie monitorować tętno, a nawet robić podstawowe EKG. Podobnie jak inteligentne zegarki i opaski pierścień Circul+ potrafi też monitorować jakość snu. Szczegółowe analizy pracy serca można sprawdzać w aplikacji na smartfonie. Gadżet jest wyposażony w maleńką bateryjkę o pojemności 20 mAh, która ma pozwolić na 16 godzin działania inteligentnego pierścienia. Cena urządzenia wynosi 299 dol., czyli równowartość 1190 zł. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl f469fbd7ef

Łukasz Warzecha

Zdrowie jako pretekst

Akcyza na alkohol i wyroby tytoniowe zostanie podwyższona prawdopodobnie od stycznia przyszłego roku. Państwo niezmiennie stosuje uzasadnienie w postaci dobra obywateli. Pełno tu jednak obłudy

Jeszcze 19 września Ministerstwo Finansów pisało na Twitterze: „Informacje o planach drastycznej podwyżki akcyzy na alkohol to fake news. W MF nie toczą się prace w tym kierunku. #StopFakeNews".

Dzisiaj wiemy już, że akcyza nie tylko na alkohol, lecz także na wyroby tytoniowe zostanie podwyższona, prawdopodobnie od stycznia przyszłego roku, choć od poprzedniej podwyżki minęły zaledwie niespełna dwa lata (koniec 2019 r.). W Sejmie jest już projekt ustawy i w momencie powstawania tego tekstu czeka na swoje pierwsze czytanie. Dokument liczy sobie, bagatela, 450 stron, z czego zaledwie osiem to same przepisy, a reszta to uzasadnienie.

W przypadku alkoholu wzrost ma być radykalny – trudno więc nawet bronić wrześniowego tweetu MF twierdzeniem, że, owszem, podwyżka jest, ale nie „drastyczna". Otóż najpierw stawka miałaby wzrosnąć o 10 proc., a przez kolejnych pięć lat – o 5 proc. co roku. W sumie zatem mielibyśmy wzrost aż o 35 proc. Gdy idzie o tytoń, stawka akcyzy na papierosy ma wzrosnąć ze 100 do 105 całkowitej kwoty akcyzy „naliczonej od ceny równej średniej ważonej detalicznej cenie sprzedaży papierosów". Ma zostać również wprowadzona minimalna stawka na tytoń do palenia w wysokości 100 proc., identycznie liczonej całkowitej kwoty akcyzy. Tutaj stawka ma przez kolejnych pięć lat rosnąć rocznie aż o 10 proc.

ZADZIWIAJĄCA LOGIKA

Uzasadniający projekt posługują się tą samą co zawsze argumentacją. Gdy podwyższano akcyzę w 2019 r., premier Morawiecki wygłaszał pogadanki na temat szkodliwości picia alkoholu i podwyżkę opodatkowania usprawiedliwiał koniecznością utrzymania obywateli w trzeźwości. Nie innymi argumentami posługuje się Ministerstwo Finansów w uzasadnieniu projektu, skrupulatnie podliczając liczbę litrów piwa czy wódki, które za przeciętne wynagrodzenie może sobie obecnie kupić Polak, czy też liczbę papierosów. Można by pomyśleć, że Polska to kraj alkoholików, którzy pijani w sztok zalegają na każdym rogu ulicy.

W uzasadnieniu czytamy:

„Podwyższenie stawek akcyzy na napoje alkoholowe ma przede wszystkim na celu ograniczenie spożycia używek przez konsumentów. Dostępność alkoholu w Polsce jest zbyt duża, a biorąc pod uwagę czynnik inflacyjny, bez podwyższenia stawek akcyzy przystępność cenowa napojów alkoholowych cały czas by rosła. Taki sam cel przyświeca podwyżce stawek akcyzy na tytoń do palenia i papierosy, począwszy od 2023 r., czyli ma przede wszystkim ograniczyć spożycie ww. wyrobów przez konsumentów, w tym szczególnie przez osoby nieletnie.

Podwyżki stawek akcyzy na ww. wyroby mają również zniwelować skutki inflacji, jaka w najbliższych latach prowadziłaby stopniowo do relatywnego spadku cen używek w stosunku do cen innych wyrobów".

Zatrzymajmy się nad tym fragmentem, zaczynając od ostatniego akapitu. Jego logika jest zadziwiająca, bo właśnie wzrost cen, w tym generowany podwyżkami opodatkowania, jest źródłem inflacji. Inaczej mówiąc, MF zapowiada, że zamierza niwelować skutki inflacji dla cen wyrobów tytoniowych i alkoholu poprzez jej dalsze napędzanie. Istne perpetuum mobile.

Początek uzasadnienia jest typowy dla większości podatków akcyzowych. Te są nakładane na dwa rodzaje towarów lub usług. Pierwszy to towary lub usługi niezbędne, a więc te, na które popyt, a tym samym przychód państwa z tytułu akcyzy będą istniały zawsze. Przykładem jest benzyna albo prąd. Drugi rodzaj to używki, gdzie państwo niezmiennie stosuje uzasadnienie w postaci dobra obywateli. Pełno tu jednak obłudy.

BRAK DOWODÓW

Najpierw bowiem mamy fundamentalne pytanie, czy państwo w ogóle powinno stosować politykę fiskalną do wychowywania obywateli. Patrząc z liberalnego punktu widzenia, nie jest sprawą państwa, ile ktoś pije lub pali. W tym momencie odzywają się ci, którzy wskazują na wydatki państwa z powodu leczenia chorób wynikających z tych nałogów. Tyle że te wydatki z kolei wynikają z faktu, że państwo upiera się przy państwowej służbie zdrowia, zresztą pobierając na jej funkcjonowanie składki,

eprasa.pl f469fbd7ef

FOT. ADOBE STOCK

które, nawiasem mówiąc, przy okazji Polskiego Ładu mają radykalnie wzrosnąć. Można zatem zadać pytanie, dlaczego obywatele, którzy już za swoje leczenie przecież płacą – a wielu z nich korzysta ze służby zdrowia mało lub wcale, a picie czy palenie nigdy nie spowoduje u nich żadnych problemów – mają być dodatkowo obciążani akcyzą.

Wprowadzając nowe stawki podatku akcyzowego, decydenci nie prezentują również nigdy żadnych badań, pokazujących jakikolwiek jej wpływ na konsumpcję obłożonych nią dóbr, a ostatecznie – na ponoszone przez państwo koszty leczenia. Tak jest i tym razem – nie znajdziemy takiego dowodu na słuszność ruchu rządu w uzasadnieniu projektu. Można śmiało postawić tezę, że jest wręcz odwrotnie: jedynym celem jest zwiększenie wpływów do budżetu. Czy ktoś kiedykolwiek zaprezentował badania dowodzące, że z powodu wzrostu cen używek ci, którzy faktycznie konsumują je nałogowo, masowo je porzucili? Czy z powodu wzrostu cen alkoholu alkoholicy stali się abstynentami? Nie – alkoholik wyda na alkohol każde pieniądze. Jednym skutkiem rosnącego opodatkowania będzie to, że szybciej stoczy się na dno, pociągając za sobą być może najbliższych. Jeśli sobie to uświadomimy, to rządowe zabiegi wokół akcyzy pokażą się nam nie jako pełne troski o Polaków, ale przeciwnie: jako skrajnie cyniczne.

Bałamutne uzasadnienia podwyżek podatków to nie wyjątek, a standard. W identyczny sposób uzasadniano wprowadzenie opłaty cukrowej, która uderzyła w producentów dokładnie w chwili, gdy i tak zmagali się ze skutkami epidemii. Kilkanaście miesięcy temu pisałem w „Do Rzeczy" o podobnych posunięciach w różnych krajach świata, z których absolutnie żadne nie doprowadziło do trwałych skutków w sferze zdrowia.

Nie inaczej było, gdy rząd wprowadzał od początku 2018 r. opłatę emisyjną, powiększającą cenę benzyny o 10 gr na litrze – co dzisiaj, przy rekordowo wysokich cenach na stacjach benzynowych, ma ogromne znaczenie. Uzasadniano to wówczas koniecznością zasilenia nowo powstałego Funduszu Niskoemisyjnego Transportu, który miał m.in. finansować dopłaty do horrendalnie drogich samochodów na baterię. Innymi słowy – masa szaraków tankujących benzynę wspiera swoimi pieniędzmi garstkę modnisiów kupujących elektryczne autka.

Tymczasem w państwie, które postawiło na potężną redystrybucję – tak jak Polska od 2015 r. – wpływy z akcyzy są bardzo ważnym źródłem pieniędzy budżetowych. W 2020 r. – tylko od stycznia do października – wpływy z akcyzy na alkohole mocne, wino, piwo i wyroby tytoniowe wyniosły 28,2 mld zł. W następstwie planowanych teraz podwyżek w ciągu dekady do budżetu mają trafić dodatkowo blisko 104 mld zł. Można zadać retoryczne pytanie, czy rządowi naprawdę zależy na tym, żeby Polacy mniej pili i palili.

Tyle że kalkulacje urzędników bywają zawodne, bo wyliczając wpływy podatkowe, szczególnie te z akcyzy, wstawiają oni po prostu do tabelek zwiększone wartości pobieranego podatku i abstrahują całkowicie od naturalnych w takiej sytuacji zachowań rynku i konsumentów. Jak doskonale wiadomo, reakcją na zbyt mocne podniesienie opodatkowania jest zawsze ucieczka od niego na różne sposoby. Jeśli państwo ma prosty system podatkowy, a obciążenia nie są zbyt wysokie, to przed podatkami nie opłaca się uciekać. Ta skłonność rośnie jednak w miarę komplikacji systemu i wzrostu obciążeń.

SZARA STREFA

W Polsce system jest niemalże rekordowo skomplikowany na tle innych państw Europy. W rankingu Tax Competitiveness Index, sporządzanym przez Tax Foundation, a nieuwzględniającym w dodatku istotnego czynnika, którym jest zmienność systemu (przekładająca się na brak pewności przedsiębiorców i inwestorów), Polska zajęła właśnie zaszczytne przedostatnie, 36. miejsce. Gorzej wypadły jedynie Włochy. Po wprowadzeniu Polskiego Ładu mamy szansę szybko „awansować" na koniec tabeli.

Wysokość akcyzy zaś przekłada się na wzrost szarej strefy. Im państwo pazerniejsze, tym chętniej konsumenci kupują tańsze alkohole i papierosy bez akcyzy oraz VAT. Państwo uznaje to za stratę budżetu, więc wysyła do walki z tym procederem kolejne oddziały służb – w Polsce to Służba Celno-Skarbowa, Straż Graniczna czy Policja – które trzeba wyposażać w coraz kosztowniejszy sprzęt i coraz dalej idące uprawnienia. To błędne koło – znacznie lepszym posunięciem jest ograniczenie opodatkowania do takiego poziomu, w którym przestępcza działalność staje się mało opłacalna.

W drugim tomie swoich „Badań nad naturą i przyczynami bogactwa narodów" Adam Smith pisze:

[...] następującymi sposobami można sprawić, że podatek może zabierać albo nie dopuszczać do kieszeni ludności znacznie więcej, niż sam wnosi do skarbu państwa. Po pierwsze, jego pobór może wymagać wielkiej liczby urzędników, których wynagrodzenia mogą pochłonąć większą część sumy wpływów, a ich uboczne dochody staną się dla ludności jeszcze jednym dodatkowym podatkiem. Po drugie, może on wpływać hamująco na pracowitość ludu, zniechęcając go do niektórych gałęzi działalności gospodarczej [...]. Po trzecie, wskutek konfiskat i innych kar, jakim podlegają nieszczęśnicy, którzy usiłują bezskutecznie uchylić się od podatku, może ich często zrujnować i położyć kres korzyściom, jakie społeczeństwo mogło osiągnąć dzięki uruchomieniu ich kapitałów. Nierozsądnie ustanowiony podatek stwarza wielką pokusę dla przemytu. Ale kary za przemyt muszą wzrastać proporcjonalnie do wielkości pokusy. Wbrew wszelkim zwykłym zasadom sprawiedliwości prawo najpierw stwarza pokusę, a potem karze tych, którzy jej ulegają; a bardzo często podwyższa jeszcze karę proporcjonalnie do tej właśnie okoliczności, która z pewnością powinna ją łagodzić, to znaczy proporcjonalnie do pokusy, jaka pobudza do przestępstwa
[podkr. – Ł.W.].

Jak widać, nihil novi sub sole, ale rządzący wolą się dziś zaczytywać w Piketty niż w Smicie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f469fbd7ef

NATURALNY SYROP NA ODPORNOŚĆ

Sezon jesienny to duże wyzwanie dla naszej odporności, katary i kaszle stanowią częstą dolegliwość zarówno u dzieci, jak i u dorosłych.

Naturalne metody mogą w nieinwazyjny sposób wzmocnić siły obronne organizmu: bardzo ważne będą zdrowe odżywianie i wyrównywanie niedoborów. Dodatkowym elementem wzmacniającym odporność mogą być domowe syropy.

Zachęcam serdecznie do zrobienia mojej kompozycji – naturalnego syropu miodowego, który ma właściwości rozgrzewające, przeciwbakteryjne, przeciwwirusowe, działa też delikatnie wykrztuśnie. Jest w stanie zdusić w zarodku pierwsze objawy przeziębienia, a na dodatek jest bardzo smaczny. Moje dzieci i pacjenci zażywają go z przyjemnością.

Ten rozgrzewający syrop stosowany profilaktycznie w sezonie zimowym będzie znakomitym wsparciem dla procesów obronnych organizmu. Sięgamy po niego przy pierwszych objawach infekcji, takich jak kaszel, dreszcze, gorączka, a także kiedy wracamy ze spaceru przemoczeni, przewiani czy przemarznięci. Działa wzmacniająco także podczas trwającej już infekcji.

Można go również modyfikować zgodnie preferencjami smakowymi oraz leczniczymi i do takiej elastyczności w jego przygotowaniu serdecznie zachęcam. Zachęcam do sporządzenia i wypróbowania tego smacznego syropu w domu.

Składniki:

• ok. 3 cm pokrojonego świeżego imbiru • 1 cytryna ze skórką (można ją wycisnąć lub drobno pokroić) • kilka ząbków czosnku przeciśniętych przez praskę lub • 1 średnia cebula (albo mieszanka cebuli i czosnku) • 2 pokruszone kawałki kory cynamonu (zamiast cynamonu można zastosować 1 łyżkę suszonego tymianku – i wówczas uzyskamy bardziej wykrztuśną miksturę) • ok. 3 łyżek miodu lipowego (lub innego ulubionego)

Przygotowanie

Wymieszać wszystkie składniki i pozostawić w lodówce w zakręconym słoiku na ok. 5 godzin.

Profilaktyczna dawka to 1–2 łyżeczki dziennie, w czasie infekcji można podwoić dawkę. Syrop powinien być przechowywany w lodówce. ©℗

oprac. raw

Joanna Brejecka-Pamungkas – dyplomowany naturopata ze Stanów Zjednoczonych, dietetyk holistyczny, terapeutka medycyny chińskiej, terapeutka tuiny pediatrycznej, ekspert w TV oraz w magazynach o zdrowiu, autorka książki „Naturalnie zdrowe dziecko".

FOT. ARCHIWUM JOANNY BREJECKIEJ-PAMUNGKAS

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Zgubiono, znaleziono

JOANNA BOJAŃCZYK

Są ludzie, którzy niczego w życiu nie zgubili. Zawsze w ściśle ustalonych miejscach mają portfel, parasol i nigdy czapki nie kładą na kawiarnianym stoliku, z którego ona spada na podłogę i przepada na wieki. Ja niestety zaliczam się do grupy drugiej – tych, którzy gubią wszystko całe życie i cały czas czegoś szukają. Jednak szukanie kluczy, komórki czy okularów to małe piwo przy tym, czym jest pościg za komputerem, który odjechał w siną dal autobusem w stanie Nowy Jork. Mój stary ulubiony plecak, który odbył ze mną niejedną wędrówkę i o niejedną brudną podłogę ocierał swoje szlachetne płótno, kilka razy był przedmiotem modlitw do św. Antoniego.

FOT. ADOBE STOCK

Za każdym razem uwieńczonych sukcesem.

Na pewno niegubiący mają spokojniejsze życie. Ale o ileż uboższe! Pozbawione tych pełnych desperacji myśli o tym, co nas czeka przy wznawianiu dokumentów, odzyskiwaniu danych z komputera, nie mówiąc o cierpieniu z powodu utraty ulubionego szalika. Ale potem – co za nagroda! Któż, jak nie ten, kto zgubił i znalazł, pojmie radość doznaną w momencie, gdy padamy sobie w objęcia ze staruszkiem we włoskim miasteczku, w którego samochodzie roztargniona cudzoziemka szukająca adresu zostawiła plecak, a w nim całe życie. Ta radość i ulga, że nie musimy odzyskiwać danych, łazić po urzędach, żeby wyrobić nowy dowód i prawo jazdy, że znowu będzie można przytulić szyję do ukochanego szalika! Tak niewiele człowiekowi do szczęścia potrzeba. A przecież wystarczy zgubić i znaleźć.

Zgubienie plecaka, czapki, parasola uważam za rzecz normalną, część życia. Co do parasoli, uważam, że powinny one być przedmiotami przechodnimi, które w razie deszczu wyjmuje się z kosza na ulicy, dokąd wracają, gdy przestaną być potrzebne. Czapki – średnio w ciągu zimy gubię trzy. Rękawiczki mam na ogół w liczbie nieparzystej. Znikanie skarpetek w praniu też podobno ma wytłumaczenie – włażą w jakąś dziurę mechaniczną. Chociaż zniknięcie sukienki czy spódnicy uważam jednak za rzecz z kategorii zjawisk nadprzyrodzonych. A zdarzyło mi się, owszem, parę razy.

W szkole, do której chodzili moi synowie, jest pomieszczenie, rodzaj depozytu lost & found. Pełne szalików, czapek, skarpetek, bluz, kapci i podobnych akcesoriów. Na pytanie: „Gdzie jest twoja czapka?", dziecko zazwyczaj odpowiada: „Nie wiem". Nie wiem. Po prostu zgubiłem. Zgubiłem i już. ©℗

eprasa.pl f469fbd7ef

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Początek nieszczęść

JACEK KOMUDA

Na północ od Łęgonic nad Pilicą, po drugiej stronie lotniska znajduje się Górka Zgody albo Przeprośnia; wzniesienie, na którym stoi kościół pod wezwaniem św. Rocha. Jest to budowla niezwykła, dawna pustelnia, warta obejrzenia, aczkolwiek powstała w latach 20. zeszłego wieku. Kościół jednak zbudowano na miejscu ceglanej kaplicy i dwóch poprzednich, drewnianych świątyń, z których pierwszą wzniesiono dla upamiętnienia zawarcia w tym miejscu ugody w Łęgonicach.

31 lipca 1666 r. na polach nad Pilicą spotkały się wojska… polskie. Zbuntowane chorągwie rokoszanina Jerzego Sebastiana Lubomirskiego i siły królewskie Jana Kazimierza Wazy. Było to zwieńczenie wojny domowej.

RYS. PEGAZ

O co chodziło? W skrócie – dwór Jana Kazimierza zainicjował wiele reform, z których najważniejszą było wprowadzenie elekcji vivente rege, to znaczy wyboru następcy za życia króla. Przeciwko takiej zmianie prawa i złamaniu artykułów henrykowskich wystąpiła opozycja magnacka, na czele której stanął hetman i marszałek Jerzy Sebastian Lubomirski. Wówczas dwór postanowił go zniszczyć, ogromną nienawiścią pałała zwłaszcza królowa Maria Ludwika, która gotowa była nawet uwięzić go i stracić bez sądu. Jan Kazimierz, znany z tego, że łatwo wpadał we wściekłość, dążył zatem do bezlitosnego unicestwienia wroga, oskarżył marszałka i hetmana o zdradę stanu i pozwał przed sąd sejmowy, który skazał magnata na infamię, utratę godności i przepadek dóbr. Lubomirski uciekł wówczas na Śląsk i rozpoczął wojnę domową.

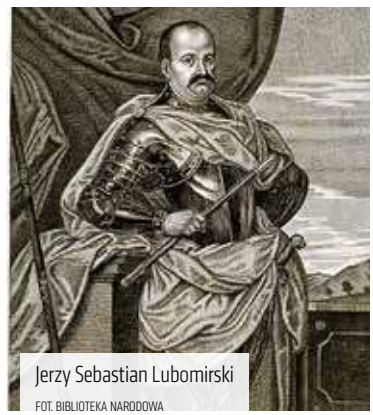

Jerzy Sebastian Lubomirski

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Historycy nie są zgodni, kto miał rację. Tadeusz Korzon bronił marszałka i oskarżał Jana Kazimierza o doprowadzenie Lubomirskiego do ostateczności. Przyjęło się pisać, że rokosz był polem walki pomiędzy dworem dążącym do wprowadzenia absolutum dominium a marszałkiem, obrońcą złotej wolności szlacheckiej. Z kolei Adam Kersten uważał, że cała sprawa była wojną pomiędzy królem chcącym osadzić na tronie polskim Francuza a magnatem realizującym własne interesy. Wydaje mi się jednak, że rację ma Zbigniew Wójcik, który pisze, że wprowadzenie elekcji vivente rege było tylko środkiem do rozpoczęcia poważnych reform ustroju chwiejącej się w posadach Rzeczypospolitej. „Cele nadrzędne, które stały się przyczyną wybuchu w Polsce wojny domowej – pisał – sprowadzały się do walki o to, jaka ma być Rzeczpospolita – czy państwem z silną władzą, niekoniecznie od razu absolutną, a więc państwem nowoczesnym jak na epokę, czy też państwem ze zdegenerowanym systemem parlamentarnym, bez silnej władzy centralnej, państwem, gdzie stale i nieubłagalnie rozwijało się groźne zjawisko, jakże trafnie nazwane przez Bogusława Leśniodorskiego decentralizacją suwerenności". Rokosz nie był więc walką o wprowadzenie władzy absolutnej, ale w sensie dalszym – o reformę ustroju państwa. I Lubomirski odegrał rolę po prostu haniebną. Nie idzie mi nawet o podniesienie rokoszu, do którego zmusił go oszalały król, próbując odebrać przeciwnikowi dobra i honor. Ale o fakt, że stał się on kolejnym magnatem, który zabiegał u obcych dworów o pomoc w pokonaniu króla, podobnie jak dziś żebrzą o nią w Brukseli przedstawiciele totalnej opozycji. Lubomirski szukał pomocy wszędzie – znajdując ją u Habsburgów i w Prusach, namawiał cara i Szwecję do ataku na Rzeczpospolitą, czym zarobił sobie na wieczyste przekleństwo. Wprawdzie w takich działaniach uprzedził go Radziejowski, ale Jerzy Sebastian Lubomirski był pierwszą tak znaczącą postacią, która otwarła wrota do mieszania się obcych dworów do spraw wewnętrznych Rzeczypospolitej.

Ugoda w Łęgonicach miała zakończyć krwawy konflikt. Król wyrzekł się planów elekcji vivente rege, ogłosił amnestię dla zbuntowanego wojska, Lubomirski obiecał przeprosić Jana Kazimierza – uczynił to w obozie pod Jaroszynem 8 sierpnia i opuścił kraj. Historycy pisali naiwnie, że obie strony były już zmęczone i przerażone rozlewem krwi. Tezy te obala Zbigniew Wójcik, gdyż zarówno król, jak i Lubomirski ciągle szaleli z gniewu. „Skoro tak się ze mną obchodzą – powiedział w grudniu do Stefana Niemirycza marszałek – znajdę ja im nową robotę i pokażę, że nie można pomiatać takim jak ja kawalerem". Zapewne rok później byłby dalszy ciąg krwawej wojny domowej, gdyby Lubomirski nie umarł 31 stycznia we Wrocławiu, mówiąc językiem dzisiejszych hejterów – „na szczęście". Jednak Jan Kazimierz porzucił próby reform, a żadnemu z jego następców nie udało się zreformować anachronicznego systemu parlamentarnego Rzeczypospolitej. ©℗

eprasa.pl f469fbd7ef

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Alternatywa dla PiS się wybrała

Ostatnio odbyło się ważne wydarzenie. Wybory w najważniejszej partii opozycyjnej – Platformie Obywatelskiej. Gdyby słuchać alarmistycznych głosów polskiej opozycji, np. z Brukseli, powinniśmy mieć do czynienia z jakimiś wyborami w podziemiu, gdzie wielu straceńców ultrasów idzie na rzeź, bo przecież wszyscy wiedzą, że w Polsce opozycję się represjonuje, o czym często wspominają zepchnięte do podziemia niezależne media.

Odrzuciwszy powyższą szyderę, wyjaśniam: Co się tam tak naprawdę stało? Po pierwsze, przyklepano przywództwo Tuska. Wreszcie wygrał wybory w PO, bo do tej pory zasiadał na tronie Platformy w wyniku kombinacji statutowych, które pozbawiły przywództwa Borysa Budkę. Niedobrze to wygląda, bo podobne opcje dotyczyły również wyborów na szefów regionów. To znaczy: jeden kandydat do wyboru. A i tak demokracja się nie udała, bo tam, gdzie była opcja więcej niż jednego kandydata (Pomorskie, Dolny Śląsk), ostro promowani ludzie Tuska (Szełemej, Pomaska) poprzepadali. A to oznacza, że przyzwolenie na przywództwo dla Tuska jest szerokie, ale do jego emanacji w strukturach już nie bardzo.

Przy okazji partia się policzyła i wyszło, że jej liczebność nie przekracza 12 tys. Oj, gdzie te czasy, kiedy PO była partią władzy? Wybory są zawsze okazją do debaty programowej, ruchów kadrowych, odświeżenia struktur i nowych pomysłów. Tu było potwierdzenie marazmu i człowiek „trzeciego sortu" się boi w tej dwójpolówce, że alternatywa jest chyba jeszcze słabsza niż w przypadku rządów PiS. Wiadomo od dawna dwie rzeczy: Bóg lubi Kaczyńskiego oraz to, że siłą PiS nie jest on sam, ale słabość opozycji. I to w takiej kolejności. Bo kiedy PiS już spadają sondaże, to zaraz wyskoczy jakaś granica czy zatarg z Unią, które już z zasady spajają naród jako wspólnotę z mentalem jednoczącym w przypadku zewnętrznej opresji. Ten korzystny układ jest następnie wzmacniany przez pożytecznych idiotów z opozycji, którzy wychodzą i wspierają naszych wrogów, ujawniając swe coraz mniej skrywane zaprzaństwo. I na tym mechanizmie stoi – uwaga – cała obecna polityka, co odsuwa kompletnie sprawy programowe, najgorzej, że i w samej władzy.

Odbyły się więc wybory w jedynej alternatywie dla rządzących. Lud nawet tego nie zauważył. I to nie dlatego, że (tylko) taki obojętny, ale wiedział chyba, że nie ma tam co zaglądać. I dziw bierze, że skoro – jak mówił towarzysz Cimoszewicz w Brukseli – działacze opozycyjni są w Polsce represjonowani, to w ogóle ktoś się pcha na taki (pluszowy) krzyż. Nawet tak bardzo, jak ostatnio w przypadku Oleśnicy, gdzie w trakcie wyborów w tamtejszym PO dwóch działaczy tej partii tak się wzięło za czuby, że musiała interweniować policja. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Blachnicki. Tajemnica i zobowiązanie

15 listopada w kinie Rialto w Katowicach odbędzie się premiera filmu „Blachnicki, życie i światło".

34 lata od jego tajemniczej śmierci (bo nadal nie znamy prawdy o tym, co się stało 28 lutego 1987 r. w Carlsbergu) ks. Blachnicki wciąż inspiruje, a jego dziedzictwo żyje. Prowadzone są badania i dokumentacja nagranych nauk, homilii, wystąpień i konferencji. Blachnicki to bodaj jedyny autor, który trzy dekady po śmierci nadal wydaje nowe książki.

Tomasz Terlikowski nadał biografii Franciszka Blachnickiego podtytuł: „Ksiądz, który zmienił Polskę". Im dłużej rozmawialiśmy ze świadkami i współpracownikami, im bardziej przedzieraliśmy się przez dokumenty, szczegóły życia, tym bardziej teza Tomka stawała się dla nas oczywista. Mam poczucie, że zarówno hierarchia, jak i laikat, my, polscy katolicy, nawet nie zdajemy sobie sprawy, ile mu zawdzięczamy. Nie dlatego, że był jakimś rewolucyjnym, innowacyjnym duszpasterzem. On po prostu szukał skutecznej metody, by jak najwięcej ludzi doświadczyło tego, co on przeżył – autentycznego spotkania z Bogiem. Stąd jego troska o piękno Liturgii. Uczył spotkania z Bogiem na modlitwie, dlatego stworzył Namiot Spotkania. Zachęcał do codziennej adoracji, rozważania Pisma Świętego, do Liturgii Godzin, uczył przygotowania przez młodych rozważań drogi krzyżowej.

Pracując nad filmem, stale towarzyszyło mi pytanie, co o. Franciszek (tak nazywali go najbliżsi współpracownicy) powiedziałby dziś np. o przypadkach homoseksualnych nadużyć wśród duchownych, jak zareagowałby na ataki na Kościół przez tzw. strajk kobiet, jak odpowiedziałby na rygory sanitarne narzucane wiernym i kapłanom.

Zamykając pracę nad filmem, już wiemy, że właściwie powinniśmy rozpocząć przygotowania do kolejnego odcinka opisującego śledztwo w sprawie jego śmierci. A nie uda się tego zrobić bez rozwikłania tajemnic agentury, która pojawiała się na różnych etapach życia księdza, w jego najbliższym otoczeniu. Należy teraz opisać modus operandi transformacji służb, czyli bezkarnego przejścia funkcjonariuszy aparatu represji totalitarnego państwa w nowe struktury służb niepodległej Polski. Pokazuje to przypadek agentów „Yon" i „Panna", Andrzeja Gontarczyka i Jolanty Lange-Gontarczyk, którzy niszczyli dzieło ks. Franciszka, a być może przyczynili się do jego śmierci. Ale wiadomo już, że byli również inni.

Do wyjaśnienia pozostaje fakt współpracy niektórych duchownych nie tylko ze służbami komunistycznymi, lecz także, co niewykluczone, ze służbami innych państw. Wypada mieć nadzieję, że drugie śledztwo przez prokuratury Instytutu Pamięci Narodowej wyjawi to, czego nie udało się nam ustalić podczas pracy nad filmem. ©℗

eprasa.pl f469fbd7ef

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Ci nie pasuje? Hę?

Była to ciekawa, pouczająca wymiana tweetów, ale zniknęła. Ponieważ jednak nie płoną rękopisy, nie znikają tweety, więc przeżyjmy to raz jeszcze.

Otóż redaktor naczelny „Liberté" Leszek Jażdżewski (ten od słynnego wystąpienia w maju 2019 r. na Uniwersytecie Warszawskim; siedział wtedy obok Tuska w pierwszym rzędzie i przemawiał przed samym Donaldem. Powiedział o Kościele, że „gdyby dzisiaj Chrystus był ponownie ukrzyżowany, to prawdopodobnie przez tych, którzy używają krzyża jako pałki do tego, aby zaganiać pokorne owieczki do zagrody" i „ale rywalizacja na inwektywy i złe emocje z nimi nie ma sensu, dlatego że po kilku godzinach zapasów ze świnią w błocie orientujesz się w końcu, że świnia to lubi". Dostał oklaski, a sam Donald Tusk poklepał go na zakończenie po ramieniu.

Natomiast ponieważ po pewnym czasie ludzie zrozumieli jednak, co powiedział redaktor Jażdżewski, wszyscy zaczęli przepraszać i dystansować się od wulgarności rodem z Urbana. Dystansowali się rektor UW, rzecznik PO i w ogóle, kto mógł, to się dystansował. Osamotniony odważny werbalnie redaktor popadł w niełaskę) może to z powodu niełaski, może rewanżyzmu wyprodukował teraz następującego tweeta: „Kaczyński śpi na prezentacji własnej ustawy, Tusk czepia się nazwisk ministrów. Naprawdę czas na zmianę".

Przeczytał to jednak Paweł Graś, który jest wierny jak Paweł Graś, lojalny jak Paweł Graś i można na niego liczyć jak na Pawła Grasia. I pan Paweł odpisał temu Leszkowi: „Serio? Tusk ci nie pasuje?". Proszę zwrócić uwagę, że Paweł Graś nie napisał „ci" wielką literą, ale właśnie małą, w detalach świat jest ukryty. To „ci", a nie „Ci" miało wywołać zapewne bojaźń i drżenie. Bo czy nie brzmi ono jak: „Serio? Siekacze ci się znudziły?" czy też: „Serio? Wiesz, jak się złamanym nosem oddycha?". W każdym razie skończyło się rumakowanie i ów tweet zniknął po prostu. Być może było tak, że Leszek Jażdżewski zwołał szybko kolegium redakcyjne i uznano, że Tusk jednak im pasuje. To możliwe. Być może jest też tak, że redaktor Jażdżewski jest odważny, ale przecież nie fanatycznie. Kto wie?

Sporą dyskusję na TT wywołały w ubiegłym tygodniu słowa posłanki PiS Mirosławy Stachowiak-Różeckiej dla „Rzeczpospolitej". Są wiekopomne i generują moc empatii: „Politycy też dostrzegają wzrost cen. Myślę, że w pierwszej kolejności najbardziej polityka, posła akurat dotyka cena benzyny, bo przecież my do tej Warszawy się musimy z różnych stron Polski dostać. Ten kilometr jest coraz droższy". Też się wzruszyłem tą biedą, ale to sprawy wrażliwe, delikatne, trudne. Nie chcę tego komentować. Założę dla nich po prostu konto na zrzutka.pl „Na wachę dla posłów". ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Słoń Sikorskiego a sprawa polska

Małgośka, mówią mi, ty nie rozumiesz, że miejsce Polski w Europie jest zagrożone. I że – jak powiedział Sikorski – lepiej być nogą od słonia niż suwerenną mrówką! Metafora dość ryzykowna, nawet jak na Sikorskiego, który słynie z produkcji tweetów, o których nie śniło się nie tyle filozofom, ile najbardziej wulgarnym stand-uperom w Polsce. Właściwie wypadałoby dopytać go o jego wyobrażenia: kto mu właściwie obiecał, że w podziale łupów na żywym słoniu przypadnie mu status nogi, a nie zadka? Ale Sikorskiego wciąż warto nasłuchiwać, aby badać, na ile komunikaty polskiego salonu elit są natchnione gorzałką, a na ile rozpaczą z powodu rozdzierającej tęsknoty za władzą i ośmiorniczkami na koszt podatnika.

Trudno spuścić zasłonę milczenia na zachowanie eurodeputowanego Sikorskiego et consortes zwłaszcza po tym, co ostatnio pokazali. Sumienie nie wydaje się być organem nadużywanym przez niektórych naszych współplemieńców, ale pomimo ogromnego żalu nie przyszłoby mi do głowy wznosić haseł zagrzewających do ich „wygwiazdkowania". Owszem, skwapliwie wykorzystałam sytuację, udzielając się krótko w dwóch telewizjach hiszpańskich, aby wytłumaczyć Hiszpanom, że my także mamy własnych „separatystów". Nawet jeśli ludzie Tuska czy Lewicy w ten sposób się nie definiują i – na razie – nie organizują referendum w sprawie oddzielenia się od Warszawy, to podobieństwa są aż nadto uderzające. Separatyści katalońscy uważają się za ofiary polityki reżimowego Madrytu i skwapliwie podkreślają, że więcej mają wspólnego z Francuzami czy Włochami niż z reakcyjnymi katolikami i leniami z południa Hiszpanii. Wolą przyjmować do Katalonii imigrantów muzułmańskich niż Hispanoamerykanów, bo ci także mówią kastylijskim – językiem ciemnogrodu i faszystów od królów katolickich poczynając, na Franco kończąc.

Ileż podobieństw łączy żądnych władzy ludzi Tuska i prowodyrów zamachu stanu w 2017 r. w Katalonii! Wiadomo nawet o mackach rosyjskich w organizacji katalońskiego przewrotu, ale za to nasi „separatyści" od polskości sprytniej się maskują. Nie trzeba jednak dowodów, by zobaczyć, jak ich dążenia rymują się z życzeniami Rosji i Białorusi. „Lepiej być w kierownictwie supermocarstwa niż suwerenną mrówką" – zapewnia Sikorski z Chobielina, gmina Szubin, ego planetarne. Co prawda, historia uczy nas, że supermocarstwa dążyły zazwyczaj do anihilacji Polski, ale Sikorski wie lepiej. I jego wyborcy mu wierzą, gdy prawi o nodze słonia! Biedni, nie wiedzą, że Radek od dawna robi ich w trąbę. ©℗

eprasa.pl f469fbd7ef

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Mieszkanie Konwickiego

W 2018 r. Instytut Książki i Ministerstwo Kultury kupiły od córki Tadeusza Konwickiego i elegancko odrestaurowały mieszkanie jej ojca, który mieszkał tam do swojej śmierci. Przeznaczyły je na rezydencję dla tłumaczy polskiej literatury. I nic dziwnego – jest bardzo atrakcyjnie położone: w centrum Warszawy, na tyłach Nowego Światu, przy małej, cichej uliczce Górskiego 1, na drugim piętrze powojennej kamienicy z cegły, ogrodzonej zamykaną bramą, z widną kuchnią, trzema pokojami, salonem ze słynną nyżą, gdzie Konwicki pisał, parkietem, balkonem z widokiem na Pałac Kultury. Zagraniczni rezydenci rozpływają się więc nad „zaczarowanym, bajkowym miejscem", twórczą atmosferą z duchem Konwickiego i jego kota Iwana. Nie mieli pojęcia, że tak wspaniale mieszkali polscy pisarze. Tu się jednak mylą, zwłaszcza w 1955 r., gdy Konwicki to mieszkanie otrzymał, powojenna Warszawa była jeszcze nieodbudowana i sytuacja mieszkaniowa pisarzy była tak samo rozpaczliwa jak większości Polaków, a i później czekali 25 lat na – według Barańczaka – jamę w betonie na dalekim Bródnie.

Samodzielne, kilkupokojowe mieszkania w najbardziej atrakcyjnych dzielnicach, otrzymywane, jak w wypadku Konwickiego, jeszcze przed trzydziestką, były nagrodą dla wybranych, gorliwych stalinowców, „pryszczatych", m.in. Kazimierza Koźniewskiego, który dostał mieszkanie na MDM-ie, Grzegorza Lasoty (Starówka), Bohdana Czeszki (Iwicka). Konwicki podkreślał jednak, że jego akces do komunizmu wynikał z młodzieńczej poczciwości i nie miał nic wspólnego z materialnymi fruktami. Ciężko się obrażał, gdy mu o nich przypominano, i to właśnie stało się powodem końca jego przyjaźni z Leopoldem Tyrmandem i negatywnego wizerunku autora „Złego".

W swoich „Zorzach wieczornych", w rozdziale pod tytułem „Portret mężczyzny w kolorowych skarpetkach", redukującym format Tyrmanda, Konwicki nie ukrywał, że nie czytał jego „Dziennika 1954", ale „słyszał od znajomych", jakoby Lolo pisał, że Tadzio otrzymał mieszkanie na Nowym Świecie za „Władzę", czołowy socrealistyczny produkcyjniak o partyjnym sekretarzu. Wydaje mi się, że znam nieźle twórczość Tyrmanda i nie przypominam sobie, żeby coś takiego napisał, a już na pewno nie w „Dzienniku", gdzie wspominał o nim jedynie 21 stycznia, w relacji z sekcji prozy w ZLP, jak to „pastwiono się nad młodym, głupawym, wiernie komunistycznym literatem Konwickim, autorem opowiadania o miłości z partią, szlachetnym oficerem UB i wszystkimi akcesoriami, jak trzeba". Możliwe, że coś mi umknęło i Tyrmand faktycznie tak napisał. Byłaby to jedynie część prawdy. Konwicki otrzymał bowiem mieszkanie nie tylko za wydaną jesienią 1954 r. „Władzę", lecz także za całokształt, za swoje poprzednie produkcyjniaki: „Przy budowie" (wyróżnione nagrodą państwową), „Godzinę smutku", reportaże z Nowej Huty, żale po śmierci Stalina w żałobnym numerze „Nowej Kultury", działalność w organizacji partyjnej literatów. „Nie dostałem mieszkania na Nowym Świecie, ale załatwiono mi zamianę dobrego mieszkania na Frascati na równie niezłe przy Górskiego, bo to na Frascati (w kamienicy Czytelnika, ofiarowane mu przez prezesa Borejszę) było dwupoziomowe i nasza mała Marynia ciągle spadała ze schodów" – tłumaczył Konwicki, jeszcze bardziej się pogrążając, bo większość pisarzy nie miała nic, on natomiast zmieniał eleganckie adresy jak rękawiczki. Wściekły za rzekome oskarżenia Tyrmanda, nie mogąc też uwierzyć, że gdy sam pisał produkcyjniaki, Lolo od czerwonych skarpetek wiedział, czym był komunizm, zemścił się, uznając jego „Dziennik 1954", jeden z ważniejszych dokumentów stalinizmu, za falsyfikat napisany dopiero w latach 70. w Ameryce. Na subiektywnej opinii Konwickiego oparł się czołowy partyjny krytyk Ryszard Matuszewski, fałszujący szkolne podręczniki według dyrektyw ostatnich plenów. W swojej wielonakładowej, wznawianej często „Literaturze polskiej 1939–1991" powtórzył, że „Dziennik 1954" to apokryf, a Tyrmand jest tym samym nikczemnikiem, kłamcą udającym bohatera. Wycofał się z kłamstwa dopiero po wydanym w 1995 „Dzienniku", opracowanym przez Henryka Daskę, autorytet „warszawki", na podstawie rękopisów Tyrmanda. W swoim „Alfabecie 90-latka" przyznał wtedy, że „przesadnie zaufał wersji Konwickiego", i w następnych wydaniach swego podręcznika usunął słowo „apokryf", ale znając go, należałoby sprawdzić, czy rzeczywiście tak zrobił. ©℗

Samodzielne, kilkupokojowe mieszkania w najbardziej atrakcyjnych dzielnicach były nagrodą dla wybranych, gorliwych stalinowców, „pryszczatych"

eprasa.pl f469fbd7ef

SPECJALNY DODATEK HISTORYCZNY

JUŻ W GRUDNIU W TYGODNIKU „DO RZECZY”

40-LECIE WPROWADZENIA STANU WOJENNEGO W POLSCE

MECENASI PROJEKTU:

Enea PGNiG KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNER GŁÓWNY:

PKO Bank Polski

eprasa.pl f469fbd7ef

TEGO NIE MÓWIĄ

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Mój ojciec (obecnie w niebie) był geniuszem. Do tego był fantastą i dowcipnisiem. Ja przy moim ojcu wypadam blado ze wszystkim, co w życiu osiągnąłem. A przedtem był jeszcze mój dziadek. Przy nim obaj wypadamy blado.

Gdyby komuna nie przecięła życiorysu mego dziadka oraz drugiej RP, Polska miałaby w tej chwili zamorskie kolonie, kupiłaby od Francji Madagaskar (był wystawiony na sprzedaż w latach 30. XX w.), a dziadek przekazałby mi w spadku działkę budowlaną na Księżycu.

Obaj uczyli mnie: „Zwracaj baczną uwagę na to, czego NIE mówią".

I w tym kontekście posłuchajcie teraz, o czym NIE mówią, choć na zdrowy rozum powinni trąbić wszędzie.

***

Sensacyjna i optymistyczna informacja z Norwegii: zniesiono wszelkie restrykcje covidowe – żadnych paszportów, masek i dystansu społecznego. Po miesiącu SUKCES: średnia liczba zgonów tygodniowo wynosi 1.

To powinno cieszyć każdego. W Polsce z tą informacją powinien biegać po wszystkich mediach minister zdrowia, bo przecież w Norwegii udało się zatrzymać „pandemię".

***

Badania z Izraela: odporność naturalna (po przechorowaniu COVID, czasami bezobjawowo) jest 27 razy mocniejsza od odporności uzyskanej ze szczepionki. Dobre wiadomości dla każdego, kto przechorował.

***

Na Tajwanie wyszczepiono populację skutecznie i szybko. Mają bardzo zdyscyplinowane społeczeństwo. Tajwański departament zdrowia podaje, że od dnia 22 marca 2021 r. (gdy rozpoczęto szczepienia) do 6 października 2021 r. liczba zgonów spowodowanych szczepionką jest WYŻSZA niż liczba zgonów na COVID. Z tego wniosek (matematyczny, a nie polityczny), że SZCZEPIONKA ZABIJA WIĘCEJ LUDZI NIŻ COVID.

***

W Europie najsprawniej szczepiono w Niemczech i Wielkiej Brytanii. Dane statystyczne podawane na oficjalnych stronach ministerstw zdrowia obu krajów pokazują gwałtowny, wielokrotny i niewytłumaczalny wzrost zgonów na wszystkie choroby. Liczba umierających na zawały, choroby organów wewnętrznych, wylewy, zatory i na raka wzrosła lawinowo po rozpoczęciu szczepień na COVID. Nie wiemy czemu. Może to jakiś przypadek. Ale... czemu o tym nie mówią? Czemu to nie jest najważniejszy temat w każdej rozmowie z ministrem zdrowia?

***

W Polsce: projekt ustawy o funduszu odszkodowań za niepożądane odczyny poszczepienne. Planują odszkodowania w wysokości do 100 tys. zł zależnie od długości pobytu w szpitalu. Hm. Ktoś miał powikłania i spędził w szpitalu wiele dni, ale ostatecznie wrócił do domu o własnych siłach – taki dostanie sto tysiaków; ktoś inny był w szpitalu krótko, bo mu amputowali dwie nogi i odesłali do domu, więc dostanie mniej.

Ale przede wszystkim zastanawia mnie, dlaczego państwo polskie ma płacić odszkodowania za wadliwe działanie preparatu prywatnej firmy Pfizer?

Hm…

Czemu minister zdrowia nie upublicznił kontraktów podpisanych z korporacjami sprzedającymi szczepionki? Minister kupuje z publicznych pieniędzy. Czemu więc nie znamy cen? Czemu nie dają nam poczytać kontraktu? O CZYM NAM NIE CHCECIE POWIEDZIEĆ, DZIADY?!

***

Znalazłem w sieci umowę na szczepionkę COVID, którą podpisała z Pfizerem Brazylia (na łamach „DR" pisaliśmy o tym w sierpniu, nr 34/2021). Umowa jest typowa, taka sama dla 110 krajów świata. Mogę więc podejrzewać, że polski rząd podpisał identyczną. Jeżeli podpisał lepszą, to niech ją opublikuje na stronach Ministerstwa Zdrowia i się odczepię.

To, co podpisała Brazylia, jest SKANDALICZNE. Suwerenne państwo podpisuje umowę z despotą – z korporacją, która traktuje Brazylię jak republikę bananową. Suwerenne państwo jest jak wasal – przejmuje na siebie WSZELKĄ odpowiedzialność za wszelkie wady preparatu oraz zwalnia z tej odpowiedzialności korporację, dostarczając specyfik. Kupiłeś flaszkę soku, a gdyby się okazał trujący, to twoja wina (bo kupiłeś), a nie wina producenta.

Cytuję po kawałku:

„Nabywca przyjmuje do wiadomości, że długoterminowe skutki i skuteczność Szczepionki nie są obecnie znane i że mogą wystąpić niepożądane skutki Szczepionki, które nie są obecnie znane".

I w związku z tym pojawia się paragraf o tym, że nabywca (np. Rzeczpospolita Polska) ZWALNIA firmę Pfizer z odpowiedzialności, „z tytułu wszelkich pozwów, roszczeń, działań, żądań, strat, szkód, zobowiązań, ugód, kar, grzywien, kosztów i wydatków… niezależnie od tego, czy wynikają one z umowy, czynu niedozwolonego [sic!]… niezależnie od tego, czy są zgodne z prawem, ustawowe, słuszne lub w inny sposób poniesione przez jakąkolwiek osobę fizyczną…".

Ta umowa zwalnia Pfizera z WSZELKIEJ odpowiedzialności za cokolwiek, kiedykolwiek.

Czy Ty byś podpisał taką umowę? Ja nie! Taka umowa oznacza, że odszkodowanie za ewentualne wady i powikłania wywołane preparatem masz zapłacić sam sobie. Twoja wina, że kupiłeś. Twoja wina, że sobie dałeś wszczepić. Jedno wielkie G.

***

Ojojoj.

Ojo-jojo-joj!

Panie Wojtku, ależ jak tak można szczepionki nazywać „jednym wielkim G"?

Można! Skuteczność szczepionek obiecywana na początku roku 2021 – 95 proc. Realna skuteczność wyliczalna i deklarowana pod koniec roku 2021 – 37 proc. Na początku roku twierdzili, że po zaszczepieniu nie zarazisz się COVID oraz nie będziesz zarażał innych. Teraz wiadomo, że zaszczepieni mogą się zarazić i umrzeć. Wiadomo też, że mogą zarażać innych. Jaki więc jest logiczny powód do szczepień? Bardziej łagodny przebieg choroby, gdybyś ją złapał? OK. Ale, patrząc na dane z Tajwanu, po zaszczepieniu masz większą szansę umrzeć na szczepionkę niż na COVID.

***

Biden wprowadził przymus szczepień w wielu miejscach. Interesujące jest, gdzie NIE ma przymusu: Biały Dom (urząd prezydencki w USA), CDC (amerykański sanepid), FDA (agencja ds. zatwierdzania leków), WHO (Światowa Organizacja Zdrowia), Pfizer, Moderna, Johnson & Johnson. ©℗

eprasa.pl f469fbd7ef

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

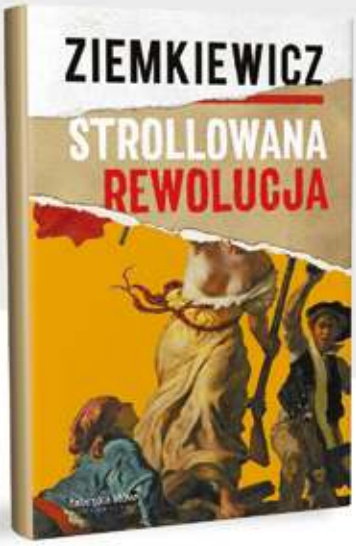

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
„STROLLOWANA REWOLUCJA"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~914 ZŁ~~

340,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 574 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl f469fbd7ef

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

PORUSZAJĄCY WYWIAD Z WETERANEM SPOD TOBRUKU

Aleksander B. Skotnicki – **Wizy życia dla Żydów**
Piotr Zychowicz – **Polska i Japonia: współpraca wywiadów**
Tomasz Stańczyk – **Sprawiedliwi dyplomaci**
Pierre Servent – **Tajemnica lotu Hessa**
Jacek Bartosiak – **Polska musi być potężna**
Sławomir Koper – **Zagadka śmierci Piastów**
Arkadiusz Karbowiak – **Izraelska inwazja na Liban**
Piotr Semka – **Rommel: Lis Pustyni**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl f469fbd7ef